



ODGŁOSY

ROK XIX NR 16 (958)

15 KWIETNIA 1976 R.

CENA 4 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

POEZJA

ROMAN GORZELSKI

PISANKA

Oto przedmiot niezwykle w kolor owinięty
niegdyś na słowiańszczyźnie w groby go kładziono
i wiedzą tajemniczą skorupkę znaczone
aby wielki cel życia był bielą poczęty

I długo już się toczy z ornamentów jajo
z wykopalisk je znamy i z codziennych zdarzeń
to ono przemieniło trwanie wielu marzeń
w rzeczywistość za którą ludzie życie dają

Pisanka była u nas oznaką załotów
i sochy przesuwaniem pośród kropel potu
aby pola uchronić przed suszą i chwastem

Wielobarwna wzorzysta jest początkiem życia
owsa chmielu i dzieci pomyślanych skrycie
przez ziemię w deszcz wtuloną i człowieka w miasto

POLSKA '76

KRZYSZTOF POGORZELEC

BŁYSZCZĄCE KAMIEŃ

Olówek błędził po mapie, wreszcie — wskazał mały punkcik,
„To” miało być tam. Mimo woli pamięć wywołała obraz ze sta-
rego filmu: ośnieżona, lodowa przełęcz, wąż ludzi objuczonych
worami z żywnością mozolnie wspinających się pod górę. Wśród
nich mały, śmieszny szlowieczek z wąsikami i laseczką, w za-
dych dla niego butach. Charlie. Tam dokąd szli przez białą pu-
stynię, leżał skarb. Oczywiście — „Gorączka Złota”.

I.
— Ponoś pana wyobraźnia — prof. Maślankiewicz z Zakładu Petrografii UW patrzy na mnie kpiąco i zaraz do-
daje — Jeśli samochodem, to jest na-
wet bardzo wygodny dojazd. Wszyst-
kiego półtorej godzinny drogi. Można
też autobusem, kolej — owszem, ale
z dwoma przesiadkami. Od stacji —
ludzie pokaza drogę...
No tak, zapomniałem że jest druga
połowa XX wieku, że można samo-

chodem jak kto ma, pośpiesznym „pe-
kaesem”, lub po szynach, w dodatku
z „delegacją” w kieszeni. I to nawet
wtedy, gdy ledzie się na poszukiwa-
nie skarbów, gdzie podobno są „bły-
szczące kamienie”. I bądź tu człowie-
ku odkrywco, psiakrew!

Dalszy ciąg na str. IV



WIOSNA



WIOSNA

U PRZYJACIÓŁ

Społeczny i gospodarczy rozwój Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej w okresie między XIV a XV Zjazdem Komunistycznej Partii Czechosłowacji (lata 1971-76) stanowi najbardziej dynamiczny etap powojennego rozwoju kraju. Potencjał gospodarczy kraju, mierzony przyrostem dochodu narodowego, wzrósł dwukrotnie szybciej niż w latach poprzednich, zgodnie z wytycznymi poprzedniego zjazdu partii dochód narodowy wzrósł ok. 28 proc. (w 95 proc. poprzez wzrost wydajności pracy) produkcja przemysłowa o ok. 35 proc. a produkcja rolna o ok. 14 proc. Inwestycje w poprzednim pięcioletniu wzrosły o 36 proc., środki przeznaczone głównie na rozwój bazy paliwowo-energetycznej (w tym na budowę tranzytowego gazociągu) rozwój produkcji materiałów budowlanych i kompleksowe budownictwo (wybudowano ponad 600 tys. izb) na rozwój bazy produkcyjno-technicznej rolnictwa, rozwój wybranych branż, łączność i transport.

Osiągnięcia gospodarcze zagwarantowały w pełni realizację programu społecznego. Realne dochody ludności wzrosły o ok. 28 proc. (średnia płaca w r. 1975 — 2300 koron). O 23 wzrosła sprzedaż artykułów spożywczych i 37 przemysłowych. Obecnie każde gospodarstwo domowe posiada pralkę, niemalże wszystkie posiadają telewizory, 80 proc. posiada lodówki, a 30 proc. samochody, większą część dysponuje dwoma radiodziennikami. Wzrósł poziom wykształcenia ludności, liczba studentów zwiększyła się o 20 proc. Rozbudowana została znacznie sieć urządzeń kulturalnych w miastach i na prowincji. Ogólna liczba domów kultury i klubów sięga 7 tys., wzrosła także baza materialna środków masowego przekazu, rozpoczęto emitowanie telewizji kolorowej. Wzrosła liczba wydanych książek, rocznie ukazuje się blisko 7 tys. tytułów. Programy rozgłośni radiowych obejmują 120 godzin dziennie, zaś programy telewizyjne 31 godzin.

Tezy na XV Zjazd KPCz., który obecnie obraduje w Pradze, zakładają dalszy dynamiczny rozwój społeczno-gospodarczy kraju. Szósta pięcioletnia będzie okresem dalszego wzrostu produkcji przemysłowej (w granicach 32-34 proc.), eksportu o ok. 50 proc. dostaw na rynek o 22-24 proc. Nadal umacniać się będzie rola przemysłu maszynowego i chemicznego. Rozwój produkcji przemysłowej będzie się opierał w ok. 90 proc. na wzroście wydajności pracy. W zakresie gospodarki rolnej przewiduje się stopniowe osiaganie samowystarczalności w produkcji zbóż i artykułów spożywczych. Globalna produkcja rolna w porównaniu do obecnej pięcioletniej zwiększy się o ok. 15 proc. (Wydajność z 1 ha średnio 4 zbóż w roku 1980 powinna wzrosnąć do 41-42 kwintala).

Między XIV a XV Zjazdem KPCz. dokonany został dalszy postęp w rozwoju życia kulturalnego, osiągnięto twórczych i upowszechnienia dóbr kultury. Na taki stan rzeczy złożyły się rozwój bazy materialnej i właściwa polityka kulturalna partii. Przyjrzyjmy się tym problemom na przykładzie Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej. Minister Kultury CRS dr Milan Klusek udzielił niedawno wywiadu Agencji Prago-press, w którym powiedział m. in.: „Świadectwem rozwoju kultury socjalistycznej są wyniki twórczej aktywności artystów rozwijanej dla uczczenia 30 rocznicy wyzwolenia Czechosłowacji. W wyniku konkursów rozpisanych z okazji tego jubileuszu zgłoszono 136 dzieł beletrystycznych, 55 sztuk teatralnych, 33 przedstawień telewizyjnych, 16 audycji radiowych, 53 symfonie, 11 oper, 28 cykli chóralnych, ponad 6500 dzieł malarskich, rzeźbiarskich i graficznych wykonanych przez 1509 autorów”. „Amatorski ruch artystyczny cechuje duży rozmach, w jego łonie wyrastają także talenty dla sztuki profesjonalnej. W minionym roku działało w naszej republice ponad 15 300 zespołów, zrzeszających ok. 250 tys. członków. Amatorskich zespołów teatralnych mamy około 1500, ludowych zespołów instrumentalnych 3250, zespołów pieśni i tańca 544”.

„Programową częścią czeskiego życia kulturalnego — powiedział minister — jest systematyczne zbliżenie i poznawanie sztuki krajów socjalistycznych. Punktem kulminacyjnym tych dążeń było zorganizowanie „Dni Kultury Czechosłowackiej” w ZSRR w 1974 r. Było to niewątpliwie największe wydarzenie kulturalno-polityczne w historii kontaktów kulturalnych obu krajów. Do najważniejszych zagranicznych imprez kulturalnych w świetle kapitalistycznym należała niedawna wystawa „Dziesięć wieków sztuki czeskiej i słowackiej” w Paryżu.

ŚWIAT I POLITYKA

- W Chinach trwa walka o władzę
- Pierwsze spotkanie po ratyfikacji
- Miesięczna przerwa w rokowaniach wiedeńskich

A więc obserwatorzy życia politycznego w Chinach nie mylili się. Walka o władzę między różnymi grupami maoistowskimi nabrała na sile i doprowadziła do finału pewnego etapu. Premierem rządu i wiceprzewodniczącym KC KPCz został Hua Kuo-feng, a Teng Siao-ping pozbawiono wszystkich dotychczasowych funkcji partyjnych i państwowych. Wcześniej doszło w Pekinie do dużej demonstracji i zamieszek, których okoliczności były następujące.

W dzień zmarłych, przypadający na początek kwietnia, tłum złożył wiele wieńców z podobizną zmarłego niedawno premiera Czuu En-laja. W nocy milicja usunęła wszystkie zdjęcia. Następnego dnia fotografie Czuu En-laja znów pojawiły się wśród kwiatów, a przedstawiciele manifestujących wystawili warty. Równocześnie rozwieszono gazetki ściennie. Interweniowało wojsko. Tłum przewrócił kilka samochodów, jeden z nich spalił, a grupa demonstrantów wdarła się do gmachu parlamentu.

W oficjalnych oświadczeniach zajęła te określenie jako demonstracje przeciwko linii KC, a o ich spowodowanie oskarżono Teng Siao-pinga. W dzień później dokonano wymienionych powyżej zmian.

O czym to wszystko świadczy? O toczącej się walce o władzę. Od czasu słynnej rewolucji kulturalnej rozwijała się ona w zasadzie w gabinetach, teraz znów wyszła na ulicę. Oczywiście, nie walczą ze sobą dwie zgoła przeciwstawne tendencje. Jak już powiedzieliśmy — rzecz toczy się wśród ugrupowań maoistowskich, jednakże jest ograniczoną możliwością formą przeciwstawienia się linii polityki wewnętrznej. Chiny nie osiągają niezbędnego postępu gospodarczego, co przy wysokim przyroście naturalnym pogłębia skalę trudności. Nie są natomiast te zamieszki przejawem niezadowolenia z polityki zagranicznej, gdyż odsunęli teraz od wszystkich stanowisk Teng Siao-ping nie reprezentował innej linii. Tak samo, jak Mao i inni jego współpracownicy, pozostawali na pozycjach antyradykalnych i antysocjalistycznych.

Użyliśmy na wstępie określenia, że ostatnie wydarzenia w Pekinie są finałem pewnego etapu. Właśnie — tylko etapu. Nikt bowiem nie sądzi, że wydzwignięcie Hua Kuo-fenga zamyka sprawę sukcesji po Mao. Nawet odwrotnie. Mamy przecież żywo w pamięci, że swego czasu oficjalnym następcą był Lin Biao, a znacznie później podobne szanse dawano Teng Siao-pingowi. Obaj tymczasem zeszli ze sceny politycznej oskarżeni o sprzeniewierzenie się Mao i głośno zwalczani. Kto więc, jak potu-

czą się losy trzeciego w kolejności kandydata na następcę?

Z dalekiego Pekinu przeniesiemy się do Bonn, gdzie właśnie składał oficjalną wizytę minister spraw zagranicznych PRL — S. Olszowski. Był to pierwszy bezpośredni kontakt polityków polskich i zachodniemieckich po ratyfikacji po obu stronach porozumień, podpisanych w październiku ub. roku w Warszawie. Rozmowy w Bonn przygotowały wizytę I sekretarza KC PZPR w RFN, której oczekuje się wczesnym latem. Wspólny komunikat z rozmów podkreśla, że ministrowie omówili aktualny stan i perspektywy wzajemnych stosunków, wymienili poglądy na tematy międzynarodowe, a także dali wyraz znaczeniu, jakie przywiązuje się do wizyty Edwarda Gierka.

W komentarzach prasy RFN-owskiej podejmuje się ten właśnie wątek i pisze o decydującym wpływie przyszłej wizyty na rozwinięcie procesu normalizacji, a więc ukształtowanie stosunków między obu państwami w przyszłości.

Kancelarz Schmidt, przemawiając w Bundestagu, określił wejście w życie porozumień z 9 października ub. roku jako „przybliżenie celów polityki wschodniej”, zmierzającej do tego, aby „etap po etapie likwidować obciążenia, utrudniające RFN stosunki z krajami wschodnimi”.

Z innych wydarzeń tygodnia zwracamy uwagę Czytelników na zakończenie w Wiedniu VII rundy rokowań na temat wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej. Jak wiemy — w negocjacjach tych uczestniczy 19 państw. Ich wznowienie zapowiedziane zostało na połowę maja.

Bilans dotychczasowych rozmów nie zawiera rezultatów, które omawiany problem posunęłyby wyraźnie naprzód. Ostatnie propozycje krajów socjalistycznych (omawiane przez nas na tym miejscu), nieistoty, nie spotkały się z przychylnością państw NATO, chociaż zachowały kompromisową formę. Za chód nadal obstraje przy tym, aby państwa Układu Warszawskiego redukowwały więcej swych wojsk niż państwa NATO.

Przerwa w obradach na pewno służyć będzie konsultacjom, które oby przyniosły rewizję nierealistycznego stanowiska zachodnich uczestników rokowań. Zmniejszenie zbrojeń i sił zbrojnych nie może przecież naruszać bezpieczeństwa żadnego z krajów. Zrozumienie tej zasady otworzy możliwość postępu i pozwoli uzupełnić odprężenie polityczne militarnym.

W. SŁAWSKI

TVP NA ŚWIĘTA

FILMY:

- JUNIOR BONNER — amerykański dramat psychologiczny. Jest to historia syna i ojca, zawodowych uczestników Rodeo. Grają Steve Mc Quinn i Robert Preston. Reżyseria: Sam Packinph. Sobota 17. IV. pr. I, godz. 20.25.
- AFRYKANSKA KRÓLOWA z Katarzyną Hepburn w roli głównej. Amerykański film przygodowy. Partnerem Katarzyny Hepburn jest Humphrey Bogart. Niedziela, 18. IV. pr. I, godz. 15.30.
- BGRYGADA TYGRYSA. Francuski sensacyjny serial o działalności specjalnych Brygad. Jedną z takich brygad dowodził komisarz Valentin, którego gra Jean Claude Bouillon. Drugi odcinek: Niedziela, 18. IV. pr. I, godz. 21.50.

W pierwszym dniu świąt w programie II godz. 12.05 AWATAR — telewizyjna komedia Janusza Majewskiego.

- Poza tym:
- KLUB PROFESORA TUTKI w reż. Andrzeja Kondratiuka.
- CHLEB, MIŁOŚĆ I... — włoska komedia z Sophia Loren i Vittorio de Sica.
- PARADA WIELKANOCNA, słynny musical z lat trzydziestych z Fredem Astairem i Ginger Rogers;
- oraz komedia Jerzego DZIECIÓŁ.
- W drugi dzień świąt FANTOMAS CONTRA SCOTLAND YARD, sensacyjna komedia francuska z Luisem de Funes. Program. I godz. 16.15.

TEATR:

JEDENASTE PRZYKAZANIE — inscenizacja telewizyjna powieści F. Staemera. Reżyseruje Krystyna Szner. Wystąpią: Barbara Wrzesińska, Ewa Borowik, Teofila Koronkiewicz, Krzysztof Chamiec, Tadeusz Bartosik, Lech Ordon, Józef Nalberczak, Henryk Machalica i inni. Niedziela, 18. IV. pr. I, godz. 20.30.

TELE-ECHO:

- Wydanie świąteczne o nietypowej porze. Niedziela 18. IV. pr. I, godz. 14.15.
- PROGI I BARIERY:
- Widowisko cieszące się dużym powodzeniem wśród widzów zaprezentuje ciekawych ludzi i ich życiowe pasje w niedzielę 18. IV. w programie I, godz. 18.00.

ROZRYWKI:

- RÓŻE MONTREUX. W filmowym cyklu wystąpi angielski zespół muzyczny „THE GOODIES” w sobotę 17. IV. w programie I, godz. 22.00.
- SPOTKANIE Z GWIAZDĄ. Z francuskim piosenkarzem Jo Dassin, którego zaprezentuje Maryla Rodowicz. Niedziela, 18. IV. pr. I, godz. 17.20.
- ZAPROSZENIE DO TAŃCA. Program w stylu retro, niedziela 18. IV. pr. I, godz. 22.35.
- BRONIAREK SHOW. Zygmunt Broniarek tym razem w nietypowej roli, jako twórca i reżyser programu rozrywkowego. Poniedziałek, 19. IV. pr. I, godz. 18.40.
- SENTYMENTY. Nowe piosenki Agnieszki Osieckiej do muzyki Jacka Mikuły i Severyna Krajewskiego. Śpiewa Maryla Rodowicz. Poniedziałek, 19. IV. pr. I, godz. 22.05.
- MAREK I WACEK W BERLINIE. Rewia telewizyjna z udziałem popularnego duetu fortepianowego „Kisielewski — Tomaszewski”. Poniedziałek, 19. IV. pr. II, godz. 16.10.

SPORT:

- Na taflę Widowskowsko-Sportowej w Katowicach grają:
- ZSRR — CSRS oraz Finlandia — Polska. W sobotę 17. IV. pr. I, godz. 22.45.
- Polska — Szwecja oraz ZSRR — USA. W poniedziałek 19. IV. pr. II godz. 20.25.

SZTUKA I ŻYCIE

Jerzy Wawrzak

Kilka dni temu odbyło się plenum Komitetu Dzielnicowego partii na Bałutach, poświęcone zagadnieniom kultury, w kontekście realizacji Uchwały KL PZPR z czerwca 1974 r. Ponieważ tamtej uchwały poświęciłem cykl publikacji i nadal uważam ją za doniosły dokument dotyczący naszego życia kulturalnego, dlatego z tym większym zainteresowaniem zagłębiłem się w dokumenty przesłane mi przez towarzyszy z KD Bałuty. Relacja minasto — dzielnicowa (i to najwłaściwie jest zawsze okazją do tak potrzebnych uściśleń. Najlepsze przecież programy realizowane są na podstawowym szczeblu.

Jak się rzekło, Bałuty są dzielnicą pod względem ludnościowym i potencjału przemysłowego — największą. W kulturze dominuje Śródmieście, z racji posiadania większości placówek kulturalnych o charakterze ogólnomiastowym. Jednak dynamiczny rozwój miasta następuje, jak dotąd, głównie w pozostałych dzielnicach. Niestety, nie towarzyszy mu w takim stopniu rozwój infrastruktury kulturalnej — ze względu na posiadane możliwości. (Istniejące, oczywiście priorytety, przede wszystkim: budownictwo mieszkaniowe, zwalniają mnie z rozwinięcia tego tematu). Przyjrzyjmy się więc, na przykładzie Bałut, jak wygląda sytuacja i jakie podejmuje się kroki, by w przyszłości osiągnąć odpowiednią „równowagę” między stanem materialnego i kulturalnego posiadania. Ocena dokonana przez bałuckich dzia-

laczy jest jednoznaczna. „Realizacja określonych zadań w „Programie rozwoju kultury do roku 1980 w Łodzi” dla Bałut ma poprawić istniejący stan rzeczy, albowiem stan bazy kulturalnej w osiedlach już funkcjonujących i nowo wznoszonych jest wysoce niepokojący, z wyjątkiem bibliotek. Obserwujemy brak podstawowej sieci urządzeń kulturalnych, a zwłaszcza: osiedlowych domów kultury, kin, klubów prasy i książki, księgarni itp. Obiekty, które wykryliśmy nazywać domami kultury, to pomieszczenia adaptowane, o niewielkiej powierzchni użytkowej i z rezerwy niefunkcjonalnym charakterze, dające minimalne możliwości prowadzenia działalności merytorycznej”.

Dzielnicowa organizacja partyjna, świadoma tych niedostatków, podejmowała szereg inicjatyw, które nie zawsze mogły być zrealizowane (np. budowa Teatru Powszechnego). Jednakże jakiś konkretny dorobek jest. I tak, w roku 1973 nowo siedzibę otrzymała Dzielnicowa Biblioteka Publiczna oraz dwie biblioteki rejonowe (21 i 25). Przy ulicy Rydzewskiej oddano dom kultury RSM „Lokator” i otwarto księgarnię. W roku następnym uruchomiono filię Dzielnicowego Domu Kultury przy ul. Żubardzkiej oraz metodrom przy ul. Drownowskiej. W ubiegłym roku rozpoczęła działalność „Galeria Bałucka” na Starym Rynku, kino „Iwanowo”, dom kultury w ZTK „Teofilów”, Muzeum Historii Miasta. W bieżącym roku otwarto Mu-

zeum Martyrologii na Radogoszczu, rozpoczęto budowę Osiedlowego Domu Kultury przy ul. Lanowej. (Z planów inwestycyjnych 1975 roku nie zrealizowano budowy bibliotek na Teofilowie A i w osiedlu Złotego — Stefana, nie zakończono budowy gmachu Wyszłej Szkoły Sztuk Plastycznych).

Obecny stan posiadania kultury przedstawia się następująco: 1 DDK, 1 MDK, 2 Spółdzielcze DK „Lokatora”, 3 Zakładowe DK („Poltex”, „Rena-Kord”, ZTK „Teofilów”), 26 bibliotek publicznych i 21 związkowych, 9 klubów, 14 świetlic zakładowych, 20 świetlic społecznych, 6 kin (1.916 miejsc), 8 księgarni, 1 galeria. W sumie społeczność dzielnicy korzysta z 123 placówek upowszechniania kultury, o bardzo zróżnicowanych możliwościach działania, w dodatku nierównomiernie zlokalizowanych. Stan posiadania w kulturze jest więc skromny, a ponadto pamiętać trzeba o naturalnych ubytkach (np. 5 kin przewidzianych jest do wyburzenia; obecny wskaźnik miejsc — 8,6 na 1000 mieszkańców przy średniej krajowej 19,2; łódzkiej 17,7). A potrzeby w tym zakresie rosną. Mamy więcej czasu wolnego, więcej ludzi się kształci, zmienia się model konsumpcji, wypoczynku, etc.

Dlatego w istniejących warunkach partyjne władze dzielnicy zwracają szczególną uwagę na działania optymalne w zakresie programowania, organizowania, wykorzystywania wszystkich możliwości. Zwraca się uwagę na znaczącą rolę zakładów pracy w tej materii, które jednak (poza ZPB im. Marchlewskiego, „Ortalem”, ZTK „Teofilów”, „Elita”) kulturowo-rolowej roli w sposób satysfakcjonujący swe załogi nie spełniają. Dostrzega się możliwość lepszego zagospodarowania terenów rekreacyjnych (w Parku Staromiejskim, Parku Helenowskim, Arturówku etc.) w oparciu m.in. o czyny społeczne. (W tym miejscu warto dodać, żeby nie wpaść w jakąś pesymistyczną przesadę, że dzielnica Bałuty nie jest organizmem wyizolowanym z miasta, społeczność dzielnicy korzysta z usług kulturalnych centrum, a aktywność kulturalna tożdzia w statystykach krajowych zajmuje jedno z czołowych miejsc).

Sporo można też powiedzieć o osiągnięciach. Są one różnego kalibru, ale w sumie mają poważne znaczenie dla uaktywnienia życia kulturalnego mieszkańców dzielnicy. Potwierdzić to może własnym rozeznaniem; wielokrotnie brałem udział w spotkaniach w domach kultury, bibliotekach, klubach, gdzie

przychodzą setki osób, które podczas dyskusji, rozmów dają dowód szerokiej i wszechstronnej zainteresowania. Pomysłowością w działaniu wyróżniają się Kluby „Elty”, „Stomilu”, Klub „Zubardz”, interesującą działalność i nie tylko wystawienniczą rozpoczęło Muzeum Miasta. Popularność zdobyły kilka zainteresowań wśród młodzieży. Sukcesy odnoszą amatorzy. Zespoły pieśni i tańca „Harnama” i „Marchlewskiego” znane są w kraju i za granicą. Ożywieniu działalności amatorskiej pomagają niewątpliwie zorganizowane od br. stałe przegłady twórczości amatorskiej, konkursy recytatorskie, akcja „Bliziej teatru”, sesje popularno-naukowe. MDK prowadzi systematyczną pracę z młodzieżą w zakresie edukacji filmowej. Biblioteki rejestrują 50 tysięcy czytelników (20 proc. mieszkańców), a ich działalność nie ogranicza się tylko do wypożyczania książek. Cykle odczytów, studia wiedzy powszechnej, spotkania z przedstawicielami środowisk twórczych, konkursy — to niekwestionowany udział bibliotek w rozwijaniu aktywności kulturalnej mieszkańców.

Realizowany w kraju i w Łodzi od 1974 roku program „Sojuszu światła pracy z kulturą i sztuką” ma również swe bałuckie egzemplifikacje. Np. „Elita” podpisała umowy z Teatrem Powszechnym, Filharmonią, Związkiem Plastycznym, ZPB im. Marchlewskiego — z Teatrem Muzycznym, ZTK „Teofilów” — z Teatrem Ziemi Łódzkiej i Muzeum Sztuki. Oczywiście, poza formalnymi umowami wiele zakładów dzielnicy współpracuje ze związkami twórczymi i instytucjami kultury (m.in. w sali widowiskowej „Elty” zainaugurował swą działalność teatr ZLP).

Przedstawiony powyżej, w telegraficznym skrócie, obraz działań w kulturze dzielnicy Bałuty jest, być może, zbyt czarno-biały, nie wycieniony. Sądzę jednak, że sprawa na ogółnie wrażenie pozytywne, bo takie są fakty. Rozmiar wszechstronnych działań, ich weryfikacja i próby doskonalenia świadczą, że cała armia ludzi angażuje swe ambicje i umiejętności w tę najtrudniejszą, niewymiarową i przynoszącą efekty po latach — działalność. To jest przecież najważniejsze, chociaż nie można zapominać o potrzebach. Ocena, jaką dokonało Plenum KD Bałuty świadczy, że tak właśnie myśli się w największej łódzkiej dzielnicy.

ODCŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDICH, WIESŁAW JAZDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JAN USZ SZYMAŃSKI-GLANC

ODGŁOSY

DODATEK ŚWIĄTECZNY

W NUMERZE:

opowiadanie

- Andrzej Makowiecki – „TREN NA ŚMIERĆ KLARNECISTY”
- William Sambrot – „GROŻNE MIASTO”
- Branko Belan – „KTO ZAPUKA DO MOICH DRZWI”

ŚWIAT

- Jerzy Czech – „TANIEC NA LINIE”
- „TANIA SPOD ZNAKU KOBRY”
- „BRAZYLIJSKA PRZYGODA”

publicystyka

- Jacek Indelak – „WOLNE MIEJSCE NA CMENTARZU ZIMNEJ WOJNY”

SPORT

- „POZA STADIONEM” – o sprawach trenerów i zawodnikach dyskutują piłkarze ŁKS i „WIDZEWA” dziennikarze, trenerzy...

hipotezy

- Lucjusz Włodkowski – „CO NAS CZEKA W 1982 ROKU?”
- Marianna Goździk – „CZARNE DZIURY”

Głuche pomruki dział z każdym dniem są bliższe i wyraźniejsze. Front wprawdzie powoli, ale nieuchronnie zbliża się ku szeroko rozlanym na wiosnę wodom Wezery. Nikt już nie wątpi, że wojna ma się ku końcowi. Nawet nasi niemieccy nadzorcy, długo łudzający się, że zapowiadane przez Hitlera użycie „cudownej broni” przechylą szalę zwycięstwa na stronę Trzeciej Rzeszy, jakoś ostatnio popuszczali głowy. Wałęsają się bez celu po halach fabrycznych, szepczą po kątach i już nie poganiają do roboty. Po prawdzie, to nie ma

WACŁAW
PAWLAK

WIELKANOC NAD WEZERĄ

co i dla kogo robić. W magazynie leży masa detali, niezbędnych dla wyposażenia samolotów, których nikt nie odbiera, gdyż brak jest transportu, a montownie leżą w gruzach.

Pewnego dnia mój „kumpel” z górnego łóżka, Stasek Dominiak, trochę z nudów, a trochę dla własnej potrzeby, zmajstrował z kawałka aluminiowej blachy niezłe prezentujący się garnek. Posypały się zamówienia od współmieszkańców baraków. Przy sporządzaniu któregoś z rzędu garnka, przyłapał Dominiaka na tej robocie „vorarbeiter” Wagner. Obejrzał gotowe już prawie naczynie i oddalił się z nim bez słowa.

— Wiele, póki czas! — radzę Staśkowi. — Tylko patrzeć, jak przyjdą po ciebie gestapowcy.

— A niech tam... — mówi z rezygnacją Dominiak.

Czekamy w nerwowym napięciu. Po dłuższym czasie znowu pojawia się Wagner. Jest sam. Dźwiga arkusz srebrzystej blachy. Opiera ją o stół Dominiaka.

— Masz tu blachę. Powinno wystarczyć na pięć garnków. Bierz się zaraz do roboty! Będę uważał, żeby cię ktoś nie przyłapał.

Odtąd uboczna produkcja garnków w wytwórni precyzyjnych części do samolotów znacznie się rozszerzyła. Za przykładem Wagnera poszli inni Niemcy. Z zakamarków magazynu wygrzebowali rzekomo bezużyteczną blachę, którą zręczne ręce robotników przymusowych przerabiali na różne naczynia kuchenne. Każdej niedzieli Wagner i inni nasi nadzorcy ładowali garnki do plecaków i rozjeżdżali się na rowkach po okolicznych wsiach. Garnki były wtedy w wielkiej

Dalszy ciąg na str. 32

lewym
okiem

publicystyka

JA, POSIADACZ TELEFONU...

Jako posiadacz telefonu otrzymałem pismo z Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji, informujące że „zostanie zamieniony Obywatelowi od dnia... dotychczasowy abonament telefoniczny na abonament zespołowy”; że „w tym celu zgłosi się u Obywatela dnia pracownik tutejszego urzędu. Gdyby podana data nie odpowiadała Obywatelowi uprasza się o telefoniczną wiadomość na numer....., z tym, że termin ten może być przesunięty o jeden dzień wcześniej lub później”.

Otóż nie wiem, czy podana data wizyty pracownika tamtejszego urzędu mi odpowiada, bo w miejscu kropek nie ma żadnej daty. Gdyby była i gdyby mi nie odpowiadała, też bym telefonicznej wiadomości o tym nie udzielił, bo nie wiedziałbym komu: w miejscu „na numer...” żadnego numeru nie wpisano.

Już nawet mniejsza o to, że Urząd Telekomunikacji od wielu lat wszystkie rachunki za mój telefon wystawia na Władysława, co jako żywo nie jest zgodne z moim prawowitym imieniem. List, o którym mowa, też adresowano na Władysława. Ostatecznie mogę zmienić imię i uzyskać konieczną zgodność dokumentacji ze stanem faktycznym. Ale tak:

List jest opatrzony stemplem „za zwrotnym poświadczeniem odbioru”, ale włożono go po prostu do skrzynki i nikt żadnego odbioru nie poświadczał. Ktoś, kto przystawiał tysiące stempli na tysiącach analogicznych listów, wykonał wielką pracę absolutnie zbędną, co zresztą zdarza się nieradko. Każdy z tych tysięcy listów został oddzielnie, odrębnie podpisany przez kierownika takiego i takiego. Kierownik podpisywał puste blankiety, formularze in blanco, nie wypełnione żadną konkretną treścią, odbite na powielaczu. W takiej sytuacji podpis mógł być też odbity na powielaczu, bo za co właściwie odpowiada w stosunku do mnie pan kierownik? Za to, że nie wiadomo kiedy przyśle do mnie pracownika, zmieni mi numer na nie wiadomo jaki, a jeśli mi się nie podoba, to mogę protestować nie wiadomo gdzie? Sekretarka przystawiała jednak cierpliwie tysiące pieczętek, a kierownik cierpliwie tysiące razy podpisywał.

W omawianym piśmie poprawiono w zakończeniu adres Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi. Było ul. Tuwima 36, zaikowano, poprawiono na al. Kościuszki 5/7. Ponieważ Dyrekcja znajduje się przy al. Kościuszki 12(!) już od dwóch lat, znaczy to, że formularze do abonentów, zawiadamiające o konieczności przechodzenia na abonamenty zespołowe, były przygotowane już dwa lata temu i gdzieś sobie leżały. Może je przez ten czas sukcesywnie rozsyłano poszczególnym klientom i sukcesywnie nie wpisywano danych w miejsca do tego przeznaczone, i to przeznaczone z sensem, o którym później widocznie zapomniano. Może stemplowanie, podpisywanie, adresowanie i wysyłanie tych listów stanowiło czyjąś zasadniczą pracę, wypełniało mu etatowy czas pracy? Na zdrowie.

Ponieważ w związku z moim niedawnym felietonem p.t. „Co robić? otrzymałem lekko podenerwowany list od pani, która poczuła się urażona twierdzeniem, że intelektualistki i kobiety bardzo ambicjonalnie się pracą zawodową są — czy też wydają się panom — mniej „sexy”, chciałbym — oczywiście półżartem — przypomnieć teorię pewnego profesora Uniwersytetu w Cambridge. Otóż twierdzi on, że stresy psychiczne, jakim nieuchronnie poddany jest każdy, kto piastuje odpowiedzialne stanowisko, powodują tak duże zmiany chemiczne w organizmach kobiet, że niektóre z nich zaczynają wytwarzać męskie hormony, powodujące pojawianie się na twarzy zarostu. Uczony ów, a imiennie: profesor Ivor Mills, twierdzi dalej, że zna bardzo wiele kobiet zmuszonych golić się codziennie, aby nie wyglądać na brodatych wójków. Ba, jest nawet skłonny przypuszczać, że to właśnie zmiany hormonalne wynikłe z owych nieszczęsnych stresów bardziej przyczyniły się do spadku stopy przyrostu naturalnego w Anglii, niż sławetne pigułki. Co powtarzam za „Głosem Robotniczym” na zasadzie „relata refero”, czyli w trybie „Jedna pani drugiej pani”.

Niewykluczone, że panom z kolei brody przestaną rosnąć i trzeba będzie zmienić modę. Na razie jednak czekajmy na zmianę numeru telefonu, czyli na abonament zespołowy. Ciekawym tylko, w jakim liczonym zespole będę w przyszłości otrzymywał mylne połączenia, blokady i martwe tygodnie. Boć przecież mniej niż teraz tego wszystkiego nie będzie, tylko więcej!

CWIĘK

5 marca 1946 roku ulicami mało znanego miasteczka o nazwie Fulton na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych przemknęły kolumny motocyklistów. Eskortowały one rządową limuzynę, wiozącą prezydenta USA — Harry'ego Trumana i premiera Wielkiej Brytanii — Winstona Churchilla. Jeszcze tego samego dnia nazwę „Fulton” poznał cały świat. Tu bowiem brytyjski polityk wygłosił przemówienie, nawołujące do nowej wojny.

„Od Szczecina na Bałtyku do Triestu na Adriatyku europejski kontynent został przedzielony żalazną kurtyną — mówił W. Churchill. — Świat jest teraz podzielony na komunistyczny i kapitalistyczny blok. Ażeby przeciwdziałać ekspansji komunistycznego bloku, narody mówiące po angielsku — swego rodzaju współczesna rasa panów — powinny wcześniej czy później stworzyć związek. Powinny niezwłocznie zawrzeć sojusz militarny i koordynować poczynania w dziedzinie wojskowości. Powinny poprowadzić chrześcijańską cywilizację w antykomunistyczną krucjatę.”

I. Latem 1950 roku — w szczycie „zimnej wojny” — nad Czechosłowacją, potem nad Bułgarią, Węgrami, Polską i Rumunią rozległy się sygnały wywoławcze nikomu przedtem nie znanej radiostacji.

„Przekazujemy wiadomości, lepsze czy gorsze, ale zawsze prawdziwe” — pod takim hasłem rozpoczęła nadawanie swoich audycji radiostacja „Wolna Europa”.

1 marca 1953 roku zawtórowała jej w eterze bliźniacza radiostacja — nadająca swoje programy w językach narodów Związku Radzieckiego — o nazwie „Wyzwolenie”, która po krótkim czasie przechrzciła się na „Radio Swoboda”. Obie radiostacje zarejestrowane jako „prywatne, niekomercyjne” organizacje — rozpoczęły swoją działalność na terenie Republiki Federalnej Niemiec, otwierając swoje siedziby w Monachium.

„Radio Swoboda” nazwało samo siebie „głosem byłych obywateli radzieckich, zwracających się zza granicy do swoich rodaków w kraju”. Podobną maskę przybrała „Wolna Europa”. Po kilku już jednak latach publiczną tajemnicą stało się prawdziwe oblicze obu radiostacji, zwłaszcza zaś ich, bynajmniej nie prywatnych, właścicieli i mocodawców.

W ostatnich latach ukazało się na całym świecie — w tym również i w Polsce — wiele publikacji obnażających kulisy radiowej wojny, jaką od przeszło dwudziestu lat prowadzą „Radio Wolna Europa” i „Radio Swoboda” — najsilniejsze w Europie amerykańskie ośrodki dywersyjno-propagandowe.

Jedną z ciekawszych pozycji jest bogato udokumentowana książka A. F. Panfilowa pt. „Za kulisami „Radio Swoboda”, która ukazała się niedawno nakładem radzieckiego wydawnictwa „Miedzunarodnyje otnoszenija”.

W dokumentacji zgromadzonej przez A. F. Panfilowa poczesne miejsce zajmują materiały źródłowe pochodzenia, zachodniego, przede wszystkim amerykańskiego, a wśród nich wiele oficjalnych dokumentów rządowych.

Być może dokumentacja ta byłaby znacznie skromniejsza, gdyby nie pewne sensacyjne wy-

darzenie sprzed pięciu lat, które sprawiło, że ostatnie złudzenia na temat prawdziwej roli „RWE” i „RS” rozwiły się nawet u najbardziej naiwnych przedstawicieli społeczeństw zachodnich.

Ową sensacją stała się konferencja prasowa zwołana przez jednego z amerykańskich senatorów w sobotę, 23 stycznia 1971 roku, który zapowiedział, że w najbliższy poniedziałek złoży w senacie „wstrząsające oświadczenie”.

„New York Times” w taki oto sposób zrekapitulował następnego dnia oświadczenie senatora:

„Republikański senator ze stanu New Jersey, Clifford P. Keys wysunął wczoraj przeciwko CIA oskarżenie o to, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat wydało ono kilkaset milionów dolarów na podtrzymanie działalności „Radio Wolna Europa” i „Radio Swoboda”.

Całkiem nieoczekiwany jednak obrót — nawet dla amerykańskiego społeczeństwa — przybrał dalszy rozwój wydarzeń. Zamiast oczekiwanego przez wszystkich napiętnowania taktyki fałszu i obłudy, stosowanej skutecznie od lat przez CIA, zamiast decyzji o natychmiastowej likwidacji obu dywersyjnych rozgłośni — cały skandal rozplątał się w dyskusji nad „nowymi zasadami finansowania „Radio Wolna Europa” i „Radio Swoboda”.

W niespełna trzy miesiące później zastępca sekretarza stanu USA, Irving, wygłosił przemówienie, w którym stwierdził, że „rząd zawsze uważał, że obie radiostacje (...) są nader pożyteczne”, wzywając równocześnie do wprowadzenia przepisu, który „pozwoliłby tym obu radiostacjom kontynuować swoją pracę”.

II. Gdzie drwa rąbią, tam wióry leżą. „Wiórami”, jakie posypały się podczas dyskusji w kongresie Stanów Zjednoczonych, okazało się wiele tajnych dokumentów, które, gdyby nie owa dyskusja, długo jeszcze nie ujrzałyby światła dziennego.

Do szczególnie cennych materiałów — z których wiele przytacza A. F. Panfilow — zaliczyć można zbiór dyrektyw i instrukcji, oficjalnych, poufnych i ściśle tajnych, dla pracowników „Radio Swoboda”, jakie na przestrzeni

dwudziestu lat otrzymywali oni od swych amerykańskich mocodawców. W świetle tych dokumentów wychodzi na jaw, bez żadnych już osłonek, prawdziwa rola tej radiostacji.

Instrukcja z 1965 roku stwierdzała m. in., że:

„...cele „Radia Swoboda” realizowane są drogą tworzenia modelu „gościa w domu”, przyjacielskim tonem, efektywną techniką radiową, programy zaś powinny „nakłaniać słuchaczy do obalenia komunizmu, przyczyniać się do rodzenia się wątpliwości i niezadowolona (...) przyczyniać się do dyskredytacji marksizmu-leninizmu, a w ogóle wszelkimi siłami podrywać siłę komunizmu w Związku Radzieckim i innych krajach socjalistycznych.”

Jednym z najobszerniejszych dokumentów jest — liczący 51 stron maszynopisu, a podpisany przez przewodniczącego Komitetu „Radio Swoboda”, Ch. Seargenta — zbiór instrukcji z 15 marca 1971 roku, który — podobno — obowiązuje pracowników „RS” po dziś dzień. Warto za A. F. Panfilowem przytoczyć główne tezy tego zbioru; oto zadania radiostacji:

1. „aktywna propaganda zachodniego modelu życia”;
2. „przedstawianie ZSRR i innych krajów socjalistycznych w roli społeczeństw totalitarnych”;
3. „wpajanie myśli o transformacji komunizmu i socjalizmu (...) nieuchronnym pochłonięciu socjalizmu przez kapitalizm”;
4. „aktywne dążenie do wpojenia (słuchaczom — przyp. J. I.) drobnoomieszkańskiej ideologii „rozmycie” za jej pomocą głównych wartości socjalizmu”;
5. „sięganie do nacjonalistycznej argumentacji”;
6. „dążenie do wywołania u radiosłuchaczy zwątpienia w możliwość efektywnego kierowania państwem przez partie komunistyczne”;
7. „rozmuchiwanie rzeczywistych i rzekomych trudności w krajach socjalistycznych”;
8. „szerokie wykorzystanie w celach dywersyjnej propagandy wewnętrznych dyskusji w ZSRR i innych socjalistycznych krajach”;
9. „spekulowanie na braku politycznego doświadczenia u młodzieży”;
10. „usiłowanie ukrycia oczywi-

stego związku między osiągnięciami socjalnymi i postępem socjalistycznej kultury a socjalistycznym ustrojem społecznym”.

Cele i zadania aż nadto jednoznacznie. Realizuje je na co dzień — jak pisze A. F. Panfilow — 872 pracowników „RS”, którzy mają do dyspozycji ogromny potencjał techniczny: 17 nowoczesnych nadajników o łącznej mocy 1840 kilowatów, emitujących na 40 częstotliwościach codzienne audycje w 18 językach różnych narodów Związku Radzieckiego.

III. Większość programów przygotowywanych jest w monachijskim studio radiowym przy Arabella-strasse 18. Do tej „jaskini lwa” wybrał się pewnego dnia korespondent Radzieckiej Telewizji w Bonn — Aleksander Żolkwer.

Nie było to wcale łatwe. Telefonistka mówiąca, nie wiadomo dlaczego, tylko po angielsku, rozmawiała z nim więcej niż lakonicznie. Jednym wyjątkiem od totalnego zakazu łączenia „miasta” z pracownikami „Radia Swoboda” okazał się być niejaki mister Redlich. Człowiek, który zdaniem telefonistki, jeden jedyny mógł wszystko załatwić.

Telefonistka łączy z Redlichem (dyrektor Wydziału Łączności z Prasą i Społeczeństwem „Radia Swoboda”); kiedy Żolkwer przedstawia się i padają słowa: „Moskiewska telewizja”, następuje konsternacja. Wreszcie Redlich przełamuje się:

— „Zadnej telewizji, żadnych zdjęć, ani w samym budynku, ani nawet na jego tle. A w ogóle, jedyne, na co mogę panu pozwolić — to wywiad radiowy ze mną, pod warunkiem, że wywiad ten będzie rejestrować także i ja, dla kontroli.”

W umówionym terminie radziecki dziennikarz wchodzi wraz ze swym kolegą do gmachu radiostacji przy Arabella-strasse. Strażnik. Obok tabliczka z angielskim i rosyjskim napisem: „Stój! Okaż przepustkę!”. Przepustek nie mają, strażnik wzywa więc samego Redlicha, który zjawia się po chwili i prowadzi ich całkiem wyłudnionymi korytarzami do swojego gabinetu.

Zaczyna się rozmowa. Oto jej fragment:

„Korespondent: — ujawniono informację, że wśród współpra-

cowników „Radia Swoboda”... A propos, ilu ich macie obecnie, jeśli można wiedzieć?”

Redlich — W Monachium — od 500 do 600.

Korespondent: — „że wśród waszych współpracowników nie ma jest takich, którzy podczas wojny byli kolaborantami, a nawet winni są przestępstwom nazistowskim na terenie Związku Radzieckiego. Co pan może powiedzieć na ten temat?”

Redlich — Nie mi o tym nie wiadomo. Kiedyś zadano mi już takie pytanie... Kiedy przyjmujemy kogoś do nas, sprawdzamy — w miarę możliwości — czy nie jest on w takiej czy innej formie winien przestępstwom lub aktywnej propagandy narodowo-socjalistycznej filozofii. Jeśli tak, to nie zostaje on do nas przyjęty. Ani razu nie meldowano mi, że pracuje u nas taki człowiek. Oczywiście, należy brać pod uwagę ewentualność, że jest to na tyle zakonspirowane, że — niezależnie od naszego skrupulatnego sprawdzania — jakiś tam człowiek się znajdzie.

Jak mówiłem już jednemu z pańskich kolegów, staramy się przyjmować do nas do pracy takich ludzi, którzy nie stali, ani nie stoją po prawej stronie, to jest po stronie faszystowskiej, ani też po lewej, to jest po stronie komunistycznej lecz stoją wewnątrz liberalnego nurtu...

Korespondent: — Jeśli wam...

Redlich — Jedną z waszych gazet nawet opublikowała to — słowo w słowo. Uważam to za bardzo pożyteczne. W ogóle czytam wszystkie artykuły z moimi wywiadami. Również jeden z pańskich kolegów — teraz już nie pamiętam, kto dokładnie, ale mogę sprawdzić — dał nasz wywiad.

Korespondent: — Załóżmy jednak, że otrzymałby pan dowody na to, że jeden z waszych pracowników winien jest zbrodni wojennych, czy nadal pan...

Redlich — Wówczas zwolnilibyśmy tego pracownika, na domiar bez wypowiedzenia. Byłby to bowiem również wystarczający powód do zwolnienia zgodnie z wszystkimi niemieckimi przepisami, których przestrzegamy przy przyjmowaniu ludzi do pracy.”

Praworządny i skrupulatny mister Redlich zgodnie z prawidła-

JACEK INDELAK

WOLNE MIEJSCE NA CMENTARZU ZIMNEJ WOJNY

mi tej szkoły kłamstwa i fałszu, jaką jest „Radio Swoboda” usiłował wywieść w pole Aleksandra Żolkwera. Dział kadr bowiem „Radia Swoboda” kryje w personalnych kartotekach aż nadto dowodów, że spora grupa pracowników tej radiostacji ma na swoim sumieniu zbrodnie i to nierządno nie najlżejszego kalibru...

IV. Wiedział o tym doskonale Konstanty Georgiewicz Kromiadi, szef działu kadr w którego personalnym archiwum było dość kompromitujących danych na temat wielu pracowników „Radia Swoboda”

Sam zresztą Kromiadi — jak pisze A. F. Panfilow — jest arcyciekawą ostatecznością.

Emigrant, taksówkarz berliński i konfident gestapo. Od czerwca 1941 roku robi błyskawiczną „karierę”. Uzyskuje nominację na komendanta grupy obywateli radzieckich jeńców wojennych pod Orszą. Zmienia wówczas nazwisko na Sanin. Jest to

Dalszy ciąg na str. 4



nego powodu. Nawet ślady niedawno zmarłych pozostają w drogach żyjących, jakżeby więc nie miały istnieć ślady żywego człowieka, który narusza ciszę spuszczać wodę w ubikacji, który przed ciekawskimi rozsuwa zaslonę otwierając okno, żeby przewietrzyć pokój, który innym daje do prania brudną bieliznę, który pcha się, żeby kupić gazetę w kiosku, który pije kawę zawsze w tej samej kawiarni, który denerwuje przechodniów wpatrując się w ich twarze, który przeszkadza innym poruszając się po ulicy, który sprawia, że gość zwalnia wstępując po schodach, który czasami wyrzuca zbędne rzeczy także tam, gdzie nie powinien, który w ogóle czyni nieskończenie wiele rzeczy, wyrażających jego trwanie nie tylko sobie, ale i tym, co go dostrzegają, pamiętają i jego istnienie przekazują dalej, coraz dalej, tak jak powierzchnia wody przekazuje dalej, coraz dalej, kręgi, jakie wytworzył kamień do niej wrzucony.

Kto to?

Ten z drugiego piętra.

Ach, ten, co sprawia wrażenie, że...

Wiadomo, że nie jestem generałem przed bitwą i że nie przystoi mi wpatrywanie się w pustkę, jakbym obmyślał strategiczne posunięcia. Kłamstwo zostało by szybko wykryte. Ponieważ nie poruszyłem zasłony dla każdego z zainteresowanych, zajęty jestem jakąś ważną robotą, która wymaga ciszy i zabrania światłowi z zewnątrz wtargnąć do świątyni pracy.

Co robi?

A kto go wie?!

Nie jest na emeryturze?

Katica, ta praczka, co bierze bieliznę także od Serdarów, powiada, że jest.

Mówię, że pracowałem w Urzędzie Spraw Wewnętrznych?

Może pan być pewien, że tacy i teraz...

Psssss!

Dlatego poruszałem się niewiele i starałem się, by nie zauważono, że jestem jak zegar, który nikomu nie wskazuje czasu. Przedsięwzięłem wszystko, by tego nie zauważono. Znalazłem mieszkanie, które mi to doskonale umożliwiała, mieszkanie na periferiach, w domu, który od chodnika oddzielał trawnik i kilka akacji rosnących przy ogrodzeniu. Spokojna okolica. Wczesnym rankiem słychać wróble. Trochę

pio patrzeć w nie, przyszło mi do głowy, i wycofałem się głębiej do pokoju, ale kiedy znowu zbliżyłem się do okna, stał tam jeszcze. Wydawało się, że chodzi mu tylko o to, by trzymać mnie na oku, jeśli założę, że jestem tam, gdzie naprawdę jestem.

Nie pomogło nawet to, że poruszyłem zasłoną przekonany, iż zmiana obrazu odbija się w nim jako dostrzeżenie ruchu. Nic z tego! Obserwował mnie dalej, nie poświęcając uwagi zakłóconym kształtom poza mną.

Żeby go wypróbować, zacząłem się poruszać za zasłoną, która nie była tak gęsta, żebym nie mógł go widzieć.

Teraz miałem dowód!

Obserwował mnie, ledwie zauważalnie przesuwając spojrzenie.

Gdyby rozejrzał się, mógłbym pomyśleć, że szuka czegoś na fasadzie domu, czegoś, co może spodziewał się odnaleźć w moim oknie, bo nie poruszał się więcej niż wymagało tego przybranie lepszej pozycji, z wyjątkiem chwil, kiedy przesuwałem się za zasłoną, żeby zbadać czy naprawdę patrzy na mnie.

W końcu ja nie wytrzymałem. Wycofałem się jeszcze raz. Co więcej, wyszedłem do przedpokoju i wolno zamknąłem drzwi, jakby było możliwe, że mnie słyszy. Po dziesięciu minutach wróciłem do okna.

Nie było go już!

Istnieją więc chwile, które zmuszają cię, byś się zwrócił ku sobie i kręgom, z którymi dzielisz przestrzeń i czas, i im dłużej żyłeś ślepy i głuchy na ewentualne zmiany, jakie twój krąg powoduje w cudzych, tym donioślejsze są takie chwile, coraz mniej jesteś ten sam.

Nieważne, że sam siebie ośmieliłeś się uważać za człowieka w miarę powściągliwego, który porusza się po wąskich i opuszczonych ścieżkach, bo w takiej chwili przekonujesz się, że te ścieżki przecinały się ze ścieżkami innych tworząc splątany krąg życia.

Kogo zaniepokoiłeś kiedyś do tego stopnia, że nie może znaleźć spokoju, jeśli nie wyrówna rachunku? Kiedy i jak wyrówna ten rachunek?

To jest tak, jakbyś szukał słowa w jakiejś prastarej, pleśnią przeżartej księżce (bo ile klamer, o których wiemy łączy nas z przeszłością?) Kiedyś przebiegłeś wzrokiem to słowo, ale wówczas nie znaczyło nic. Stało ci się potrzebne później, lecz zapomniałeś już z jakich liter się składało, nie znasz ani jego wagi, ani dźwięku, ani rytmu. Przeczujesz tylko jego mroczne znaczenie, jego decydującą rolę dla ważnej sprawy twego życia. Znajdź je! A co, jeśli było zapisane, to jedynie, ten jedyny raz, na stronicy wyblakłej od nieczytania, co, jeśli zostało już strawione w jelitach papierowej wszy?

Kim jest ten człowiek, który przyszedł, by się przekonać, czy jesteś tu jeszcze i jak się czuje?

Nie, nie był to dla mnie postanowienie z tamtej strony życia, który przyszedł, by mi przypomnieć o przemijaniu. Byłem daleki od wszelkich mistycznych obsesji.

On jest tym słowem, z tej prostej przyczyny, że już nie jestem ten sam, jego obecność przejmuję mnie strachem. Nie mogę już zachowywać się tak, jakby go nie było. Mogę tylko postawić pytanie:

Dalszy ciąg na str. 6

BRANKO BELAN

KTO ZAPUKA DO MOICH DRZWI

Proszę pana, wziął pan nie tę gazetę!

Jego żona...

Niech się pan, do diabła, posunie trochę na lewo!

Co ten człowiek robi całym dniami?

Dużo pan pyta.

Przyjęli głuchoniemą służącą.

Siedzi pan nie na swoim miejscu.

Nigdy nie widziałem ich razem.

Coś się stanie. Pamiętajcie, co mówię!

Kto mu umarł?

Nawet dozorca nie wie.

Sufler pytał pielęgniarce...

Wszystko to istniało w ułamku chwili pewnego chłodnego listopadowego dnia, wilgotnego od śniegu, który zwiastował wszystko to i wiele innych spraw, jakie wydarzyły się kiedyś, a potem trwały i rozwijały się, aby osiągnąć stopień pełnego napięcia. Ten ułamek chwili także był bardzo łagodnym zetknięciem kręgów, ledwie dostrzegalnym, ledwie wymiernym, a jednak wywołał przesunięcia tak silne, że nie jestem już tym, czym byłem.

Zamierające słońce barwiło jeszcze obłoki. Ta niewielka zmiana koloru obrazu za oknem przyciągnęła mnie do zasłony, której nie rozsunąłem, bo pomiędzy nią a parapetem było dosyć miejsca, a także dlatego, że nie lubię świadków, kiedy bezowocnie przyglądam się czemuś.

później zabawę małych dzieci. Gdy wieje wiatr albo deszcz pada, dociera do mnie gwizd lub wyraźne bębnienie; zwłaszcza nocą.

I kroki, kroki, kroki.

Ilekróć wyobrażam sobie dom, w którym mieszkam, zawsze widzę go, jako milczący obraz całkiem przeciętnego malarza figurального z odrobiną skłonności do impresjonizmu.

Tak więc, kiedy przestałem patrzeć na niebo o zmierzchu i przypadkiem spojrziałem w dół, zobaczyłem jakiegoś człowieka; stał oparty o ceglany murek, pod akacją, tam gdzie zachował się jeszcze kawałek ogrodzenia z kutego żelaza. Nie byłoby w tym nic niezwykłego gdyby nie to, że twarz miał zwróconą ku mnie, stał nieruchomo mimo niewygodnej pozycji i patrzył mi prosto w oczy.

Nie było wątpliwości, że patrzy na mnie właśnie tak. W białkach jego oczu zatrzymało się światło ulicznej latarni, które poprzez koronę akacji znalazło do niego drogę. Tak, właśnie tak na mnie patrzył, chociaż skryłem się w mroku. Tak, właśnie tak! Jakbym to ja był na oświetlonej platformie, nie on!

Patrzył tak, pomyślałem, w nic, bo dla niego nie mogła być czymś, ta wąska przestrzeń między zasłoną a parapetem.

Znudzili się człowiekowi tak głu-



Rys. J. Szymański-Glanc

fotografia



Foto: W. Parys

Dalszy ciąg ze str. 5

Czy postać tego człowieka w kimś innym też wywołałaby myśl, że jest to groźba? Pytanie to podają psychologicznemu testowi mego umysłu. Czy nie mam zaburzeń? Czy nie zwariowałem?

Na tysiąc ludzi dziewięćdziesiąt dziewięćdziesiąt dziewięćdziesiąt wcale by go nie zauważyło, a ten jeden człowiek, który by go zauważył, w ogóle by się nim nie zajmował. Dlaczego na mnie sprawił tak doniosłe wrażenie? Odpowiedź jest tylko jedna. Musiałem spotkać albo spotykać tego człowieka wcześniej, i to w okolicznościach, jakie wywołują napięcie wynikłe z powstrzymywanej wówczas nienawiści. Może długo myślał, że czas go wyleczy, ale czas płynął, a on był coraz bardziej chory.

Nie, nie spotkałem go tego wieczoru pierwszy raz. Szukał mnie już wcześniej. Tak samo patrzył na mnie z jakiegoś ciemnego kąta kawiarni, może z lustra na ścianie albo z korytarzyka jakiejś restauracji, tego, co prowadzi do kuchni, może tylko tak długo, jak pozwoliły mu zamykające się drzwi pchnięte biodrem kelnera. Stykaliśmy się prawdopodobnie w kłoczcie publicznym. Ale kto w takich miejscach poświęca uwagę komuś przy sąsiednim piśuarze? Mógł siedzieć w autobusie i przyglądać mi się z tyłu lub z profilu w odbiciu w szybie. Mógł czatować pod moim kioskiem i obserwować mnie, kiedy kupowałem gazetę.

Przy wszystkich tych okazjach mógł być w polu mego widzenia, na pewno zresztą był, lecz do dzisiejszego wieczoru ja go nie widziałem. A jednak jego postać wrysowywała się powoli w komórki moich zwojów mózgowych, przy każdej następnej okazji tylko na tyle, by słabe odbicie dotaczało się do istniejącego, wzmacniając je stopniowo, aż stanie się migotliwym punktem, któremu wystarczy jeden bodziec, żeby poruszyło głęboko pokłady niepokoją, obaw, przerażenia.

To się stało. Drugie pytanie, które muszę sobie zadać:

Jak mogło się zdarzyć, że zapomniałem twarzy człowieka, któremu wyrządziłem tyle zła, że po (jak długo po?) wydarzeniu (jakim wydarzeniu?), co zadało mu klęskę (jaką?), przychodzi pewnego dnia o zmierzchu pod moje okna, żeby... (co?)

Przed wszystkim nie jestem typem człowieka, który by komukolwiek świadomie wyrządził zło, jątrzące jak niezablizniona rana.

Może uczyniłem to nieświadomie, nie wiedząc? Każdemu może się to przytrafić. Kręgi przepływają się i splątane rysują nieharmonijne ornamenty, ohydne, o wiele częściej niż harmonijne. Na te nieharmonijne otepiali jesteśmy już od dzieciństwa. Tylko wyjątkowo wrażliwi ludzie stale cierpią dlatego, że je dostrzegają. Tacy chorzy są na romantyczny Weltschmerz. Ale i oni mają swój okres wypoczynku.

Jeżeli wyłączę moją nieboszczkę żonę i męczące stany, do jakich doprowadzała mnie jej obecność (nie zniknęła całkiem, bo nie jest zdolna do wielkich przedsięwzięć), realizowałem swoje wypoczynki osiagające stadium „nieznajomego”, kiedy udawało mi się siebie, jako istotę społeczną z konieczności, obserwować z akademicką obojętnością. Taki je-

KTO ZAPUKA DO MOICH DRZWI

stem, kiedy piszę te zapiski. Zdolność oddalania się od siebie jest następstwem pewnych moich specyficznych cech i wyćwiczonego sposobu, by te cechy sprawiały mi jak najmniej bólu. Od dziecka nie mogłem wytrzymać cudzych niewypowiedzianych słów, które docierały do mnie tajemniczymi kanałami metafizycznego poznania. Zadawały mi ból, jakby zostały wypowiedziane, a nawet większy, bo każda symulacja jest groźbą. Ratowałem się od tych myśli w bok, patrząc poprzez rozmówcę. Dlatego nie rozwinęła się we mnie pamięć do twarzy; nie zostawało we mnie ich odbicie. Im bardziej obłudny był właściciel twarzy, tym mniej mogłem ją zapamiętać, bo unikałem patrzenia na nią. Powiedzmy, twarz mojej żony. Gdy nie było jej przy mnie, nadaremnie próbowałem przypomnieć sobie jej twarz. Zamiast niej widziałem niewyraźny zarys, jakbym patrzył przez mgłę albo przez gałęzie, które kołyszą się i przestaniają ją drżącymi liśćmi.

Ale doskonale pamiętałem ludzi po sposobie, w jaki się trzymają, chodzą, oddalają się, dlatego, że przy rozstaniu mogłem im się spokojnie przyglądać nie niepokoiony ich myślami i zamiarami.

Oto dlaczego nazajutrz, jeszcze przed zachodem słońca, trupio bladego w zimowej powłoce, stanąłem za zasłoną oczekując nieznajomego. Ale słońce szło, zapadł zmrok, zapaliły się latarnie, a jego nie było. Przynuram krzesło, ustawiłem je oparciem ku zasłonie, oparłem głowę o poprzeczkę i czekałem, czekałem, czekałem...

Trudno było obserwować przechodni nadchodzących z przeciwnych stron.

Było to męczące.

Przechodniów robiło się coraz mniej.

Potem ich nie było.

Był tylko on.

Stał w tym samym miejscu i patrzył mi prosto w oczy w ten sam sposób, nieruchomy, jakby chodziło mu tylko o to, by zakomunikować mi swoją obecność, żebym o niej nie zapomniał albo żebym sobie przypomnieli, jeśli zapomniałem, a on zacznie działać, kiedy ostatnie. Tak to sobie obmyślił.

Ale jeśli już umknęło mi jego nadejście, nie przeoczę odejścia. Stałem i ja, nieruchomy, i z wolna zapadałem w obojętność niby uczony, który świetnie wie, że wcześniej czy później dokona odkrycia, więc poszczególne ruty-

nowe fazy przygotowań wykonuje bez emocji, mechanicznie.

I tak staliśmy obydwa długi czas, oko w oko, w nierównoprawnej sytuacji, bo on wiedział, dlaczego ja tu jestem, a ja nie.

I staliśmy tak, dopóki nie wydało mi się, że ktoś dzwoni. Drzwi wejściowe są dosyć daleko, dzieli je ode mnie jeszcze dwoje drzwi, wytyczyłem więc słuch, na wypadek, gdyby dzwonek się powtórzył.

Jeżeli dzwonek zadzwoni i ja się poddam, nieznajomy wykorzysta moją krótką nieobecność, by odejść. Jego zadanie na dziś zostało spełnione i czeka tylko odpowiedniej chwili, żeby zniknąć.

Skąd wiem, że tak jest? Zapragnąłem, by ten ktoś pod moimi drzwiami nie był nieśmiały i jeszcze raz zadzwonił, bo należało dowiedzieć, że tak jest.

Dlatego pomalutku wstałem, kiedy dzwonek odezwał się znowu (albo mi się tak wydało). Zaczęłem wycyfrować się tyłem jeszcze przez chwilę trzymając nieznajomego na oku. Potem pobiegłem na palcach.

Nikogo nie było albo nikogo już nie było.

Nie czułem się rozczarowany. Wprost przeciwnie. Tego właśnie chciałem.

Jeszcze nadarzy mi się okazja, on dopiero zaczął przychodzić.

Wciąż jeszcze jestem silny. Z niczego nie mógł wywnioskować, że tracę równowagę. Następnym razem będę na niego czekał lepij przygotowany.

Teraz, kiedy nałożyło się we mnie jeszcze jedno odbicie jego postaci, możliwe jest, że komórka, w której zaszła nieznaczna zmiana, będzie jednak emitowała elektryczne impulsy w poszukiwaniu innych komórek, które zachowały wspomnienie o nim.

Od wtedy działa się masę spraw i łatwo jest wytłumaczyć zagubienie się danych, które tworzą wspomnienie da w n e g o spotkania. Jednak, skoro coś jest, zawsze istnieje możliwość, że się odnajdzie.

Tłumaczyła:

MAGDALENA PETRYŃSKA

Fragment powieści, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego

opowiadanie

MARIANNA GOŹDZIK

CZARNE DZIURY

J. B. S. Haldane — znany uczyony i popularyzator osiągnięć naukowych — powiedział kiedyś, że wszechświat jest nie tylko bardziej dziwny niż go sobie wyobrażamy, ale bardziej dziwny niż możemy go sobie w ogóle wyobrazić. Stwierdzenie powyższe w całej rozciągłości odnosi się między innymi do tak zwanych „czarnych dziur” — obiektów tak nieprawdopodobnie dziwnych, zupełnie odbiegających swymi właściwościami od wszystkiego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni, że ich opisy wyglądają na fantastykę naukową. Żyjemy jednak w czasach, gdy fantastyka naukowa dnia wczorajszego jest dzisiaj niewzruszalnym faktem naukowym. Ażeby udowodnić, że tak rzeczywiście jest, wystarczy przypomnieć, że w latach trzydziestych obecnego stulecia wysunięto hipotezę, iż istnieje taka cząsteczka elementarna, która nie posiada ani masy (!) ani ładunku elektrycznego i, w związku z tym, nie może być bezpośrednio zaobserwowana. Cząsteczka ta, zwana neutrino, mogła się wydawać czymś zupełnie fantastycznym. Jednakże jej istnienie zostało udowodnione pośrednio, poprzez obserwację wpływu wywieranego przez nią na inne cząsteczki, a obecnie astronomowie potrafią poddawać pomiarom neutrino docierające do nas z jądra słonecznego i na tej podstawie określać panującą tam temperaturę.

Czym jest czarna dziura? Jest to określonej wielkości przestrzeń (nie ciało stałe), w której znalazła się materia i z której nie, nawet światło, nie jest w stanie wyrwać się na zewnątrz. Jeśli czarne dziury rzeczywiście istnieją, (bo jest to dotychczas nie udowodniona hipoteza) lecz hipoteza tego rodzaju, że jej odrzucenie spowodowałoby sporo zamieszania w nauce, to nigdy ich bezpośrednio nie ujrzemy, gdyż ani nie wydzielają, ani nie odbijają światła. Jak widać z tego, nazwa ich jest wyjątkowo adekwatna.

Zgodnie z teorią względności, istnieje bardzo ścisły związek między przestrzenią i czasem. Uważa się, że pojęć tych nie powinno się rozdzielać i dlatego dla ich określenia używa się wspólnego pojęcia czasoprzestrzeni. Obecność materii we wszechświecie powoduje zakrzywienie czasoprzestrzeni. Można to zaobserwować, i odpowiednie obserwacje były już przeprowadzone w czasie zaćmienia Słońca, na przykładzie zakrzywiania się trasy biegu promieni światła w pobliżu wielkich skupisk materii. W teorii względności grawitacja wyjaśniana jest tym zakrzywieniem czasoprzestrzeni; im większe zakrzywienie, tym większe działanie sił grawitacji.

W roku 1916 niemiecki fizyk, Karl Schwarzschild badał właściwości obiektów o kształcie kulistym, o bardzo dużej masie a o bardzo małych wymiarach. Otóż stwierdził on, że ciała takie musiałyby powodować bardzo poważne zakrzywienie czasoprzestrzeni. Gdyby jakiś obiekt o dużej masie, taki jak na przykład Słońce, zmniejszał nie zmieniając jego masy, to po przekroczeniu pewnej krytycznej wielkości obiekt ten zakrzywiłby czasoprzestrzeń całkowicie, zamykając ją wokół siebie tak, że wszystko, co znajdowałoby się w jej wnętrzu byłoby niedostępne dla naszej obserwacji, gdyż nawet światło nie mogłoby się stamtąd wydostać.

Ta wartość krytyczna nazwana została promieniem Schwarzschilda i można ją obliczyć stosując specjalny wzór. W wypadku obiektu takiego jak nasze Słońce, promień powstałby w wyniku tak potwornej kompresji kuli równałby się tylko trzem kilometrom! Od chwili zamknięcia się czasoprzestrzeni wokół czarnej dziury materia znajdująca się wewnątrz, pod wpływem straszliwych sił grawitacji, ulega dalszemu skurczeniu aż, jak wynika z teorii, zniknie zupełnie!

Gdyby chcieć zamienić Ziemię w czarną dziurę, trzeba byłoby ją zgnieść do rozmiarów landrynki — kulki o średnicy około dwu centymetrów! Jak z tego widać, gęstość materii w czarnej dziurze przerasta wręcz możliwości naszej wyobraźni.

Powstałe pytanie, jak może dojść do takiego zagęszczenia materii, jakie siły zdolne są tego dokonać i czy jest to w ogóle możliwe?

Aby odpowiedzieć na to pytanie trzeba najpierw przypomnieć hipotezy mówiące o powstawaniu i „biografii” gwiazd. Uważa się, że gwiazdy powstały ze skupisk materii międzygwiezdnej i pyłu. W miarę zagęszczania się tego materiału pod wpływem sił grawitacyjnych wzrasta temperatura przyszłej gwiazdy. Powstanie odpowiednio wysokiej temperatury inicjuje reakcję syntezy jąder helu z jąder wodoru. Podczas tego procesu wytwarzają się olbrzymie ilości energii i gwiazda zaczyna świecić wypromieniowując energię w przestrzeń. W wypadku Słońca energia wypromieniowana w ciągu sekundy równa się, w przeliczeniu na masę, 4 milionom ton.

Każda gwiazda musi osiągnąć stan równowagi pomiędzy wpływem jakiegoś wywierania na nią wytwarzania energii (tendencja do powiększania objętości) a ciężarem jej warstw zewnętrznych (tendencja do zmniejszania objętości). Po określonym czasie „palivo” wodorowe wyczerpuje się

przez elektrony wokół jąder atomowych.

„Kariera” gwiazdy zależy od jej początkowej masy. Przejście przez fazy czerwonego olbrzyma i białego karła czeka gwiazdy o masie porównywalnej z masą Słońca.

Jeśli jednak początkowa masa gwiazdy przekracza o 1,4 raza masę Słońca, nie kończy ona swego żywota jako biały karzeł lecz dalej kurczy się pod wpływem przemożnych sił ciążenia, aż osiąga stan, gdzie elektrony i protony (o ładunkach elektrycznych odpowiednio ujemnych i dodatnich) zostają sprasowane razem, w wyniku czego powstają z nich obojętne elektryczne neutrony. Powstaje w ten sposób gwiazda neutronowa, której centymetr sześcienny waży około sto milionów ton. Gwiazda znowu osiąga stan równowagi między siłami grawitacji a oporem stawianym dalszemu ścisłaniu przez neutrony. Gdyby Słońce zamienić w gwiazdę neutronową, osiągnęłoby ono średnicę równą dziesięciu kilometrom.

Nie obliczono jeszcze jaką początkową masę musi mieć gwiazda, aby mogła zakończyć swą karierę jako czarna dziura. Przypuszcza się, że winna ona równać się masie dwukrotnie lub trzykrotnie większej od masy Słońca. Gwiazda taka, po przejściu wszystkich omówionych tu etapów

przez elektrony wokół jąder atomowych.

„Kariera” gwiazdy zależy od jej początkowej masy. Przejście przez fazy czerwonego olbrzyma i białego karła czeka gwiazdy o masie porównywalnej z masą Słońca.

Jeśli jednak początkowa masa gwiazdy przekracza o 1,4 raza masę Słońca, nie kończy ona swego żywota jako biały karzeł lecz dalej kurczy się pod wpływem przemożnych sił ciążenia, aż osiąga stan, gdzie elektrony i protony (o ładunkach elektrycznych odpowiednio ujemnych i dodatnich) zostają sprasowane razem, w wyniku czego powstają z nich obojętne elektryczne neutrony. Powstaje w ten sposób gwiazda neutronowa, której centymetr sześcienny waży około sto milionów ton. Gwiazda znowu osiąga stan równowagi między siłami grawitacji a oporem stawianym dalszemu ścisłaniu przez neutrony. Gdyby Słońce zamienić w gwiazdę neutronową, osiągnęłoby ono średnicę równą dziesięciu kilometrom.

Nie obliczono jeszcze jaką początkową masę musi mieć gwiazda, aby mogła zakończyć swą karierę jako czarna dziura. Przypuszcza się, że winna ona równać się masie dwukrotnie lub trzykrotnie większej od masy Słońca. Gwiazda taka, po przejściu wszystkich omówionych tu etapów

Dalszy ciąg na str. 8



Foto: W. Parys

CZARNE DZIURY

(Dokończenie ze str. 7

rozwoju i staniu się gwiazdą neutronową, kurczy się w dalszym ciągu, gdyż pomimo fantastycznego zagęszczenia materii nie ma siły zdolnej przeciwstawić się potwornym siłom grawitacyjnym tak olbrzymiej masy. W jakiś czas od momentu zaprzestania produkcji energii i rozpoczęcia stadium kurczenia się następuje katastrofa: gwiazda eksploduje wyrzucając w przestrzeń fantastyczne ilości energii i ma-

Co dzieje się z materią, która znalazła się w czarnej dziurze?

Z odpowiedzią trudno nam się pogodzić lecz ulega ona dalszemu sprasowaniu, aż w końcu znika zupełnie! W związku z tym powstała teoria, że materia znikająca w naszym wszechświecie pojawia się znowu w innym, istniejącym równoległe z naszym, wszechświecie. Można również sobie wyobrazić istnienie czegoś, co działa odwrotnie niż czarna dziura, czyli czegoś, co wytwarza materię z niczego! Obiekt taki, nie będący w

objektów podwójnych, z których jeden może być jasno świecąca gwiazdą a drugi może być całkowicie niewidoczny. Jeśli ten niewidoczny obiekt posiada silne pole grawitacyjne, zakłóca on bieg swego sąsiada. Na podstawie tych zakłóceń da się obliczyć siłę pola, a co za tym idzie, i masę niewidocznego obiektu. I choć nie ma jeszcze absolutnie bezspornych dowodów, można podejrzewać, że niektóre, o wyjątkowo dużej masie obiekty tego rodzaju, to czarne dziury. Można także domyślać się istnienia czarnych dziur tam, gdzie znajdują się źródła silnego promieniowania. W chwili obecnej „pierwszym podejrzany” — kandydatem na czarną dziurę jest niewidoczny obiekt towarzyszący gwiazdzie znajdującej się w gwiazdozbiórze Łabędzia, określanej w katalogu jako HDE 226868.

Mimo że istnienie czarnych dziur nie zostało całkowicie udowodnione, myśli się już o nich jako o możliwych źródłach energii. Wyobraźmy sobie sztuczną mini-dziurę na orbicie okołoziemskiej. Wrzucając do niej materię w dowolnej postaci (na przykład odpadków) uzyskiwalibyśmy olbrzymie ilości energii w formie promieniowania, które powstawałoby w chwili zagęszczenia i „zasysania” materii przez dziurę. Wystarczyłoby tylko (!) chwycić i transportować tę energię na Ziemię.

Z pojęciem czarnej mini-dziury związana jest także jeszcze jedna hipoteza wyjaśniająca tajemniczy wybuch w tajdze syberyjskiej w roku 1908. Twierdził się mianowicie, że była to taka miniaturowa czarna dziura o średnicy mniejszej niż milionowa część centymetra, która przeszła przez Ziemię na wylot, polykając po drodze tyle materii, ile się dało. Wytworzona przy tym energia spowodowała wybuch przy zetknięciu się dziury z ziemią. Autorzy tej hipotezy twierdzą, że zbadanie wszystkich zapisów z tego czasu powinno wykazać, że podobna ilość energii została wyzwolona w punkcie wyjścia — północnych rejonach Oceanu Atlantyckiego — powodując powstanie olbrzymich fal.

Na szczęście dla nas dziura ta miała taką prędkość, że przebiła naszą planetę na wylot i powędrowała dalej. Strach pomyśleć, co stałoby się z nami, gdyby dziura ta, na skutek małej prędkości, pozostała wewnątrz globu ziemskiego: polykając coraz to większe ilości materii zniszczyłaby w końcu cały nasz świat.

Ostatnie słowo nie zostało jeszcze powiedziane na temat czarnych dziur. W najbliższej przyszłości z pewnością dowiemy się nowych, interesujących rzeczy na ten temat.

opowiadanie

Paweł idzie ulicą Cmentarną. Wygląda, jak młody adwokat: futerał z klarne-tem można wziąć od biedy za aktówkę. Zerka na zegarek. Pięta. Przyspiesza kroku. Wyprzedza go pustawy, podzwaniający na skrzyżowaniach tramwaj.

Przed bramą cmentarza siedzi za straganami kilkanaście bab. Na straganach plawią się w wiadrach chryzantemy, astry, bratki, róże, goździki. Na ziemi leżą wieńce z czarnymi i fioletowymi wstęgami. Mały, umorusany chłopak przycupnął w kucki pod ścianą i sprzedaje znicze.

Paweł podchodzi do straganu, na którym stoją w doniczkach białe chryzantemy. Wybiera tę najładniejszą, największą. Baba o tłustej twarzy i sprytnych oczach obrzuca go taksującym spojrzeniem. Mówi:

— Siedemdziesiąt, panie kawalerze.

Paweł płaci bez targu.



Foto: W. Parys

terii. Eksplozja ta znana jest pod nazwą wybuchu „supernowej”; pozostała po eksplozji materia w jądrze kurczy się, aż staje się czarną dziurą.

Przy gwiazdach jeszcze większych, o masie przekraczającej dziesięciokrotnie masę Słońca, nie będzie wybuchu supernowej; w bardzo krótkim czasie pozostanie z gwiazdy tylko czarna dziura.

sprzeczności z teorią względności, otrzymał nazwę „białej dziury”. Zaobserwowano takie miejsca na niebie, gdzie, na podstawie emitowanego stamtąd silnego promieniowania, można przypuszczać, że materia wprost wylewa się do naszego wszechświata. Być może istnieją równoległe obok siebie dwa wszechświaty, które mają ze sobą punkty styczności w miejscach powstawania czarnych i białych dziur?

Ponieważ istnienia czarnych dziur nie można zaobserwować bezpośrednio, astronomowie poszukują takich obiektów na niebie, których zachowanie się mogłoby być wyjaśnione wpływem znajdujących się w ich pobliżu czarnych dziur. Wpływ ten, to przede wszystkim grawitacja. Ciekawe w tym względzie są obserwacje



Kroczy cmentarną alejką. Mi-ja duży, drewniany krzyż i murowaną kaplicę. Patrzy na zegarek. Kwadrans po piątej. Rozgląda się bezradnie po cmentarzu. Dwóch chłopców siedzi w milczeniu na ławce obok świeżej mogiły. Kobieta niesie w dwóch butelkach po wódce wodę ze studni. Inna kobieta o wyglądzie zadowolonej z życia emerytki uprząta miotełką ziemię wokół grobu.

Paweł skręca w boczną alejkę. Kiedy mija granitową, porytą złotymi literami ścianę rodzinnego grobowca, dostrzega nagle w oddali, nie opodal plotu, sporą grupkę ludzi.

Przyśpiesza. Staje za plecami byle jak ubranych mężczyzn i kobiet. Ksiądz i jego dwóch osowiałych pomocników kończą już za-

czym podchodzą do trumny: łapią za parziane pasy, żeby ją spuścić do dołu. W tym samym momencie zaczyna się ruch w orkiestrze. Banjista podaje swój instrument trębaczowi, ten z kolei wręcza banjście wyniecioną kartkę papieru.

Banjista przepycha się z papierem w bezpośrednie sąsiedztwo grobu i ruchem ręki stopuje skwapliwych grabarzy. Ktoś z tłumu syczy, gdyż banjista ubrany jest strasznie: dżinsy, obrzępiona koleczka, zaśniedziałą medal na piersiach; długie, sięgające pleców włosy; ropa w oczach, mycha na policzku. Rozgląda się groźnie dookoła. Podnosi do oczu kartkę, opuszcza ją i zaczyna ni to mówić ni czytać: — Odszedł od nas człowiek wielkiego serca i ogromnego talentu...

Rodzina zmarłego skromnie spuszcza oczy, tu jednakże banjista znowu włącza drugi bieg:

— Ale nie zarabiał. Na jazzie dzisiaj nie można zarobić. Trzeba grać szmoncesy... — Pauza. — Ciężko mu było? Ciężko! Obecna tu żona i dzieci! — wytyka palcem cisnąc się do kolan młodej kobiety gromadkę — mogą przyświadczyć, że z trudem wiał koniec z końcem. Proszę popatrzeć jak ubrana jest rodzina wybitnego solisty! Czysta zgrzyzota!

Zażenowany tłum przestępuje z nogi na nogę. Grabarze wywalają gały. Ksiądz słucha z szeroko rozwartymi ustami.

— Nieboszyk też chodził ubrany jak lachmaniarz. Nie dojadł, nie dopił, nie dośpał... Gruby, lisy, ociekający potem i nieszczęściem jegomość, trzy-



rozmachem w bęben i orkiestra zaczęła grać, głośno i niestojnie. Nie był to bynajmniej żalobny blues, tylko dość skoczny, chicagowski kawałek. Muzycy wydymając policzki, dziarsko przytupywali do taktu nogami: klarne- cista wyl w górnym rejestrze, trębacz rzał, saksofonista zanosił się wibratem, puzonista z pasją atakował niskie dźwięki; sekcja rytmiczna, do której niebawem dołączył banjista, podrygiwała w transie.

Wśród zebranych wybuchła coś w rodzaju paniki. Z innych części cmentarza zaczynają zbiegać się gapi.

Ksiądz zasłania twarz rękami i wpychając kciuki w uszy odchodzi na stronę.

Skonsternowani grabarze cofają się pół kroku.

Gruby, lisy, ociekający potem jegomość puszcza nagle kruchą, lecącą z nog niewiastę. W chwili, kiedy niewiasta osuwa się miętko na ziemię, jegomość podbiega drobnymi kroczkami do orkiestry i zaczyna wyrwać banjście instrumentu, wrzeszcząc:

— Jazda stąd, łobuzie, zbrodniarzu! Nie dość, żeś mi syna wykończył, jeszcze beczesz się jego pamięć!...

Paweł stawia na ziemi doniczkę z chryzantemą i wycofuje się niezauważenie z tłoku. Jakis czas goni go oburzone krzyki, piski, a także dźwięki zamierającego, instrumentu po instrumentach, di- xielandu.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

TREN NA ŚMIERĆ

KLARNECISTY

łobne pienię. Trumna spożywa na krawędzi głębokiego dołu. Trzech grabarzy czeka w ponu- rej gotowości, wspierając się o dżiwce łopat. Wyrostek trzyma w ręku czarną tabliczkę:

Sp.

Janusz Zbijewski
muzyk

ur. 4.X.1941 — zm. 28.VIII.1963
Prosi o westchnienie do Boga

Najbliżej grobu znajduje się żalobnie przyodziana rodzina: troje małych dzieci z kwiatami, młoda kobieta w czerni, parę innych, przykładnie zmartwionych osób, wśród których zwraca uwagę stara, krucha, lecąca z nog niewiasta oraz trzymający ją pod pachę przysadzisty, gruby, lisy, ociekający potem i nieszczęściem jegomość.

Na uboczu, stroniąc niejako od reszty, stoi w słońcu siedmioosobowa orkiestra (puzon, klarne- t, trąbka, saksofon tenorowy, banjo, kontrabas i zawieszony pasami na ramionach perkusista bęben). Instrumenty połyskują w słońcu. Na bębnie pisze wielkimi literami JAZZ LOVERS. U stóp orkiestry spoczywa pokaźnych rozmiarów wieniec z tekstem na wstę- dzie: DROGIEMU SYSSOWI — KOLEDZY.

Ksiądz wypowiada ostatnie sło- wo modlitwy. Zapada cisza. Gra- barze odczekują kilka chwil, po-

Rodzina na te słowa uspokaja się trochę. Napięte twarze łagodnieją. Ktoś pociąga nosem.

— Odszedł od nas prawdziwy artysta, wierny jazzowi po ostat- nie swoje technienie. Kiedy za- czynął karierę muzyka, mawiało się: JAZZ to PIENIĄDZ. I tak było. Aż tu przyszedł od Zachodu różne rocki, calypsa, twisty, za- częły się wpychać w interes różne Bitlessy... — Głos banjisty podnosi się nagle i wprost zionie niena- wiścią... — różne niedouki, palo- głowy przyglupaste, żeby ich wszystkich trafił szlag! Barachło przekłete!

Żalobnicy patrzą po sobie zdumieni; nie wiedzieli, że jest ja- kaś różnica pomiędzy big-beatem i jazzem. Ktoś znowu pociąga no- sem. Ktoś syczy. Mówca wzdryga się, Zerka w kartkę i podejmuje dużo spokojniejszym, nieszczę- rym, pełnym fałszywej zadumy tonem:

— Słuchacze zaczęli odwracać się od jazzu. To samo można powiedzieć o niektórych wyko- nawcach, nie muszą chyba wy- mieniać nazwisk, wszyscy je zna- my... Ale Janusz nie należał do zdrajców. Tak jak nie grał nigdy oberków i tang, tak nie poszedł również na lep big-beatu. Nie dał się uwieść pieniądзом, które podsuwali mu z różnych stron judasze. Jakby chciał, mógłby za- robić więcej, niż jakikolwiek czło- wiek w tym mieście. Mógłby spać na złocie, jeździć samochodem, opływać w dostatki...

mający pod pachą kruchą, lecącą z nog niewiastę, najwyraźniej zmienia się na twarzy: w miejsce smutku pojawia się oburzenie, a potem wściekłość, jako że mówca jedzie mu wyraźnie po honorze.

— ... ale do końca zachował twarz — kontynuuje banjista. — Jest to piękny przykład wierno- ści sztuce! — Milknie na moment. Jego wzrok spotyka się ze wzro- kiem Pawła. Daje ręką znak, że- by Paweł dołączył do orkiestry. Paweł ostantacyjnie odwraca głowę. Banjista gubi wątek. Namyś- la się. Wreszcie zerka w kartkę i kończy: — Jestem kierowni- kiem studenckiego Jazz-Clubu i jako taki ręczę honorem za każ- de wypowiedziane tu słowo! Zna- lem Janusza jak nikt. Przez pięć lat graliśmy w jednym zespole. Przyrzekliśmy sobie, że jeśli któ- ryś z nas umrze, odbędzie się w Klubie na Jego Cześć uroczys- ty koncert. I odbędzie się taki, o dziewiętnastej dziś wieczór. Mamy zaszczyt zaprosić wszyst- kich tu obecnych...

Kłania się. Rodzina zdradza o- znaki odprężenia. Ktoś pociąga nosem. Ale banjista ma jeszcze ostatnie słowo:

— Przyrzekliśmy sobie rów- nież, że ten, co umrze, zostanie pochowany przy dźwiękach di- xielandu, jak to kiedyś na po- grzebach w Nowym Orleanie by- wało. Koledzy! — wyrzuca do góry rękę.

Nim ktokolwiek zdążył się zo- rientować, perkusista grzmotnął z

propozycje

Jest kilka książek, które można zupełnie spokojnie i bezpiecznie recenzować, bez obawy, że autor się oburzy, nawymyśla recenzentowi i przez kilka dni będzie chodził po świecie obrażony na wszystkich razem i każdego z osobna. Do tych kilku książek należy między innymi rozkład jazdy PKP czy PKS. Zaliczyć tu wypada również książkę telefoniczną, chociaż jest to książka szczególnie i wbrew pozorom niezwykle interesująca.

Ukazał się właśnie „Spis telefonów 1976/77 województwa miejskiego łódzkiego”. Wydawcą tej

bez fantazji i wyobraźni. Na kartach książki telefonicznej rozgrywa się jedna z najbardziej interesujących akcji naszej współczesności. Trzeba tylko na książkę telefoniczną patrzeć jako na dokument czasu, a nie jako na beznamiętny spis telefonów instytucji i osób prywatnych.

Przed wszystkim dla wielu ludzi książka telefoniczna jest jedynym miejscem, gdzie mogą w druku zobaczyć swoje nazwisko. Pod warunkiem wszakże, iż dane im było stać się właścicielami luksusu naszych czasów — telefonu. Jan Kowalski, Jan Nowak i Jan Malinowski są synonimami przeciętnej Polaka. W książce telefonicznej stają się konkretnymi ludźmi z numerem telefonu, adresem, a czasem nawet z podanym zawodem. Na kartach książki telefonicznej można spotkać wielu znajomych, o których już się zapomniało, których dawno się nie widziało, a teraz wystarczy sięgnąć po słuchawkę aparatu telefonicznego, aby — uzyskawszy połączenie — zapytać: — Jak ci leci, co u ciebie nowego? — i ewentualnie umówić się na kawę lub coś mocniejszego.

Na kartach książki telefonicznej odnotowuje się też przemiany, jakie zachodzą w naszym życiu

wysiłkiem szukał „WIZAMETU”. Pod literą „W” zakłady te nie figurowały. Obecnie błąd ten naprawiono. Wprowadzono szereg odsyłaczy. Na przykład „WIDZEW” można znaleźć pod „W”, gdzie widnieje odsyłacz: „patrz Robotnicze Towarzystwo Sportowe”. Wprowadzono też pewne grupy nazw, stanowiące wskazówkę, gdzie szukać konkretnej instytucji: „Banki”, „Bary”, „Dziwiarski przemysł”, „Wielki przemysł”, „Dworce”, „Budownictwo” i td.

Ten logiczny system rozmieszczenia informacji nie doprowadzono jednak do końca. „WIFAMY” nadal bowiem trzeba szukać pod Widzewske Zakłady Maszyn Włókienniczych „Polmatex — Wifama”, choć odpowiedni odsyłacz można znaleźć pod literą „P”: „Polmatex — Wifama” — patrz Widzewske Zakłady Maszyn Włókienniczych. Trudno jednak za to do końca winić autorów łódzkiej książki telefonicznej. A trudno dlatego, że nazwy popularnych zakładów ulegają ciągłym zmianom. „Dywilan” wrósł już w pejzaż gospodarczy Łodzi i fabryka ta znana jest przede wszystkim pod tą nazwą. Nie ma jej jednak pod literą „D

opowiadanie

Ed Dillon zatrzymał się niepewnie przed elegancką żelazną furtką, za którą widać było alejkę wiodącą do drzwi wygodnego domu ukrytego wśród drzew niewielkiego ogródka. Przełożył do drugiej ręki zniszczoną torbę z reklamówkami towarów nie zauważając napisu umieszczonego na widocznym miejscu w pobliżu klamki. Napis głosił: „Handlarzom wstęp wzbroniony”. Ed czuł ogarniające go znużenie — znużenie wędrownego sprzedawcy po całym dniu pełnym drzwi zatraskiwanych prosto w twarz. To było niedobre miasto. Niebezpieczne miasto.

Kilkanaście minut temu miejscowy konstabl rzucił mu długie, podejrzliwe spojrzenie. Ed przeszedł obok niego z pewnością siebie, której wcale nie czuł. Stał się wyglądać jak syty i zadowolony turysta, który czekając na kolejny autobus postanowił rzucić okiem na miasteczko. Ale policjant nie dał się oszukać. Zauważył popękane buty, wyswiechtaną marynarkę i starą torbę. To było ciężkie miasto. I tylko dwie mizernie sprzedaje. Spojrzał na zegarek i wrzucił ramionami. Jeszcze tylko jedna próba tutaj i później szybki spacer do stacji autobusowej, jakaś kanapka i o 5,15 autobus do następnego miasta.

Otworzył furtkę i przeszedł dwa kroki, kiedy zaatakował go pies — czerwony, rozarty pysk, ociekające śliną, wyszczerzone kły. Dziwny, straszny pies, który kręcił się w milczeniu za pobliskim krzakami i nagle wyskoczył z niego z głuchym, wściekłym skowytym. Instynktownym ruchem zrodzonym z długiej praktyki Ed wyciągnął przed siebie rękę z torbą i żeby psa zdarły mu tylko skórę z palców. W chwilę później zwierzę przebiegło obok niego i uciekło wśród skowytu i złowróżbnego wycia.

Patrzył za nim ssać zranione miejsce. Serce biło mu jak młotem. Kątem oka zauważył gwałtowny ruch zasłony w oknie, a w chwilę później otworzyły się drzwi i wyszedł z nich wysoki, siwy mężczyzna. Szybkim spojrzeniem obrzuł handlarza od stóp do głów i Ed widząc zaciętość w jego twarzy i zmrużone oczy o przesywającym spojrzeniu wiedział, że tutaj nie mu się nie uda sprzedać. Podniósł więc szybko torbę, otworzył furtkę i pospiesznie wyszedł.

„Poczekaj!” — krzyknął siwołosy mężczyzna. „Hej, ty! Wracaj natychmiast. Zatrzymaj się! Chodź tu z powrotem!”

Ale Ed szedł szybko dalej nie oglądając się za siebie.

Siedząc nad filiżanką kawy dwadzieścia minut przed odja-

JAN KOWALSKI I INNI

tak potrzebnej książki jest „WYDAWNICTWO KOMUNIKACJI I ŁĄCZNOŚCI” Nakład: 70 tys. egzemplarzy. Oddano do składania w październiku 1975 roku. Podpisano do druku w lutym 1976 roku. Druk ukończono w marcu 1976 roku. Łódzka książka telefoniczną drukowały Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Łodzi.

Informację tę podają nie bez powodów. A powodów jest kilka. Pierwszy to fakt, że łódzka książka telefoniczna powstała niejako z marszu. Już po reformie administracji z czerwca 1975 roku. Musiała więc uwzględnić zmiany, jakie zaszły w tym czasie i to nie tylko terytorialne. I takie zmiany — przynajmniej w większości — uwzględniła. Powód drugi — to wiele głosów krytycznych, jakie padły pod adresem poprzednich książek telefonicznych. Jeśli te głosy potraktować poważnie, to trzeba byłoby wprowadzić do nowej edycji książki telefonicznej te wszystkie postulatory, które pod adresem wydawcy zgłosili klienci poczty. I muszę przyznać, że w większości postulatory te wzięto pod uwagę. Trzecim powodem, dla którego podałem po .zsze informacje jest wskazanie adresata ewentualnych pretensji za jakość druku.

W starym dowcipie mówi się, że książka telefoniczna jest niezwykle interesującą lekturą, w której można spotkać ogromną ilość bohaterów, ale w której nie ma żadnej akcji. Nic błędniejszego. Taki dowcip stworzył człowiek

gospodarczym i społecznym. Na ul. Ogródowej 15 był kiedyś Urząd Wojewódzki. Wystarczy sięgnąć do „Dodatku” nowej książki telefonicznej, aby przekonać się, że dziś jest tam Muzeum Historii Miasta Łodzi (tel. 78400), Towarzystwo Przyjaciół Łodzi (tel. 77392) i Zespół Filmowy „Profil” (tel. 76807). Jeśli ktoś będzie natomiast szukał „Estrady Łódzkiej” i nie zajrzy do „Dodatku”, to nie dowie się, że nie ma jej już przy ul. Zeromskiego 100, gdzie dziś powstaje dwupoziomowe skrzyżowanie łódzkiej trasy „W-Z” z ul. Zeromskiego i nie będzie wiedział, że mieści się ona obecnie przy ul. Narutowicza 28, tel. 20961.



Poprzednią edycję książki telefonicznej krytykowano m. in. za to, że niektóre instytucje znajdowały się zupełnie nie tam, gdzie je należałoby szukać. Sam byłem świadkiem, jak pewien starszy człowiek z uporem i ogromnym

i nie ma tam żadnego odsyłacza. Jest natomiast w zgrupowaniu „Fabryki”, czyli pod „F”. Ale już popularny kombinat „Teofilów” można znaleźć pod literą „T”, gdzie odsyłacz kieruje we właściwe miejsce: „Zakłady Tekstylny-Konfekcyjne”. Jednakże „Uniontextu” nie znajdzie się pod „U” tylko pod „E” — jako Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju”. Podobnie „Poltex”, „Lodex”, „Polmerino”. Ale już „Eiester” ma aż dwa odsyłacze: pierwszy pod „A” — „Aparel” i drugi „Eiester”, choć nazwa fabryki brzmi: Zakłady Aparatury Elektrycznej „Ema-Eiester”. Nie są to jedyne niekonsekwencje nowego spisu telefonów.

Co by się jednak o nowej łódzkiej książce telefonicznej nie mówiło, to jest ona niewątpliwie lepsza od poprzedniej. A jej największą zaletą jest to, że w ogóle już jest, że można z niej korzystać, co jest ogromnym ułatwieniem w trudnej sztuce posługiwania się telefonem. I chociaż nie wątpię, że szybko postępujące życie w jakimś stopniu ją zdezaktualizuje, to z radością donoszę o pojawieniu się nowego spisu telefonów. A zrecenzowanie tej książki podjąłem się nie dlatego, że jest to książka najbezpieczniejsza, ale dlatego, że jest to lektura pasjonująca. Spróbujcie a sami się przekonacie. Miłej lektury!

MARCIN RODAK

KSIĄŻKA

Nie miała Łódź jakoś szczęścia do albumów, przynajmniej do tej pory. Zawsze coś zawodziło. Albo sposób uporządkowania rycin, albo jakość reprodukcji, albo wręcz bagatelność treściowa propozycji serwowanych nam przez rozmaitych wydawców. I zapowiadało się, że tak już zostanie, chociaż poziom edytorski wyda-

wydawca na karcie tytułowej. A więc po kolei. Tekst i wybór zdjęć: Antoni Szram. Zdjęcia: Andrzej Wach. Opracowanie graficzne: Sebastian Paszczenko, Janusz Wiktorowski. Redaktor techniczny: Andrzej Cierpikowski. Wydawca: Krajowa Agencja Wydawnicza Oddział w Łodzi.

Czytelnik wybaczy mi chyba tę długą, jakby wziętą z krótkometrażowego filmu, „czołówkę”, ale w tym wypadku była ona niezbędna. Nasuwają się zresztą także inne porównania z filmem, bo przecież albumy są książkami przede wszystkim do oglądania i dobrze jest, kiedy posiadają własną, wewnętrzną dramaturgię. Wówczas i doznania estetyczne, które towarzyszą obcowaniu z taką książką, są pełniejsze i głębsze.

ŁÓDZKI ALBUM



Foto: W. Parys

wanych u nas książek wzrasta, chociaż nasza poligrafia na tle osiągnięć światowych nie jest już tylko Koptuskiem.

Nie miała więc Łódź szczęścia do albumów. Może dlatego, że etymologia tego słowa wywodzi się od łacińskiego albus, co oznacza biały. Nie biała plama wprowadziła, ale tak czy inaczej dla wydawnictw albumowych Łódź pozostawała biała, nie zapisaną ciągle kartą. I oto spotyka nas ogromne zaskoczenie. Bez żadnych zapowiedzi ukazała się książka o nieatrakcyjnym tytule „ARCHITEKTURA ŁÓDZI PRZEMYSŁOWEJ”, która zastanawiała nas swoją przemyślaną zawartością treściową, wysoką jakością propozycji formalnych, doskonałym poziomem edytorskim. Nie waham się nazwać jej wydarzeniem. A w każdym razie pewne jest, że po raz pierwszy Łódź otrzymuje o sobie album z prawdziwego zdarzenia.

Na sukces tej książki złożył się wysiłek wielu ludzi. Zanim rozdzielmy cenzurki wymieńmy ich wszystkich tak, jak uczynił to

Czym więc jest seans pod nazwą „Architektura Łodzi przemysłowej”? Jest przede wszystkim przygodą z miastem, którego właściwie nie znamy, którego nie dostrzegamy na co dzień. I ma chyba rację Antoni Szram, gdy charakteryzując pracę, której podjął się z fotografikiem Andrzejem Wachem, stwierdza: „Przedstawiona w tym albumie Łódź przemysłowa jest miastem marzeń i niespełnionych wolań jeszcze nadziei. Sztukę swoją prezentuje przede wszystkim pod postacią architektury.”

Nie jest to aż tak oczywiste, jak się wydaje z pozoru. Przez całe lata powątpiewaliśmy przecież, czy Łódź posiada jakiegokolwiek zabytki, przez które tu rozumieć należy nie tyle starożytne budowle, ile obiekty historyczne o nieprzemijającej wartości estetycznej, które potrafią wzruszyć nas swoją urodą, zmusić do refleksji nad przeszłością, sprokować do zadumy nad kształtem miasta uważanego bezpodstawnie za miasto bez twarzy, bez wyrazu. I w moim odczuciu al-

bum „Architektura Łodzi przemysłowej” jest wielką rehabilitacją miasta. Jest także, ze względu na swoje walory poznawcze, jego wielkim, ponownym odkryciem.

Jakimi środkami osiągnięty zostaje ten efekt? Myślę, że decydująca jest tutaj pasja badawcza Antoniego Szrama, który ośmielił się sprzeciwić obowiązującym przesądom estetycznym i w swoim udokumentowanym wywodzie ukazał ewolucję form architektonicznych, które zaważyły na dzisiejszym kształcie Łodzi. Przyzwyczajiliśmy się bowiem widzieć przeszłość jako strukturę zamkniętą, wyizolowaną, jako coś, co wprawdzie istniało, ale traci znaczenie w nowych warunkach. Tymczasem, czy nam się to podoba, czy też nie, przeszłość trzeba widzieć w kategoriach dynamicznych, bo ona jest aktywna niezależnie do naszych chęci.

Dlatego też ze wszech miar słuszna wydaje się przeprowadzona na kartach albumu próba konfrontacji tego, co już historyczne, z tym, co dyktuje nam współczesność. Tak przynajmniej pojmuję poprzedzającą właściwą dokumentację tekę archiwalnych zdjęć ze zbiorów wybitnego łódzkiego architekta Hilarego Majeńskiego (jest on w pewnym sensie odpowiedzialny za styl historycznych budowli) oraz B. Wilkoszewskiego, autora wydanych w r. 1896 „Widoków Łodzi”. Te materiały ikonograficzne nie zostały zresztą przez autorów potraktowane li tylko formalnie. Są to właściwie cytaty ze zdjęć wydobywające detal architektoniczny, ukazujące układ przestrzenny ulic i gmachów, podkreślające bryły budowli. To z nimi właśnie zostają zderzone obrazy współczesnej Łodzi czy też może raczej obrazy przeszłości w ich współczesnym kształcie. Przed autorem tych fotogramów Andrzejem Wachem stało trudne zadanie, bowiem jego zdjęcia musiały być koronnym dowodem przewodu myślowego, który w swoim komentarzu przeprowadza Antoni Szram. Sądzę, że i badacz, i fotografik zrozumieli wzajemnie swoje intencje, toteż przeprowadzony przez nich przewód wzbudza zaufanie.

Architektura w fotografii spełnia najczęściej rolę tła, ośrodek zainteresowania kamery znajduje się zazwyczaj gdzie indziej. A jednak te zdjęcia nie są martwe i chociaż mają spełniać w albumie rolę tylko ilustracyjną, stanowią przecież wartość samodzielną, autonomiczną o czym zdecydowały ich estetyczne walory. Mają przecież żywą dynamikę, frapujące rozłożenie akcentów, nastroj. A przy tym odsłaniają przed naszym wzrokiem Łódź, jakiej istnienia nawet nie podejrzewaliśmy.

„Chodzi bowiem o ustalenie — pisze cytowany już przeze mnie Antoni Szram — czym jest i jaka wartość przedstawia twórczość urbanistyczna i architektoniczna Łodzi przemysłowej. Na ten temat niewiele dotąd powiedziano”

Nieprawda. Album „Architektura Łodzi przemysłowej” powiedział nam bardzo wiele. Szkoda tylko, że do tej pory nie znalazł się w sprzedaży księgarskiej i jego zdobywcę następcza zwykłego śmiertelnikowi tak wiele trudności. A jest to przecież publikacja zasługująca na najwyższe uznanie.

KONRAD FREJDLICh

ŚWIAT

4 LUTEGO 1974 r. w San Francisco została uprowadzona przez członków SLA — Wyzwoleńczej Armii Symbiozy córka znanego kalifornijskiego magnata prasowego, PATRYCJA HEARST. Pomimo spełnienia części żądań wysuniętych przez porywaczy, Patty nadal przebywała w ich rękach, a ponadto brak było wiadomości o jej losie.

Dopiero po przeszło dwóch tygodniach od chwili rozpoczęcia akcji rozdawania paczek z żywnością wśród biednych mieszkańców stanu Kalifornia porywacze odezwali się znowu 9 marca znaleziono w toalecie jednej z restauracji w San Francisco taśmę z nagraniem głosów dwóch kobiet. Jednym z nich był głos Nancy Perry Ling, członkini SLA, która określiła siebie jako rzecznika organizacji, drugim był głos Patty. Wystąpienie Nancy Ling było ostrym atakiem na sposób przeprowadzenia akcji rozdawania żywności, na kroki podjęte przez policję i FBI celem odbicia Patrycji Hearst z rąk SLA i zawierało ostrzeżenie, że wszelkie dalsze tego rodzaju posunięcia ze strony władz spowodują, iż porwana dziewczyna zostanie stracona.

Zupełnym jednak zaskoczeniem dla wszystkich było wystąpienie Patty. W przeciwieństwie do trzech dotychczasowych nagrań, tym razem nie błagała rodziców o pomoc, ale krytykowała jako niedostateczne środki podejmowane przez nich celem spełnienia żądań członków SLA od czego było uzależnione jej uwolnienie. Patty zwróciła się do rodziców z apelem, aby nie pomagali FBI, gdyż to jej ludzie chcą ją zamordować. Dodała przy tym, iż pilnujący jej członkowie organizacji nauczyli ją posługiwać się bronią palną, na wypadek akcji ze strony policji.

Następna wiadomość od porywaczy nadeszła 2 kwietnia 1974 roku, kiedy to rodzice Patrycji otrzymali list od SLA, z treści którego wynikało, iż ich córka zostanie uwolniona w przeciągu najbliższych 72 godzin. Nie minęły jednak 24 godziny od nadejścia owego listu, gdy rodzinę Hearstów wprawiła w ostupienie informacja, jaką otrzymali od Patty. Z taśmy magnetofonowej popłynęły bowiem słowa oskarżenia skierowane przeciwko jej własnym rodzicom, klasie społecznej, do której należała, przeciwko światu, który dotąd był jej światem. Stwierdziła, że gdy przedstawiono jej alternatywę powrotu na wolność bądź przyłączenia się do organizacji, bez wahania zdecydowała się pozostać i „walczyć o wolność dla siebie i wszystkich uciskanych”.

To, co słyszeli, nie pozostawiało cienia wątpliwości, to nie była już dawna Patty, gdy zwracając się do ojca mówiła: „Tato, powiedziałeś, że tro-

szczysz się o mnie i powiedzia-
les także, iż twoją troskę wzbu-
dza życie i interesy wszystkich
uciskanych w tym kraju. Ale za-
równo w jednym jak i drugim
okazałeś się kłamcą i jestem
przekonana jako członek klasy
panującej, że interesy twoje oraz
mamy nigdy nie mogą być intere-
sami narodu. Ty, kapitalistycz-
ny kłamca, powiesz, że nie wiesz
o czym mówię, dlatego mówię ci
— udowodnij to, ostrzegając bied-
nych i uciskanych ludzi w na-
szym kraju przed tym, co chce
im zgotować system kapitalistycz-
ny, a mianowicie przed tym, że
mają zostać wymordowani do
ostatniego, wszyscy czarni i bied-
ni ludzie, w tym również kobiety
i dzieci!”

W dalszej części swego mani-
festu „Tania” — gdyż taki pseu-
donim obecnie przyjęła na część
pewnej młodej kobiety, która
zginęła walcząc wraz z Che Gue-
warą w Boliwii — skierowała
kilka słów do swego narzeczone-
go, Stevena Weeda, któremu
oświadczyła, że nie ma mowy o
tym, aby kiedykolwiek mogła po-
wrócić do tego życia, jakie do-
tychczas razem prowadzili.
Stwierdziła, że miłość nie ozna-
cza już dla niej tego samego co
dawniej, gdyż obecnie otacza ją
wszystkich ludzi.

w którym wzięła również udział
„Tania”. Przebieg wypadków, któ-
ry zaskoczył wszystkich, był na-
stępujący.

Krótko przed godziną 10,00 do
Sunset District, filii Hibernia
Bank, weszła grupka ludzi. Było
ich pięcioro. Cztery białe kobiety
ubrane w czarne stroje oraz Mu-
rzyn o pokrytej gęstym zarostem
twarzy, w miękkim kapeluszu z
szerokim rondem i skórzanej
kurteczce.

— Weszli całą grupą krocząc
jedno obok drugiego — powie-
dział później strażnik bankowy
Edward E. Shea. — Następnie za-
jęli stanowiska w różnych miej-
scach sali, co robiło wrażenie,
że wszystko mieli zaplanowane.

Cała piątka uzbrojona była w
pistolety maszynowe ukryte pod
płaszczami i kurtkami.

— To jest napad — wrzasnął
chrapliwym głosem człowiek w
kapeluszu, którego później ziden-
tyfikowano jako „Cinque’a” —
Donald DeFreeze. — Należy
do SLA — dodał po chwili, po-
czym wskazując na młodą dzie-
wczynę przy barierce, powiedział:
— To jest Tania Hearst.

Następnie Cinque kazał urzęd-
nikom banku i klientom położyć
się na ziemi, a „Tani” wydał po-
lecenie pilnowania ich. Ktoś zer-
wał się próbując zaalarmować po-

roko zakrojoną akcją. Jaki za-
tem cel chcieli osiągnąć za jej
pośrednictwem? Czyżby chodziło
tylko o pokazanie całemu społec-
zeństwu, że w napadzie wzięła
udział porwana córka milionera?

Dyrektor banku, James D.
Smith, który w tym czasie znaj-
dował się w swoim biurze na
pierwszym piętrze, słysząc dziw-
ne krzyki sądził, że ktoś zastąpił.
Zajrzał więc przez małe okien-
ko do wnętrza sali i obraz, któ-
ry tam ujrzał, sprawił go w os-
łupienie. Na dole stały dwie ko-
biety z pistoletami maszynowymi
w rękach skierowanymi w stro-
nę leżących na podłodze pracow-
ników i klientów banku. Jedną
z nich zidentyfikował później ja-
ko Patrycję Hearst. Dwie inne
kobiety, które także pilnowały lu-
dzi, zostały zidentyfikowane jako
Camilla Christin Hall i Nancy



Perry Ling. Czwarła dziewczyna,
Patrycja Soltysik, „Mizmoon”
uważana za głównego ideologa
SLA wraz z Donaldem DeFreeze,
opróżniała w tym czasie kasety
z pieniędzmi. Następnie cała piątka
zbiegła do samochodu stoją-
cego przed bankiem i oddaliła
się z dużą szybkością. Wraz z
nimi odjechał inny wóz, w któ-
rym znajdowało się czterech
członków SLA ubezpieczających
swoich kolegów od strony ulicy.
Policja, która przybyła wkrótce
po napadzie, odnalazła oba samo-
chody porzucone przez SLA kil-
kaset metrów dalej. Jednak ucze-
stnicy napadu zniknęli bez śladu.

FBI i policja rozpoczęła polo-
wanie na wszystkich, którzy
wzięli udział w tej akcji. Z usta-
leniem tożsamości sprawców na-
padu nie było właściwie żad-
nych trudności. Władze miały bo-
wiem do dyspozycji bogaty ma-
teriał zdjęciowy pochodzący z ka-
mer, które zarejestrowały cały
przebieg wypadków. Na wielu z
1200 zdjęć widać było Patrycję
Hearst z pistoletem maszynowym
w ręku. Funkcjonariusze FBI
i policji prowadzący śledztwo w
tej sprawie mieli jednak twardy
orzecz do zgryzienia. Czy córka
milionera brała udział w napa-
dzie z własnej woli, czy też zo-
stała do tego zmuszona? Odbo-
wiedź była rzeczywiście niezwy-

kle trudna. Szereg okoliczności
wskazywało tak za jedną jak i za
drugą ewentualnością. Prokura-
tor okręgowy, James Browning,
był np. zdania, iż „istnieją pod-
stawy pozwalające sądzić, że nie
brała ona udziału w tej akcji z
własnej woli”. Z kolei jednak
wspomniany już strażnik banko-
wy, Edward Shea, nie miał żad-
nych wątpliwości co do tego, że
była „entuzjastycznie nastawio-
nym członkiem gangu”. Również
minister sprawiedliwości USA,
Saxbe, podzielał ten pogąd
stwierdzając, że według jego
mniemania Patrycja Hearst ucze-
stniczyła w napadzie dobrowolnie.

Charles Bates, szef biura FBI
w San Francisco, zasadniczo był
tego samego zdania, zwrócił jed-
nak uwagę na pewne okoliczno-
ści, które wydawały się zaprze-
czać tej tezie. Na podstawie ana-
lizy zdjęć utrwalonych przez ka-
mery można było odnieść wraże-
nie, że Patty przez cały czas
trwania akcji znajdowała się na
muszce pistoletu innego bandy-
ty. Zastanawiający był również
fakt trzymania przez nią broni:
w lewej ręce, podczas gdy prawą
włożyła do kieszeni płaszcza, tak
jakby wcale nie miała zamiaru
strzelać. Podobnych wątpliwości
i znaków zapytania było wówczas
więcej niż ustalonych faktów. Po-
licja uzyskała wprawdzie dość
dokładne informacje o uczestni-
kach napadu, ale niewiele wie-
działa zarówno o samej organizac-
cji jak i o jej kryjówkach oraz
o dalszych zamierzeniach.

Wciąż jeszcze poruszano się po
omacku. Wiedzano tylko tyle, że
SLA liczy bardzo niewielu człon-
ków, według ocen FBI było ich
zaledwie 25, że pochodzą oni
z dość zamożnych rodzin
oraz to, że poważną rolę w
organizacji, której znakiem
jest siedmiogłowa kobra, (li-
czący ok. 170 tysięcy lat
symbol boga i życia), odgrywa-
ją kobiety. Zgodnie z ustalenia-
mi władz policyjnych czterech
członków SLA, którzy nie brali
udziału w napadzie na bank, to:
William Wolfe, William Harris
i jego żona Emilia oraz przyja-
ciółka Harrisów — Angela At-
wood. Cała czwórka to biali.
Trzej inni członkowie tej orga-
nizacji, w tym jeden z założycieli
SLA, Clifford Jefferson, przeby-
wali wówczas w więzieniu oskar-
żeni o zamordowanie w listopad-
zie 1973 roku kuratora z San
Francisco, Fostera. I było to w
zasadzie wszystko, co aktualnie
wiedziła policja.

W niespełna dziesięć dni po
napadzie nadeszła kolejna wia-
domość od Patrycji. Z jej wypo-
wiedzi, tak jak w poprzednich
przypadkach zarejestrowanej na
taśmie magnetofonowej, wynika-
ło, że uczestniczyła w akcji na
Hibernia Bank dobrowolnie, że
nie poddawano jej żadnemu
„praniu mózgu” i że jest żołnie-
rzem armii ludowej.

Następnie ostro zaatakowała
swoich najbliższych, zwłaszcza oj-
ca i narzeczonego, określając ich
mianem „kapitalistycznych świri”.
Mimo to wszyscy oni byli zdania,
że dziewczyna nie mówi tego z
własnej woli, że jest to właśnie
dowód na to, iż została poddana
„praniu mózgu”. Na zakończenie
zabrał jeszcze głos Donald De-
Freeze („Cinque”), który powie-
dział, że dwie osoby, które zra-
niono podczas próby ucieczki, po-
winny zostać zastrzelone, bowiem

Ciąg na str. 14

„TANIA” SPOD ZNAKU KOBRY

Po wysłuchaniu tego szokują-
cego nagrania zaczęto się gorącz-
kowo zastanawiać, jakie powody
skłoniły Patty do takiej ewolucji
poglądów. Działanie pod groźbą
przymusu? „Pranie mózgu”? A
może to po prostu z góry ukarto-
wana gra? Nikt jednak nie był
w stanie wyjaśnić tej zagadki.
Najczęściej wymienianą była
ewentualność poddania Patrycji
przez porwawcy wyrefinowanej
presji psychicznej, połączonej z
„praniem mózgu” i seansami nar-
kotycznymi, sama Patty zaprze-
czyła temu jednak kategorięcznie
we wspomnianym nagraniu
twierdząc, że przez długi czas po-
bytu w niewoli SLA w żaden spo-
sób nie była wyprowadzana z
normalnego stanu.

Mimo tak szeroko zakrojonej
akcji poszukiwania uprowadzo-
nej, policja i FBI wciąż depta-
ły w miejscu. Uzyskane dotych-
czas informacje tak od porwaw-
czy jak i od samej Patrycji rzu-
ciły niewiele światła na sprawę,
a w każdym razie nie naprowa-
dziły władz na jakikolwiek isto-
tny ślad. Wciąż poruszano się po
omacku.

15 kwietnia 1974 r. SLA zorga-
nizowała zbrojny napad na filię
Hibernia-Bank w San Francisco,

licję, której posterunek znajdo-
wał się niedaleko. Bezskutecznie,
krótka seria z pistoletu maszy-
nowego raniła dwóch mężczyzn
leżących na podłodze.

Edward Shea stał przez cały
czas z rękami podniesionymi do
góry. Miał wprawdzie pistolet w
kaszce, ale bał się zrobić jakik-
kolwiek ruch, aby nie zostać
trafionym. W pewnym momen-
cie poczuł jak ktoś podszedł z ty-
łu wyrwał mu broń i przewrócił
na ziemię. Cały ten napad
wydał mu się jednak dosyć dziw-
ny. Pracował już w banku od
wielu lat, ale nigdy nie spotkał
się z czymś takim. Napastnicy
nie byli zamaskowani, a w róż-
nych punktach sali pracowały
przez cały czas trwania akcji
kamery telewizyjne. Dlaczego ich
nie rozbili, wystarczyło przecież
oddać do nich tylko kilka strza-
łów? Robili nawet wrażenie jak-
by im zależało na tym, aby zo-
stał rozpoznani. Poza tym spo-
sób przeprowadzenia napadu wy-
glądał na dokładnie zaplanowany,
a przecież bandyci musieli się
orientować, że o tej porze w ban-
ku nie ma dużo pieniędzy. Jak
się później okazało, ich łupem
padło 10.960 dolarów, a więc niez-
byt duża suma, jak na tak sze-

ŚWIAT

Dokończenie ze str. 13

nie słuchały rozkazów jego ludzi.

— Chcielibyśmy więc ponownie ostrzec opinię publiczną — oświadczył „Cinque” — że każdy obywatel, który pomaga wrogowi, zostanie zastrzelony.

Wielkie polowanie na SLA zarządzane przez FBI i policję nie

policji szczegółem była opaska na oczy, porzucona wśród rupieci. Z zachowania psa policyjnego, któremu przedtem dano do powąchania rzeczy Patty, można było wnioskować, że należała do niej. Widać po uprowadzeniu trzymano ją właśnie w tym mieszkaniu. Po „nawróceniu się” Patrycji opaska nie była już potrzebna i wyrzucono ją.

Nie jednak nie wskazywało obecnego miejsca pobytu Patty i jej porywaczy. Nie wiadomo, czy znajdowali się jeszcze w San Francisco, czy też przenieśli się gdzieś indziej. Ich nowa kryjówka stanowiła dla policji wielką zagadkę. Z kolei cała grupa wciąż liczyła się z ewentualnością, że policja łada moment może wpasnąć na jej trop i starała się zachować wszelkie możliwe środki ostrożności. Jednym z nich była czę-

„TANIA” SPOD ZNAKU KOBRY

przynosiło, jak dotychczas, żadnych rezultatów. Musiał to przyznać również nowo mianowany właśnie szef FBI, Clarence Kelly, na swej pierwszej konferencji prasowej w dniu 9 maja 1974 roku. Z jego wypowiedzi można było wysnuć wniosek, że władze mają do czynienia z dobrze zorganizowaną i zakonspirowaną grupą, która w trosce o swe bezpieczeństwo najwidoczniej czasowo ograniczyła działalność. Na koniec Kelly wypowiedział pewną zmienną uwagę:

W wypadku, gdyby udało się nam ustalić, gdzie oni są, zlikwidujemy ich kryjówkę. Zrobimy przy tym wszystko, co w naszej mocy, aby nikt nie został w wyniku tej akcji ranny albo zabity.

Najbliższa przyszłość miała pokazać, jak bardzo szef FBI pomylił się w ocenie sytuacji.

Kilka dni przed tą konferencją FBI udało się trafić na ciepły jeszcze ślad, który jednakże nigdzie nie zaprowadził jej agentów. Wykryto bowiem przypuszczalną kryjówkę SLA. Było to puste mieszkanie położone w dzielnicy San Francisco zamieszkiwanej przez kolorowych. Wiele wskazywało na to, że przez pewien czas przebywali tam członkowie SLA. Policja znalazła tam między innymi kluczyk od samochodu oraz płaszczy, które to przedmioty, jak ustalono, zostały użyte podczas napadu na bank w dniu 15 kwietnia. Ściany były pokryte rewolucyjnymi hasłami, znaleziono również kilka plakatów. Na jednym z nich było napisane imię „Tania”. Poza tym leżało tam mnóstwo rozrzuconych sprzętów, części bomb samozapalających, wśród których agenci FBI znaleźli rachunek firmy kosmetycznej na 37 dolarów oraz kawałek kartki z napisem: „Jeszcze nie nie wiemy”.

Najbardziej interesującym dla

stała zmiana lokali. Właśnie w tym celu „Cinque” polecił małżeństwu Harrison, nie znanym jeszcze policji, udanie się do Los Angeles. Niebawem miało się okazać jak fatalne skutki dla SLA pociągnęła za sobą ta decyzja.

Opracował: A. B.



EX LIBRIS

FANTASTYKA I KOSMOS

Utarto się przekonanie, że literatura science fiction opisuje przede wszystkim podróże kosmiczne. To prawda, ale nie cała. Coraz częściej pisarze science fiction akcją opowiadania, nowel i powieści lokują na Ziemi. Jest to jakby inne spojrzenie na naszą współczesność, choć akcja niekiedy rozgrywa się w przyszłości, lub w czasie bliżej nie określonym. Nie jest to zresztą regułą. Na przykład DYMITH BILEKIN w „Nie zdarza się” i „Dawać i brać” akcją obu opowiadań, które przynosi ostatni, szósty tom „KROKÓW W NIEZNANE”, lokuje w teraźniejszości. W opowiadaniu „Nie zdarza się” Dymitr Bilekin każe profesorowi Arcimowiczowi spotkać „latającego człowieka”. Profesor uznaje to za... halucynację. Jego naukowa mentalność nie może dopuścić, aby zdarzyło się coś, czego on nie potrafiłby zrozumieć. Inny zgola stosunek do nienaturalnych zjawisk ma bibliograf — Andrzej Izidorowicz Dumkin. Spotkawszy przybysza z innej planety i wysłuchawszy jego nacji, uznaje całą sprawę za nadzwyczaj naturalną. Gdy po powrocie z pracy żona zapyta go: — „No co tam u ciebie?”, Andrzej Izidorowicz Dumkin odpowie jak gdyby nigdy nie: — „Zwyczajnie, nie szczególnego”. Ale swoje wie.

ISKRY już od sześciu lat, corocznie wypuszczają tom opowiadań science fiction, stanowiący przegląd tego wszystkiego, co interesującego w tej dziedzinie ukazuje się na świecie. Tom szósty „KROKÓW W NIEZNANE”, którego druk ukończono w styczniu 1976 roku, przynosi między innymi dwa opowiadania z monumentalnego zbioru opowiadań science fiction „Science Fiction Hall of Fame”, będącego antologią najlepszych opowiadań fantastyki naukowej. Są to Arthura C. Clarke „Dziesięć miliardów imion boga” oraz Daniela Keyesa „Kwiaty dla Algernona”.

Szósty tom „KROKÓW W NIEZNANE” przynosi — jak zwykle — dość szeroki wybór opowiadań science fiction różnych autorów i różnych stylów. Polską fantastykę w tym tomie reprezentują: Konrad Fijałkowski „Mysłakiem”, Krzysztof W. Malinowski „Wizja III”, Zbigniew Proszak „Boja” i Janusz A. Zajdel opowiadaniem pt. „869113325”.

W wielu opowiadaniach pojawia się nowa tendencja S. F. — przestroga przed zniszczeniem naturalnego środowiska człowieka. Do tego nurtu zalicza się też opowiadanie Janusza A. Zajdla pt. „869113325”.

W tradycyjnym już dziale „KROKÓW W NIEZNANE” noszącym tytuł: „Fakty, hipotezy, zagadki” tym razem zaprezentowano fragment książki Arthura C. Clarke „Profilę przyszłości”. Fragment ten nosi tytuł „Ryzyko prorokowania”. Książka ta zastępuje w całości na szereg opowiadań dla czytelników. Drugim artykułem tego działu jest Krzysztofa W. Malinowskiego „Wędrując po Wszechświatach”, trzecim — Mikołaja Bondaruka — „Tajemnicza sieć na globusie”. Wszystkie trzy zasługują na szczególną uwagę czytelników.

Amatorom literatury S. F. warto zasygnalizować, że czekają na nich także jeszcze książki:

— Briana W. Aldisa — „Non stop”, najwybitniejsza książka tego autora;

— Colette Audry — „To druga planeta”, wyjaśniająca dlaczego nie powiodły się trzy kolejne próby transferu Harvego na Soror, choć udaly się inne? A może sceneria, w której po transferze znajdował się Harve była tak nieprawdopodobna?

— Czesława Chruszczewskiego — „Fenomen Kosmosu”, opowieść o przygotowaniach do międzygwiezdnej wyprawy z czasów dziesiątej ery kosmicznej, będąca dla autora okazją do prezentacji wielu refleksji psychologicznych i biologicznych;

— Georgija Martynowa — „Gianeja”, opowieść o dziewczynie nie z tej Ziemi; „Gdzie znajdowała się ojczyzna Gianeji?”, „Skąd zjawia się w tak dziwnej i zagadkowej sposób w naszym systemie słonecznym?” — to pytania, jakie zadawał sobie ludzie, którzy zetknęli się z Gianeją;

— Stanisława Lema — „Powrót z gwiazd”, wznowienie znanej powieści w serii Wydawnictwa Literackiego poświęconej twórczości tego autora.

Literatura fantastyczno-naukowa nie jest wytworem dokonującej się rewolucji naukowo-technicznej. Powstała znacznie wcześniej. Można przypomnieć, że już Jules Verne opublikował w 1863 roku swoją książkę pt. „Podróż na Księżyc”. Obecny rozwój techniki przyczynił się tylko do jej rozwoju. Odwieczne marzenie ludzkości, aby oderwać się od ziemi, wnieść się w powietrze, a później zająć poza ziemską sferę, aby zobaczyć, co tam jest dalej — znajduje swoje potwierdzenie w dokonaniach ludzkości. 12 kwietnia 1961 roku wznosił się w Kosmos pierwszy człowiek — Jurij Gagarin. Ludzie lądowali już na Księżycu, wysyłają sondy kosmiczne na Marsa i Wenus. Mysłą o dalszej penetracji Układu Słonecznego.

Obok ukazujących się dość licznie książek science fiction wydawnictwa wypuszczają na rynek też książki, które będą to są komentarzem do faktów, bądź prezentacją naukowych hipotez. Do tej pierwszej grupy należy książka HERMANA TITOWA — „Moja błękitna planeta”, będąca jego pamiętnikiem, opisem drogi życiowej, która w sierpniu 1961 roku zaprowadziła go w Kosmos, gdzie spędził więcej niż doba.

Ludzkość sięga jednak nie tylko w najbliższe rejony swojej rodzimej planety, nie tylko zaczyna penetrować Układ Słoneczny, ale nieustannie bada Wszechświat, szukając niecierpliwie nurtującej nas wszystkich odpowiedzi: czy jesteśmy sami?, szukając odpowiedzi na pytanie: jaki jest nasz Wszechświat?

„Nie ulega już dziś wątpliwości — pisze we wstępie do „KOSMOLOGII WSPÓŁCZESNEJ” jej autor D. W. Sclama — że prowadzone przez fizyków, astronomów i kosmologów badania Wszechświata są jedną z największych przygod intelektualnych połowy dwudziestego wieku. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że uzyskane przez nich zwłazcza w ciągu kilku ostatnich lat wyniki, składają się na rewolucję naszych poglądów na Wszechświat, nie mającą precedensu w całej historii ludzkości”.

Siedzenie tej wielkiej intelektualnej przygody nie jest jednak łatwe, nawet popularne opracowania wymagają pewnego wysiłku. Ale wysiłek ten opłaca się. To naprawdę wspaniałe, jak ludzie nie odrywając się od ziemi, tworzą wizję historii Wszechświata.

L. W.

SPORT

Rok 1976 jest rokiem olimpijskim. Wprawdzie do Olimpiady w Montrealu pozostało jeszcze sporo czasu, ale na przykład Telewizja Polska rozpoczęła już nadawanie programu olimpijskiego, którego celem jest informowanie szerokiej opinii publicznej o przygotowaniach sportowców i organizatorów do tej wielkiej imprezy. Przygotowania przedolimpijskie powodują wzrost zainteresowania różnymi dziedzinami sportu, ale przede wszystkim rośnie zainteresowanie piłką nożną. Jest to naturalne. Polscy piłkarze — jak pamiętamy — w Monachium zdobyli złoty medal olimpijski i — następnie — srebrny medal w ostatnich mistrzostwach świata. Wprawdzie nie udało się polskiej reprezentacji start do mistrzostw Europy, ale wszyscy są ciekawi i niespokojni, czy nasi piłkarze obronią złoto w Montrealu? Czy potwierdzą swoją pozycję w światowej piłce?

W przygotowaniach do rozgrywek olimpijskich wielkie zadanie spoczywa na klubowych trenerach. Nasz system szkolenia członków kadry narodowej nakłada poważne obowiązki na kluby, w których grają kadrowicze. Ktoś słusznie powiedział że tak gra kadra, jak grają ligowe drużyny, choć nie zawsze tak bywało. Ale w codziennych sprawach ligowych drużyn trzeba szukać źródeł piłkarskich sukcesów i niepowodzeń na międzynarodowych boiskach.

Mamy w Łodzi dwie pierwszoligowe drużyny. Zaprosiliśmy ich przedstawicieli oraz trenerów do redakcji, aby wspólnie podyskutować o tych wszystkich sprawach, które ich najbardziej nurtują. Tematem dyskusji stał się problem pierwszoplanowy: trener a zespół.

POZA STADIONEM

W dyskusji udział wzięli:

- LUDWIK BENOIT — aktor Teatru Nowego,
- WIESŁAW CHODAKOWSKI — piłkarz RTS Widzew,
- TADEUSZ GAPIŃSKI — piłkarz RTS „Widzew”,
- LONGIN JANECEK — trener pierwszej drużyny ŁKS,
- LESZEK JEZIERSKI — trener drużyny piłkarskiej RTS Widzew,
- ZDZISŁAW KOSTRZEWIŃSKI — piłkarz RTS Widzew,
- JAN MSZYCA — piłkarz ŁKS,
- MICHAŁ STRZELECKI — dziennikarz „Expressu Ilustrowanego”, prezes Łódzkiego Klubu Dziennikarzy Sportowych.
- STANISŁAW TERLECKI — piłkarz ŁKS,
- JAN TOMASZEWSKI — piłkarz ŁKS,

Dyskusję przygotował i prowadził WŁADYSŁAW LACHOWICZ, opracowała BOGDA MADEJ.

WŁ. LACHOWICZ: — Obowiązki trenera są bardzo różne. Inaczej pracuje trener zespołu pierwszoligowego, który stawia sobie i zawodnikom określony cel strategiczny do spełnienia, a inaczej — trener juniorów i trampkarzy. Powiedziałbym nawet, że

trener juniorów czy trampkarzy ma i większe obowiązki i więcej pracy. Musi bowiem nie tylko troszczyć się o wyniki szkolenia piłkarskiego, ale też interesować się postępiami w nauce, prowadzić pracę wychowawczą. Jednakże, kiedy mówi się o pracy trenera,

to przede wszystkim ocenia się ją poprzez wyniki, jakie w rozgrywkach ligowych osiąga prowadzona przez niego drużyna. A to chyba za mało.

J. TOMASZEWSKI: — To chyba niezupełnie tak. Nie ulega wątpliwości, że trener, aby dużo z siebie dać zawodnikom, sam musi wiedzieć i umieć jeszcze więcej. Ale taka zasada powinna obowiązywać w każdym zespole. Moim zdaniem trenować pierwszoligową jednostkę nie jest wcale łatwiej. A nie jest łatwiej dlatego, że taki zespół, to jedenaście bardzo różnych indywidualności, z którymi kłopot jest ogromny. Również odpowiedzialność za drużynę pierwszoligową jest większa.

WŁ. LACHOWICZ: — Szczególnie, kiedy nie odgrywa ona w tej lidze większej roli.

J. JANECEK: — Jest takie przekonanie, że dobry trener, to taki trener, który ma dobre wyniki, którego zespół zajmuje wysoką lokatę w ligowej tabeli. Ale przecież wyników nie osiąga się od razu. Potrzeba na to wiele lat pracy. Przykładem może być Leszek Jezierski, który swój zespół prowadził już od siedmiu lat i który wielu zawodników sam wychował, poznał ich, oni poznali jego i żyli się razem.

Wyniki są na pewno ważne, ale myślę, że dobry trener, to przede wszystkim taki, który potrafił zdobyć zaufanie zawodników, z którymi umie się porozumieć i z którymi umie współpracować. Ale tego wszystkiego nie osiąga się w pół roku.

J. TOMASZEWSKI: — Mnie się wydaje, że chodzi przede wszystkim o to, aby trener był dobry dla zawodników, a nie tylko dobrze widziany przez zarząd klubu.

L. JANECEK: — To niezupełnie tak. Jeśli trener nie będzie mógł wylegitymować się wynikami, wtedy nie na wiele się zda że dobrze ocenią go sami zawodnicy. Taki trener prędzej czy później będzie musiał odejść.

J. MSZYCA: — „Widzew” jest rzeczywistością w tym szczęśliwym położeniu, że ma jednego trenera od 7 lat. Ja w ŁKS też już jestem 7 lat, ale przez ten czas miałem chyba 8 trenerów. Nawet dobrze już nie pamiętam. Jak ja miałem z którymiś z nich żyć się?

T. GAPIŃSKI: — To nie tylko o to chodzi. Można z kimś pracować przez 7 lat i nie żyć się, a można być z innym tylko pół roku i żyć się. Zależy to od charakteru trenera i jego indywidualności.

J. MSZYCA: — Jest w tym niewątpliwie prawda. Paweł Kowalski wprowadził w ŁKS nie był krótko, bo to był nasz starszy kolega, ale myśmy się z nim żyli. Paweł Kowalski chciał dla ŁKS zrobić wszystko, chciał, abyśmy byli dobrą drużyną. I najpierw miał wyniki. Wtedy go chwalono, ale kiedy przyszedł kryzys...

M. STRZELECKI: — Zaraz, zaraz. Nie jestem zupełnie taki pewny, czy wy się tak naprawdę z Pawłem Kowalskim żyliście. Czy przypadkiem nie nadużyliście jego zaufania? Czy nie zrozumieliście jego przyjaźni jako okazji do łatwiejszego życia? Chyba drużyna w jakiś sposób „pomogła” Pawłowi Kowalskiemu opuścić ŁKS.

J. MSZYCA: — To nie tak było. Przy Pawle Kowalskim wyszliśmy na 6 miejsce. To było jesienią. Potem przyszła zima. Pojechaliśmy



Władysław Lachowicz



Jan Tomaszewski



Longin Janeczek



Jan Mszyca

Dalszy ciąg na str. 16



Ciąg dalszy ze str. 15

my do Bułgarii, gdzie miały być znakomite warunki dla przygotowania się do wiosennej rundy sezonu. Ale w Bułgarii nie było żadnych warunków. Nie było gdzie trenować. Czy to była wina Pawła Kowalskiego, albo nasza? Wróciliśmy zupełnie nieprzygotowani. Co było dalej, wszyscy wiemy.

A czy mogliśmy pomóc Stanisławowi Stachurze? Rano prowadził trening. Wszystko było dobrze. Przychodził na popołudniowy trening i mówi, że już nie jest naszym trenerem i że teraz zespół będzie prowadził trener Longin Janeczek.

Z. KOSTRZEWIŃSKI: — My jesteśmy w takim szczęśliwym położeniu, że u nas ufa się trenerowi.

J. TOMASZEWSKI: — Właśnie. My nie. Jak przyszedł Longin Janeczek, to powiedziałem przy wszystkich: — „Witamy pana, trenerze, ale jak długo będziemy razem pracowali?”. Uważam, że zarząd powinien postanowić: decydujemy się na trenera, zaufamy mu i niech prowadzi zespół — powiedzmy — przez 5 lat. Bez względu na to, czy się utrzymamy w lidze, czy nie, bez względu na wyniki.

WL. LACHOWICZ: — Ale wróble na dachu ćwierkają, że niektórzy trenerzy odeszli z ŁKS przez Jana Tomaszewskiego. Jak to z tym było?

J. TOMASZEWSKI: — Wiem. Chodzi o Grzegorza Polakowa. Trener Polaków nie miał ze mną łatwego życia. Ale ja byłem kapitanem zespołu i występowałem w interesie zespołu, a nie swoim. Grzegorz Polakow wypowiedział się bodajże na łamach tygodnika „Czas”, że jednym z niewielu zawodników, z którymi mu się dobrze współpracowało, to byłem właśnie ja i że nie ma do mnie pretensji. Ma je natomiast do ówczesnego zarządu ŁKS. Myśmymy się z Grzegorzem Polakowem klóćli, ale i dochodzili do porozumienia. Grzegorz Polakow klócił się z zarządem i odwrotnie, ale nie dochodzili do porozumienia. Tylko, że jak Polaków odszedł z ŁKS, to niektórzy ówczesni działacze nabrali wody w usta, zrzucili z siebie odpowiedzialność, a przetrucili ją na mnie. Kiedy to się stało, byłem na tournée w Ameryce, po powrocie nie protestowałem. Wyszło, że ja jestem winny.

T. GAPIŃSKI: — Ale to chyba nie o to chodzi. Czy u nas w zespole nie ma zgrzytów? Są. Czy nie ma nieporozumień? Też są. Tak bywa w każdym zespole. I to jest normalne. Nie ma w tym nic złego, ani dziwnego. Mnie się wydaje, że chodzi o sposób w jaki te konflikty i nieporozumienia się rozwiązują.

Na przykład przegraliśmy mecz z Górnikiem w Zabrze. Nie było powodu do radości. Ale trener Leszek Jeziński nie bał się nam powiedzieć, że to był błąd w jego koncepcji. Czy to z nas zdjęło odpowiedzialność za przegrany mecz? Nie. I nikt tak tego nie rozumiał. To była nasza wspólna przegrana.

L. JEZIERSKI: — Tu nie było się czego bać. Uważam, że zespół może wtedy funkcjonować, kiedy każdy z jego członków może liczyć na swego koleżkę, kiedy się wszyscy wzajemnie znają, kiedy mają do siebie zaufanie. Ale, jeśli tego wymagam od zespołu, to takie samo wymaganie stawiam sobie. Ja muszę mieć zaufanie do drużyny i drużyna musi mieć zaufanie do mnie. Popelnilem błąd, przyjąłem złą koncepcję, więc dlaczego mam im o tym nie powiedzieć.

Często radzę się zawodników. Pytam ich, jak ustawić skład w tym czy innym spotkaniu. Robię tak nie dlatego, że nie mam własnego zdania, własnej koncepcji. Ale przecież tę koncepcję oni będą na boisku realizowali. Oni doskonale wzajemnie się znają. Wiedzą dobrze o swoich wadach i zaletach. Ich poglądy, albo mnie utwierdzają w moich przekonaniach, albo zmuszają do ich korekty.

Taka atmosfera może jednak wytworzyć się tylko w takim zespole, który dobrze się zna, jest z sobą zżyty, wzajemnie się rozumie. A taki zespół nie powstanie w nieustannych zmianach, przetasowaniach.

Z. KOSTRZEWIŃSKI: — My tu mówimy o stosunku trenera a zawodnicy, że potrzeba wzajemnego zaufania, zrozumienia.

J. TOMASZEWSKI: — Pewnie, że potrzeba. Jeżeli przychodzi trener i mówi mi: — Będiesz robił przysiady. Zrobisz ich 50. To ja patrzę na niego, jak na pomyłonego. Po co mi przysiady? Czy ja jestem ciężarówką? Przyznam się tutaj, że świadomie zacząłem trenować, kiedy moim treningiem kierował Hubert Kostka. On mi nie kazał bezmyślnie wykonywać ćwiczeń, ale tłumaczył, co i dlaczego muszę robić, jak i kiedy mi się to przyda.

Często się zdarza, że trenerzy traktują zawodników, jako ludzi dobrze do wszystkiego przygotowanych, którzy wszystko wiedzą. Każą im ćwiczyć, nie zastanawiając się, czy zawodnicy wiedzą, po co to robią. Nie różnicuje się trenerów. Młodszy piłkarze, którzy doszli do drużyny, trenują tak samo jak starsi.

Ale jeszcze powiem o stosunku trener — zawodnik. Prawidłowy stosunek wynika z przekonania, że zawodnik, to też człowiek, ma swoje wady i zalety. Ja wiem, że ja nie jestem łatwy, że stwarzam sytuacje konfliktowe. Ale trener jest tym, który czuwa nad całością. Musi umieć w takie sytuacje tak ingerować, aby je rozładować. Na przykład, trener Kazimierz Górski. On wie, że na przykład ja i Jerzy Gorgoń jesteśmy kolegami. I wie, że lubimy się pokłócić. Trener Górski umie ocenić takie klótnie. Jeśli nie grożą one poważniejszymi konfliktami, to nie wtrąca się. Wie, że gdyby wtrącił się w nieodpowiednim momencie, to byśmy się z Gorgoniem szybko pogodzili i skoczyli

razem na Górskiego. Ale jeśli nasza klótnia staje się niebezpieczna dla zespołu, to trener Górski potrafi tak nas uspokoić, że aż nam idzie w piętę i nie ma sprawy.

Z. KOSTRZEWIŃSKI: — To wszystko prawda, ale mnie chodzi zupełnie o coś innego. Właściwie to nie. Złe się wyraziłem. Mnie chodzi o coś głębszego. O to, że zaufanie, jakie powinno istnieć między trenerem a zawodnikami, nie może ograniczać się tylko do boiska, do wspólnych spotkań i rozmów o piłce. U nas w zespole jest tak, że jak my mamy kłopoty, problemy, potrzeby, to idziemy do trenera Jezińskiego. I on nam pomaga. Nasze zaufanie do niego nie ogranicza się tylko do spraw piłkarskich, ale obejmuje też sprawy życiowe. I to chyba decyduje również o atmosferze, jaka panuje w zespole. Bo my na przykład wspólnie rozmawiamy nie tylko o piłce nożnej, ale o wielu innych sprawach.

W. CHODAKOWSKI: — Nie będzie przesady w tym, jeśli powiem, że mamy w zespole atmosferę prawdziwie rodzinną. A upoważnia mnie do tego moja historia. Półtora roku temu dostałem czerwoną kartkę i pół roku dyskwalifikacji. Nie jestem zawodnikiem pierwszej młodoci, klub mógł być mnie zrezygnować. Mogli w klubie powiedzieć: Trzeba mu podziękować, po co go trzymać, dajmy szansę innemu, młodszemu. Ale tak nikt nie powiedział. Zaufano mi, że po dyskwalifikacji powrócę do zespołu w pełni sił. I to zobowiązuje.

M. STRZELECKI: — To o czym tu mówicie ma swoją nazwę: praca wychowawcza. O tej pracy wiele się mówi, że potrzebna. Ale przecież tego nie trzeba zaraz nazywać, trzeba to po prostu robić. Tylko rzecz w tym, że nie wszyscy potrafią i uczyć gry w piłkę, i wychowywać jednocześnie. Myślę, że warto tutaj powiedzieć, iż wśród trenerów zdarzają się też ludzie przypadkowi. Grali kiedyś w piłkę — to dobrze. Powiem nawet więcej — kochają piłkę nożną. To też dobrze, tylko, że to jednocześnie bardzo mało. Do tego, aby być trenerem nie wystarczy kochać piłkę nożną, do tego trzeba mieć odpowiednie predyspozycje. Trzeba być trochę pedagogiem. Umieć kierować ludźmi.

L. JANECEK: — Powiedziałem niedawno, że to bardzo dobrze, jak trener ma tytuł magistra, ale jednocześnie bardzo źle, jak magister ma tytuł trenera. Wywołało to sporo szumu, ale chyba mnie nie zrozumiano. A powiedziałem to samo, co teraz redaktor Strzelecki. Chodziło mi o to, że sam tytuł magistra jeszcze nie kwalifikuje do tytułu trenera, bo do tego potrzebne są, obok wiedzy, predyspozycje, umiejętności kierowania ludźmi.

WL. LACHOWICZ: — Ja się czasem na przykład zastanawiam, jak powinien postąpić trener, kiedy zawodnik jego drużyny tak skutecznie „eliminuje” kolegę z przeciwnej drużyny, że ten prosto z boiska jedzie do szpitala?

J. TOMASZEWSKI: — Na pewno nie podziękować, choć bywają i tacy, którzy dziękują.

WL. LACHOWICZ: — Albo, jak ma zareagować, kiedy zawodnicy

wychodzą na boisko w butach z nieprawidłowymi kółkami?

J. MSZYCA: — Na boisko z takimi kółkami wychodzą zawodnicy, a nie trenerzy. Więc to nie wina trenerów.

WL. LACHOWICZ: — A czyja wina, kiedy młody zawodnik znakomicie debiutuje, a później gra coraz gorzej? Nie trenera?

J. TOMASZEWSKI: — Nie tylko i nie przede wszystkim, bo jak młodym woda sodowa uderza do głowy, to sam sobie winien.

L. BENOIT: — Chce być gwiazdą i nie liczy się z zespołem.

L. JEZIERSKI: — To wiele zależy od samego zawodnika. Jeśli jest mądry to zrozumie, gdzie jest jego miejsce w zespole.

M. STRZELECKI: — Ale zależy też i od trenera, i kolegów, aby mu to miejsce pokazali. Pomogli odnaleźć.

J. TOMASZEWSKI: — W każdym zespole są lepsi i gorsi, bardziej wytrwali i łatwiej załamujący się. Myślę, że trener, jeśli chce sementować zespół, powinien oprzeć się na tych lepszych, poszukać w nich sojusznika.

Mówiło się tu wiele o zaufaniu. Ale powinno to być zaufanie obustronne. Kiedy zawodnik przycho-

POZA STA

dzi i mówi, że dziś nie jest w formie i nie może trenować, to chyba trzeba mu uwierzyć, zaufać, że on nie kłamie.

L. BENOIT: — Są pewne reguły pracy w zespole. Często o meczach piłkarskich mówi się, że jest to wspaniałe widowisko. I to prawda. Można więc poszukać pewnej analogii do pracy w zespole teatralnym. Ale nie tylko dlatego, że i tu i tu mamy do czynienia z widowiskiem. A właśnie dlatego, że tu i tu pracuje się zespołowo.

Skoro jest to zespół, to nie może być mowy o pofolgowaniu komukolwiek. Przeciwnie, jeśli jestem słabszy, to tym bardziej muszę więcej pracować, aby dorównać innym. Jest to po prostu poczucie odpowiedzialności za swoje miejsce w zespole. Jeśli zawodnik nie wyrobi sobie tego poczucia na treningach, to nie będzie go posiadał i na meczu.

Powiedziałbym to tak: premiera w teatrze jest takim samym przedstawieniem jak pięćdziesiąte z rzędu. Mecz w Holandii jest takim samym meczem, jak mecz z Szombierkami. Przecież jak widz przychodzi do teatru, to on chce mnie zobaczyć w takiej samej

formie, w jakim temu. Jego ramię dziś nie jest tak silne jak wczoraj, więc nie jest to dla niego wielki sukces. A bywa, że kibic maszewski do-

J. TOMASZEWSKI: —

L. JEZIERSKI: — Teatrze dobrać trzeba konkretnie. Trener w ma mniejsze operować tymi krami. A bywa, dostaje do zespołu nie sprawdzają-

WL. LACHOWICZ: —

si się na to god-

L. JEZIERSKI: — Powinien cię wstawić się dzieć, że zawiesz się. Ale przeciwnie, że nie po- ma własną i zes-

W „Widzowie” ma takiej sytuacji do zespołu ty, którzy są nam się dzieje w p-

L. BENOIT: —

o konkretnych

wię o zasadzie w zespołowym zespole przychodzą, to niezależnie od tego, czy był gdzie indziej kupującym. Musi mieć miejsce, inaczej rzeź, nie zostaje przez zespół.

Nie mam żadnych różnic teatralnych i nie istnieją różnice trenera i reżysera dobieństwa. Trenerko doprowadzi wszystkich zawodników — podobnie jak rzeź koncepcję realizować będzie przeciwnik ma wiedzenia. Wie poprowadzić z on zmienić kosie meczu. Tre tylko grać, ale A tego nie do roku. Jeśli więc ją się zbyt cz zespołu nie mowowanej koncepcji myślenia w

ST. TERLECKI: —

je mi się — p-

formie, w jakiej byłem tydzień temu. Jego nie obchodzi, że ja dziś nie jestem „w sosie”. Podobnie jest i na meczu. Jak Jan Tomaszewski dobrze bronił tydzień temu, to kibic chce, aby Jan Tomaszewski dobrze bronił i teraz.

J. TOMASZEWSKI: — Ja nie mówię o sobie.

L. JEZIERSKI: — Reżyser w teatrze dobiera aktorów do potrzeb konkretnego przedstawienia. Trener w zespole piłkarskim ma mniejsze możliwości. Musi operować tymi samymi zawodnikami. A bywa przecież i tak, że dostaje do zespołu ludzi, którzy nie sprawdzają się.

WL. LACHOWICZ: — Czy musi się na to godzić?

L. JEZIERSKI: — Nie powinien. Powinien mieć odwagę przeciwstawić się zarządowi. Powiedzieć, że zawodnik nie sprawdził się. Ale przecież nie każdego trenera na to stać, nie każdy rozumie, że nie postępując tak działa na własną i zespołu szkodę.

W „Widzewie” na szczęście nie ma takiej sytuacji. Angażujemy do zespołu tylko tych piłkarzy, którzy są nam niezbędni. A i to się dzieje w porozumieniu z trenerem.

L. BENOIT: — Ja nie mówię o konkretnych przypadkach, mó-

punktu widzenia. Od strony zawodników. Przyznaję, że kiedy zdecydowałem się przyjechać do Łodzi, to wiazałem z trenerem Stanisławem Stachurą pewne nadzieje. Po prostu chciałem pracować pod jego kierunkiem, bo sądziłem, że pomoże mi to rozwinąć moje umiejętności. A tu okazuje się, że nie ma Stachury.

Słyszałem o takim wypadku, kiedy zarząd odwoływał trenera juniorów. Chłopcy poszli do zarządu i powiedzieli: — skoro odchodzi nasz trener, to my też przestajemy grać. Albo, albo. Proszę wybieraćcie! W naszym zespole mamy trochę moralnego katka, bo myśmy nie nie zrobili, aby Stanisław Stachura pozostał. Wydaje mi się, że potrafił on stworzyć zaczątki zupełnie dobrej atmosfery w zespole. Tylko — jak tu już powiedziano — nie miał wyników. I to zadecydowało...

L. BENOIT: — Bo działacze lubią być niecierpliwi.

ST. TERLECKI: — Może, ale wydaje mi się, że nie tylko to. Ja wprawdzie nie mam tak wielkiego stażu jako zawodnik, jak moi koledzy, ani też nie znam tylu trenerów, co oni, ale kiedy grałem w trzecioliżowej drużynie FSO w Warszawie, to były to moje najlepsze czasy, najcieplej je wspominam. Wtedy wszyscy graliśmy dla przyjemności.

W. CHODAKOWSKI: — O ile znów jakaś pochopna decyzja go nie przerwie.

L. JANECEK: — Uważam, że sprawa zmiany trenera nie może odbywać się bez wiedzy zespołu, poza jego plecami.

L. JEZIERSKI: — Ale wśród naszych trenerów jest wielka bojaźń. To nie jest dobre zjawisko, bo każdy za szybko dąży wszelkimi siłami i sposobami do wykazania się dobrymi wynikami. Jak nie ma wyników, to jutro może nie być pracy. Muszę tu powiedzieć zupełnie bezstronnie, że takich klubów jak RTS „Widzew”, gdzie powierzono trenerowi, gdzie się z nim współpracuje, nie ma wbyły ani strategii, ani taktyki. Jest nerwowa szarpanina — od meczu do meczu. Jak tu w takich warunkach myśleć perspektywnie, kształtować przyszłość drużyny? Jak prowadzić politykę kadrową, myśleć o przyszłości poszczególnych zawodników? Budować rezerwę dla pierwszej drużyny? Przecież nie każdy trener ma gwarancję, że będzie z tą drużyną pracował ze dwa, trzy, cztery lata. To co on będzie się martwił o przyszłość? Niech się o to martwi ten, kto po nim przyjdzie.

M. STRZELECKI: — Klub chce mieć wyniki, ale i klub chce też mieć spokój. Kluby nie lubią trenerów, którzy mają swoje zdanie. Co tu dużo mówić. Był przecież taki czas, kiedy Leszek Jezierski kandydował na trenera ŁKS. Ale działacze powiedzieli: — nie, bo on jest taki pyskawy, że z nim nie można wytrzymać. I kandydatura upadła. Nawet Jezierskiemu nie zaproponowano przejścia do ŁKS, choć nie wiadomo, czy on by się na to zgodził.

Dla „Widzewa” Leszek Jezierski nie był „pyskawy” i jakoś z nim wytrzymało już 7 lat. Dzięki pracy w „Widzewie” Leszek Jezierski został trenerem roku 1975. I słusznie, bo mu się to należało.

Mówię o tym jednak nie dlatego, aby prawić komplementy Jezierskiemu, ale dlatego, że trener powinien być pośrednikiem między zespołem a zarządem klubu, łącznikiem między działaczami a zawodnikami. Jak może jednak tę funkcję pełnić, jeśli nie cieszy się szacunkiem w zarządzie, jeśli nie potrafi nic dla zawodników załatwić. Czy wtedy będzie miał uznanie i szacunek w zespole?

WL. LACHOWICZ: — Sporo tu już powiedzieliśmy o trenerach, zawodnikach, o ich wzajemnych stosunkach, o tym czego zawodnicy oczekują od trenerów, a trenerzy od zawodników. Czy na podstawie tych uwag można byłoby stworzyć wzór idealnego trenera?

J. MSZYCA: — A czy taki wzór istnieje? Uważam, że nie ma idealnego trenera na świecie. Można natomiast mówić o dobrym trenerze. Dla mnie dobry trener, to taki, który dobrze przygotowuje mnie do sezonu. Dzięki jego pracy, kiedy wychodzę na boisko, wiem, że jestem w dobrej formie. Potwierdzam to strzelając bramki. Mam uznanie u kibiców.

Dalszy ciąg na str. 18



Michał Strzelecki



Tadeusz Gapiński



Zdzisław Kostrzewiński



Leszek Jezierski

STADIONEM

wię o zasadzie, która obowiązuje w zespołowym działaniu. Jeśli do zespołu przychodzi dobry zawodnik, to niezależnie od tego, czym był gdzie indziej, to jest początkującym. Musi znaleźć swoje miejsce, inaczej będzie grał gorzej, nie zostanie zaakceptowany przez zespół.

Nie mam zamiaru twierdzić, że nie ma różnic między zespołem teatralnym a piłkarskim. Podobnie istnieją różnice między pracą trenera i reżysera. Ale są też podobieństwa. Trener musi nie tylko doprowadzić do dobrej formy wszystkich zawodników, ale też — podobnie jak reżyser — stworzyć koncepcję gry. Tę koncepcję realizować będzie zespół. Ale przeciwnik ma tu też coś do powiedzenia. Więc trener musi tak poprowadzić zespół, aby potrafił on zmienić koncepcję gry w czasie meczu. Trener musi uczyć nie tylko grać, ale i myśleć na boisku. A tego nie dokona się przez pół roku. Jeśli więc trenerzy zmieniają ją zbyt często, to w grze zespołu nie może być ani dopracowanej koncepcji, ani właściwego myślenia w czasie gry.

ST. TERLECKI: — Na częste zmiany trenerów trzeba — wydaje mi się — popatrzeć i z innego

W pierwszej lidze jest trochę inaczej. Wielu zawodników ma już rodziny, a więc i kłopoty, troski, potrzeby. Dla nich gra w piłkę, to gra o chleb. Dla niektórych, to przysługa, sprawdzenie siebie. Ale w większości przypadków — obowiązek. Przy takim podejściu do piłki nożnej z czasem staje się obojętne, kto mnie trenuje, w jakim gram zespole, czy jest to zespół, czy tylko nazywa się zespołem.

Ale przykład drużyny „Widzewa” dowodzi, że mimo takich — wydawałoby się — przeszkód, można stworzyć zgrany, rozumiejący się zespół. Myślę, że u nas też już coś takiego powstało, lecz decyzja zarządu odwołująca trenera Stachurę, przerwała ten proces i nie wiem, czy teraz — i jak szybko — uda się go rozpocząć ponownie.

J. TOMASZEWSKI: — Niezależnie od tego, czy ktoś gra dla przyjemności, dla przygody, dla chleba, czy dla sprawdzenia siebie, to wszyscy są ludźmi. To prawda, że różnymi. I jeśli trener potrafi to docenić, znaleźć do każdego właściwą drogę, to myślę, że uda się taki proces odtworzyć ponownie.

SPORT

Dokończenie ze str. 17



Ludwik Bonoit



Wiesław Chodakowski



Stanisław Terlecki

Z. KOSTRZEWIŃSKI: — To chyba za mało. Zresztą już mówiliśmy o tym.

ST. TERLECKI: — Trener jest tylko człowiekiem i jak każdy człowiek ma swoje zalety i wady. Nie wiem, czy jest sens tworze-

nia ideału, który byłby abstrakcją. Ale myślę, że każdy z nas ma w pamięci kogoś, kto czymś szczególnym zapisał się w niej, którego cechy są dla niego wzorem. Dla mnie takim trenerem był Włodzimierz Kamiński, który trenował w FSO, a obecnie jest trenerem warszawskiej Gwardii.

J. TOMASZEWSKI: — Dla mnie wzorem trenera, który potrafi być człowiekiem, a nie maszyną do trenowania piłkarzy, jest Kazimierz Górski. Wiele też — jak już powiedziałem — zawdzięczam Hubertowi Kostce.

L. JEZIERSKI: — Każdy ma jakiś swój wzór. Rzecz w tym, że taki wzór najczęściej nie może być powszechnym, bo jest on cechą jednego człowieka. Ja też miałem wielu trenerów i kiedy przestałem grać w piłkę zająłem się trenowaniem, wzorowałem się na jednym z moich terenów. I chyba nie popełniłem błędów. Ale czy taki wzór może być uniwersalny? Mnie on odpowiadał. Dla innych może być nie do przyjęcia. Wszystko zależy od indywidualności człowieka.

Myślę jednak, że redaktorowi Lachowiczowi chodziło o coś innego. Proponując określenie wzoru idealnego trenera, pragnie on zmusić nas do sprecyzowania warunków, w jakich dobrze do swej pracy przygotowany trener osiągnąłby najlepsze wyniki, wyrażające się nie tylko miejscem drużyny w ligowej tabeli, ale też rezultatami wychowawczymi, szkoleniowymi itp.

M. STRZELECKI: — Problemów pracy trenerskiej nie można sprowadzać tylko do szkolenia drużyn pierwszoligowych. Dotyczy to również pracy z juniorami, drugimi zespołami, trampkarzami.

L. JEZIERSKI: — Ja też daleki jestem od takiej jednostronności. Ale tym nie mniej uważam, że pracę każdego trenera można właściwie ocenić dopiero, kiedy wykonuje ją on w określonych warunkach. Uważam też, że w naszym sporcie — i to nie tylko w piłce nożnej — żądamy wysokich rezultatów, choć nie zapewniliśmy niezbędnego minimum dla ich osiągnięcia. Ostatnio wiele się na ten temat mówi.

WE. LACHOWICZ: — Może kilka przykładów.

L. JEZIERSKI: — Wiadomo, że kluby otrzymują pomoc z zakładów pracy. Zastanawiamy się często w naszym klubie, co jest bardziej korzystne: pomoc i opieka jednej fabryki, jak to ma miejsce choćby w Mielcu, ale nie tylko, czy patronat kilku fabryk?

Inna sprawa. Tu wiele mówiono, że trener powinien do każdego zawodnika podchodzić w sposób indywidualny. Nikt rozsądny nie będzie tego kwestionował. Ale każdy rozsądny człowiek zaraz też zapyta: na jakiej podstawie indywidualizować trening? Posługiwać się intuicją, trenerskim „nosem”? A pomocą w tej sprawie powinien trenerowi służyć lekarz. Może inne kluby mają taką pomoc. Może są takie wyjątki. W każdym razie w Łodzi nie, w Widzewie też nie mamy takiej pomocy. Wszyscy wiedzą, że jest ona niezbędna. Jak długo jeszcze można pracować tylko w

oparciu o intuicję i trenerski „nos”?

Jeszcze inna sprawa — to sprzęt. Nie ma potrzebnego do treningów sprzętu. Ale czasem nawet gdyby był, to nie byłoby go gdzie postawić. Kiedy nasza drużyna awansowała do pierwszej ligi, to się okazało, że nie jesteśmy do takiego awansu przygotowani. Nie piłkarze, ale klub, ale miasto. Nasz stadion — jak wiadomo — dopiero się rozbudowuje.

Nie mówię tego w formie pretensji, bo w drużynie przyjęliśmy taką zasadę: najpierw pokażemy na co nas stać, a później będziemy domagali się warunków dla utrzymania zdobytej pozycji. Bo wtedy będą się nam należały. Tylko, czy wszystkie zespoły stać na pracę na takiej zasadzie?

WE. LACHOWICZ: — I czy jest to dobra zasada?

L. JEZIERSKI: — Nie spierajmy się o to. Nie to jest w tej chwili istotne. Chodzi mi mianowicie o podkreślenie, że aby dobrze przygotowany trener mógł się sprawdzić, mógł realizować z powodzeniem nakreślone przed zespołem cele, musi istnieć ścisła współpraca trenera, zespołu, działacza, lekarza, musi być stadion, odpowiednie urządzenia. My mamy bardzo dobrą współpracę z działaczami. Mówiłem już o tym. Nie mamy powodów do narzekania. Ale przecież w „Widzewie” też nie wszystkie warunki są już idealne, niekiedy nie są nawet dobre.

Jeśli chcemy dalej rozwijać sport, jeśli chcemy ugruntować naszą pozycję na międzynarodowych stadionach, ringach, bieżniach itp., to trzeba czym prędzej kończyć z improwizacją, z działaniem prowizorycznym, prymitywnym, a zacząć budować podwaliny nowoczesnego sportu. Mówił o tym niedawno Hubert Wagner, o ile pamiętam wypowiedź ta była cytowana w „Sportowcu”. A przecież on osiągnął znakomite wyniki. Mimo to, przestrzegał przed reorganizowaniem sportowej „góry”, przed szukaniem przyczyn różnych niepowodzeń w strukturze i organizacji sportu, a zalecał zajęcie się tworzeniem podstaw, modernizacją „dołu”. I w zupełności z nim się zgadzam.

L. JANECZEK: — Życzyłbym sobie mieć do współpracy takich działaczy jak ma Widzew. Ale to inna sprawa.

Przyznam się, że bardzo mi podobala się ta dyskusja i jestem zadowolony, że w niej uczestniczyłem. Po raz pierwszy miałem okazję posłuchać, co zawodnicy myślą o współpracy z trenerem. Byłbym za tym, aby taką dyskusję zorganizować w szerszym gronie, aby mogli jej posłuchać też działacze sportowi. Byłby z tego wielki pożytek. Mnie ta dyskusja dała wiele do myślenia.

ŚWIAT

W listopadzie 1965 roku, dokonując rasistowskiego puczu w Rodezji Ian Smith, po dziś dzień premier rodezyjskiego rządu białej mniejszości, powiedział otwarcie: „Dopóki ja żyję, w Rodezji nie będzie rządzić czarna większość”...

Minęło dziesięć lat i oto Smith był już niejednokrotnie zmuszony do prowadzenia rozmów z afrykańskimi patriotami w sprawie konstytucyjnego uregulowania rządów w Rodezji.

Po raz pierwszy w grudniu 1974 roku. Następnie w końcu września 1975 roku, kiedy na pogranicznym moście między Zambią i Rodezją toczyły się rozmowy między przywódcami afrykańskich organizacji narodo-wyzwoleńczych a delegacją rasistowskiego reżimu Iana Smitha na temat przyszłej struktury konstytucyjnej w Rodezji. Wówczas to Smith i przedstawiciel Afrykańskiej Rady Narodowej — Abel Muzorewa wymienili w tej sprawie diametralnie różne poglądy w bezpośredniej 10-godzinnej rozmowie. Do porozumienia oczywiście nie doszło. Pertraktacje przerwano wskutek nieprzejednanego stanowiska Smitha: „Dopóki ja żyję...” itd. Ostatnio, 19 marca tego roku, znów zaistniała szansa pokojowego przekazania władzy w ręce narodu Zimbabwe. Jednakże reżim rodezyjski, ze swym liderem na czele, przerwał rozpoczęte pertraktacje i znów odrzucił możliwość wspólnego rozwiązania z przedstawicielami narodu Zimbabwe kwestii przekazania władzy w Rodezji w ręce murzyńskiej większości. Tym razem nawet znaczna część stronników Smitha, spośród 250 tysięcy Rodezyjczyków europejskiego pochodzenia, uważa jego upór za całkowicie bezmyślny.

Także Anglia ostrzegła Smitha przed następstwami jego politycznej krótkowzroczności. Były brytyjski minister spraw zagranicznych (obecny premier), James Callaghan, wezwał białych Rodezyjczyków do uznania realnego faktu, iż nie zwyciężą w przedłużającej się wojnie domowej i dlatego powinni się oswoić z myślą, że już wkrótce nastąpią rządy większości.

Smith, który „zupełnie zawiódł się na Anglii” — czemu daje wyraz przy każdej okazji — wszedł na drogę awanturnictwa politycznego, dążąc do umiędzynarodowienia rodezyjskiego konfliktu; wmięszania doń rasistowskiej RPA i kapitalistycznych krajów Zachodu, by w ten sposób przedłużyć agonię swego reżimu. Temu właśnie celowi służyły mnożące się w ostatnich miesiącach tego roku zbrojne prowokacje wojsk rodezyjskich u granic Mozambiku.

Wszystko jednak wskazuje na postępujący zmierzch reżimu. W „Radio-Rodezja” już coraz rzadziej produkuje się chór, który przy akompaniamencie brawurowej muzyki śpiewał bojową pieśń „Rodezja nie umrze nigdy”. Pewien właściciel biura pogrzebowego w Salisbury na swój sposób służy swojej „białej ojczyźnie” na kontynencie Czarnej Afryki: od rodzin, które straciły swych bliskich w walkach z partyzantami nie bierze pieniędzy za trumny i muzykę...

Ian Smith oświadcza: „Nasze wojska opracowały plan zniszczenia terrorystów”. Na to przywódca Afrykańskiej Rady Narodowej odpowiada: „Siedem tysięcy bojowników o wolność postawiliśmy w stan gotowości w Rodezji i u jej granic”. Z wojskowego punktu widzenia biali Rodezyjczycy mają na razie przewagę. Pięć tysięcy cy dobrze wyszkolonych żołnierzy obsługuje artylerię i czołgi rodezyjskich wojsk lądowych, a lotnictwo może rzucić do walki 70 nowoczesnych bombowców. Jednakże zwycięstwo 5 i pół miliona Afrykanów nad 255 tysiącami białych (czyli 22 Afrykanów na 1 białego) jest tylko kwestią czasu. Ponadto rząd w Salisbury znajduje się w międzynarodowej izolacji. Kiedy Mozambik zdobył niepodległość, Rodezję z zachodu, północy i południowego wschodu okrążają Botswana, Zambia i Mozambik, które popierają czarnych Rodezyjczyków w walce o wolność. Republika Południowej Afryki granicząca z Rodezją od południa, coraz częściej i coraz wyraźniej pozostawia swoich „białych braci” na łasce losu, musi bowiem rozwiązać swoje własne problemy.

Nkomo, jeden z rodezyjskich przywódców Afrykańskiej Rady Narodowej, powiedział, co następuje: „Zabijanie ludzi nie jest zabawne. Ale nasza przemoc jest odpowiedzią na poniewieranie w tym kraju, już od dziesiątków lat, godności ludzkiej. Kiedy Wielka Brytania dawała niepodległość swoim ostatnim koloniom, biała mniejszość w Rodezji uprzedziła ten krok. Żeby przeszkodzić w przekazaniu władzy Afrykanom, 11 listopada 1965 roku biali w Rodezji jednostronnie ogłosili niepodległość tego kraju. Tylko biali i zamocni Afrykanie mogli wziąć udział w wyborach nowego rządu, bowiem podstawowym warunkiem udziału Afrykanów w głosowaniu był minimalny dochód roczny w wymiarze 1200 funtów, podczas gdy robotnik na farmie zarabiał około 40 funtów rocznie. W ten

sposób z 5 i pół miliona Afrykanów do głosowania mogło przystąpić zaledwie 9 tysięcy Murzynów. Rząd uformowano wyłącznie z białych”.

Już jedenaście lat Ian Smith, założyciel partii „Front rodezyjski”, zajmuje stanowisko premiera rządu. Rasistowską politykę Smitha, syna przesiedleńcy ze Szkocji, lotnika Królewskich Sił Powietrz-

nych polityki apartheidu, nie ma rasowej dyskryminacji w szkołach, restauracjach i urzędach państwowych. Jednakże, podobnie jak w RPA, w Rodezji „nieposłusznych i buntowniczych” Murzynów, którzy żądają przeprowadzenia swobodnych wyborów, tysiącami wtrąca się do więzień. Przedstawiciele afrykańskiej inteligencji musieli uciekać za granicę. Będąc poza granicami ojczyzny zbierali pieniądze, kupowali broń i nielegalnie wracali do Rodezji, żeby wal-

we. Nocami okna i drzwi budynków chronią stalowe płyty z otworami na broń maszynową, a podwórza toną w powodzi ostrych świateł reflektorów. Radiotelefony i urządzenia sygnałowo-alarmowe zapewniają stałą łączność z posterunkami wojska i komisariatami policji, gdzie stoją śmigłowce, gotowe do akcji przez okrągłą dobę. Na działania partyzantów biali odpowiadają terrorem. Według danych reżimu rodezyjskiego, jak podaje „Stern”, na każdego zabi-

IANA SMITHA TANIEC NA LINIE

nych z okresu II wojny światowej, potępił nieomal cały świat. Ale Smith mówi często i z zadowoleniem: „Afrykanie w Rodezji są

czyż o wolność. Wkrótce po jednostronnym ogłoszeniu niepodległości Rodezji w 1965 roku, bojownicy ruchu oporu zaczęli rozmieszczać na brzegach pogranicznej

tego białego przypadku dziesięciu zabitych partyzantów. Pragnąc zastraszyć Afrykanów ośrodki propagandy demonstrują makabryczne filmy, na których pokazuje się, na przykład, jak hiena wydziera trzewia z jamy brzusznej zabitego partyzanta itp. Murzyni mają to rozumieć jako przestrożę: patrzcie i zapamiętajcie, czeka to was wszystkich, jeśli pójdziecie z partyzantami.

We wsiach rozrzuconych w rejonach pogranicznych, rodezyjskie oddziały wojskowe tworzą obozy, ogradzając osiedla wysokimi palisadami zwinionymi drutem kolczastym. Oficjalnie ma to na celu ochronę ludności murzyńskiej, w rzeczywistości jednak chodzi o przeszkodzenie jej w ucieczce do partyzantów.

W stolicy Zambii — Lusace — działa ośrodek kierowniczy dwóch rodezyjskich organizacji walczących o wyzwolenie kraju: Afrykańskiej Rady Narodowej Zimbabwe (ZANU) i Rady Afrykańskiego Narodu Zimbabwe (ZAPU). Ośrodek nie odrzuca idei pokojowego przekazania władzy Afrykanom w drodze rozmów z białym rządem rodezyjskim.

Obie strony — i biali i Murzyni — poszukują za granicą nie tylko politycznych sojuszników, lecz także pomocy wojskowej. Kilkuset najemników z Anglii, USA, Austrii i RFN służy już w regularnych wojskach rodezyjskich, głównie w piechocie. W USA prywatne firmy: „Feniks Associated” i „Military Advice Command” werbują weteranów wojny wietnamskiej „jako sojuszników w walce o utrzymanie zachodniego stylu życia w Afryce”. Analogiczne akcje werbunkowe prowadzi także ciemne indywidua także w Anglii, RFN i gdzie indziej.

Ale ani terror, ani represje, ani uzbrojona po zęby armia rodezyjska i oddziały najemników nie zastraszą partyzantów Zimbabwe. Reżim Smitha zmierza nieuchronnie ku swemu kresowi, i tak również nieuchronnie zbliża się moment ujęcia steru władzy państwowej w Rodezji przez Afrykanów.



najszczęśliwszym narodem pod słońcem”.

W odróżnieniu od sąsiedniej Republiki Południowej Afryki, w Rodezji nie istnieje oficjalnie po-

rzeki Zambesi potajemne składy broni. Już od ósmu lat w północnym rejonie pogranicznym grzmiały wystrzały.

Dzisiaj farmy białych osadników przypominają umocnienia wojsko-

JERZY CZECH

POEZJA

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

CZAS TERAZNIEJSZY

Jest między mną a mną
człowiek którego nie było,
którego nie pamiętam,
który nie istniał nigdy
albo istniał wszędzie
I dom budował w każdej ziemi piędzi
pod swoją stopą.

Do dziś tak kroczy na czasie krawędzi
w swe stopy zaprzężony do bezruchu „mieć”
Kiedy ciało zostawia na wieki w letargu,
aby wciąż trwało teraz, bez zbudzenia w śmierć.

Tak więc jest czas, czy nie ma czasu w m i ę d z y
czasie?

Czy może był i będzie poza trwaniem czas?
Beatrycze jest wierszem, którego nie było.
Zapaloną kometa, które zysła miecz.

* * *

A ona biega jak wrzeczono
Pomiędzy krtanią i ustami
Ze strun wyciąga miękkie włókno
Które się splata w siatkę znaczeń

I się rozpina ponad światem
Ta sama, ale ciągle inna
I się poszerza i zagarnia
Obszary nie nazwanych znaczeń

Ciągle przyrasta w sieci oko
Łowiące, a nie tkane ręką
Raz niewód wlecze się głęboko
Raz po powierzchni płynie prędko

Dokąd się spieszy?
Już ocean patrzy jej okiem
I już z nieba
Gwiazda ugrzęzła w grubej sieci
I świat w chaosie się zatrzymał
(On przez jej oka nie przeleci)
Jeszcze jej mało?
Rośnie jeszcze?
Kto ją zaplata?
Kto zatrzyma?
I czas i próżnia grzęzną w sieci
I nicóż także, choć jej nie ma.

Twórca filmów dokumentalnych, reżyser Zygmunt Adamski, przez siedem miesięcy przebywał w Brazylii. Plonem tej wyprawy jest kilkugodzinny cykl filmów telewizyjnych zatytułowanych „Brazylia nieznana”. Z twórcą tych filmów – ZYGMUNTEM ADAMSKIM rozmawia Ewa Matusiewicz.

— Jak doszło do „brazylijskiej przygody”?

— Pomyśl narodził się już dawno. Przyjaźniłem się ze studentem szkoły filmowej w Łodzi, Argentyńczykiem Oskarem Gamardo. Postanowiliśmy wspólnie zrealizować film w oparciu o znaną książkę „10 000 km konno przez obie Ameryki”, która jeszcze fascynowała mnie w czasach mojej młodości. Ojciec Oskara był producentem filmowym i miał wziąć na siebie całą sprawę sfinansowania na terenie Argentyny. W tym samym czasie mój drugi przyjaciel, Adam Dosta, przebywający często w Polsce, obiecał pomóc przy realizacji filmu w Brazylii. Tak więc w trójkę przystąpiliśmy do wstępnych opracowań scenariusza.

Pomyślałem zainteresowała się Telewizja i Wytwórnia Filmów Dokumentalnych. Ambasada argentyńska obiecała szybko przyznanie wiza (jako ciekawostkę mogę podać, że do dnia dzisiejszego jej nie otrzymałem), ale w brazylijskiej odmówiono mi w ogóle zezwolenia na wyjazd. Poradzono mi wtedy, że mam jeszcze jakieś szanse starając się prywatnie.

Tak minęły prawie dwa lata. I kiedy wszystko wydawało się definitywnie przekreślone — otrzymuję wizę z wiadomością, że za trzy miesiące muszę przekroczyć granicę Brazylii. W ogromnym pośpiechu, w gorączkowej, napiętej atmosferze przygotowywałem się do wyjazdu. Wyjeżdżałem zupełnie sam, z tą ogromną ilością sprzętu filmowego, turystycznego, zaopatrzonego, w miarę możliwości, we wszystko, co mogłoby być potrzebne.

Jechałem w niezbyt dobrym nastroju. Wszyscy znajomi, którzy wracali z tego kraju straszili mnie wiadomościami, że tam nie wolno kręcić filmów, że nie lubią dziennikarzy itp. Na wszelki wypadek pochowałem wszelkie akcesoria, które mogłyby mnie zdradzić jako filmowca. Nie zabrałem nawet żadnego zaświadczenia o wykonywanym zawodzie. Mój wyjazd miał stwarzać pozory turystycznego. Część taśmy filmowej wysłałem do konsulatu polskiego w Sao Paulo, jako przesyłkę dyplomatyczną. Całą drogę denerwowałem się.

Prawie już nie śpiąc ostatnie dwie noce z wrażenia, znalazłem się na redzie w Santos. Z daleka widać już było to piękne miasto, wyspę z willami, pływające jachty. Gdy tak oglądałem port, dostrzegłem w oddali motorówkę, a w niej był Adam. Podpłynął blisko naszego statku, uspokoił, że wszystko jest w porządku. Wszystko byłoby idealnie, gdyby nie to, że nie mogę zabrać z urzędu celnego mojej paczki, bo jest adresowana do konsula. Nie miałem też upoważnienia, aby ją

otworzyć. A tu okazuje się, że bez kontroli, co jest w środku, nie mogą puścić, a otworzyć nie mogą, bo dyplomatyczna. I zrobiło się błędne koło.

Po długich debatach i zapewnieniu ze strony Adama, celnicy zdecydowali się otworzyć przesyłkę — wtedy zobaczyli parę tysięcy metrów taśmy filmowej. Sprawa zaczęła być poważna. Wzięto mnie za zwykłego przemytnika, gdyż taśma i sprzęt filmowy są tam bardzo drogie. Tymczasem Adama, że jestem filmowcem, nie pomagali. Żądali zaświadczeń, a ja nie miałem nic. Wszystko zostawiłem w kraju. Nagle przypomniało mi się, że mam tylko małą legitymację SFP, ale gdzie ją włożyłem? Wiem, że w jednej z 27 olbrzymich paczek jest, tylko w której? Celnicy pomogli mi przetrząsnąć każdą paczkę. Cierpliwie czekali dwie godziny aż znalazłem. Podziękowali, przeprosili.

— Czy ktoś pomagał Panu przy nakręcaniu filmów?

— Miałem szczęście trafiając na panią Ewę Żmiję, która przebywała w tym czasie na stypendium doktoranckim ufundowanym przez Adama Dostę dla pracowników Instytutu Tropikalnego. Nie była nigdy filmowcem, ale stała się znakomitym asystentem pomagającym nie tylko w pracy, ale i w trudach organizacji codziennego życia. Razem ze mną przemierzyla też 30 000 km. Byliśmy zdani na łapanie wszystkiego na gorąco, a czasami nawet nasi przewodnicy odkrywali coś razem z nami po raz pierwszy. Nie miałem nawet czasu na dłuższe zaaklimatyzowanie się. Od razu zgłosiliśmy się do konsulatu polskiego w Kurytybie, gdzie już na mnie z niecierpliwością oczekiwał Konsul Generalny, pan Malik i przewodniczący „Towarzystwa Union Juventus”, pan Paulo Filipake. Wspólnie postanowiliśmy, że najlepiej zacząć od filmów o Polakach. Pojechaliśmy do nowej nadmorskiej miejscowości Matinhos, gdzie gościliśmy u starej polskiej rodziny Krulów, od kilku pokoleń mieszkającej w Brazylii. Gospodarze oddali nam całą willę do dyspozycji, byli niezwykle serdeczni i mili.

Po powrocie do Kurytyby konsul zorganizował nam wielkie spotkanie z Polakami. Tam poznałem Tadeusza Sobocińskiego,

ŚWIAT

ŚWIAT

który stał się później naszym Cicerone w wędrówkach po stanie Parana. Nie mogłem trafić lepiej. Ten Polak z pochodzenia, adwokat, poseł stanowy, przez dwa miesiące dzielił z nami trudy wojazy. Znał prawie każdą ścieżkę i wszyscy go znali. Dzięki niemu udało mi się dotrzeć do tych zakątków, które uwieczniłem na taśmie.

ny światowej istniało polskie gimnazjum, które ukończyło wielu dzisiaj znanych i cenionych naukowców. Szkoły polskie, tak jak i innych mniejszości narodowych, zostały zlikwidowane w 1938 roku na skutek działania V kolumny niemieckiej. Dopiero, gdy Brazylia przystąpiła do wojny, zaczęto wyraźnie występować przeciwko Niemcom. Te sprawy nie są u nas na ogół znane, a już szczególnie fakt, że Brazylia wysłała swój własny korpus ekspedycyjny do walki w Europie, w którym było też wielu Polaków. W tym korpusie Tadeusz Sobociński był kapitanem; brał też udział w walce o Monte Cassino.

— Stan Parana jest największym skupiskiem Polaków, ale nie jedynym.

tościowych. Namawiano mnie bardzo na wycieczkę w tamtejszy interior, gdzie Polacy mieli już zorganizowane na modłę zachodnioeuropejską nowoczesne hodowle bydła. Nie zdążyliśmy już tam dojechać, gdyż śpieszyliśmy się na uroczystości 77-lecia Towarzystwa „Orzeł Biały” w Rio Grande. Prefekt miasta w swoim przemówieniu poświęcił dużo ciepłych słów Polakom, podkreślając ich wkład w zagospodarowanie tej ziemi.

— Jak Pan znosił tamtejszy klimat?

— Zawsze lubiłem ciepło, nie na darmo moi przyjaciele nazywają mnie gadem, bo zawsze smażyłem się na słońcu i nie mnie nie przerażało.

Smiali się ze mnie w Brazylii, bo ciągle czegoś się bałem, zależnie od tego, kto mnie na co uczulił. Przez pewien czas potwornie zacząłem się bać karaluchów. Jest ich tam rzeczywiście zatrzęsienie i to dwa razy większych od naszych chrabąszczy. Mieszkający tam lekarz, dr Kosobudzki, opowiedział mi kiedyś, że w Brazylii 40 procent osób umiera na skutek tzw. choroby Chagassa, o której przez długie lata nie wiadano skąd się ona bierze. Przyczyny jej zostały wykryte dopiero niedawno. Okazało się, że jest ona spowodowana ukłuciem jednego z gatunków karalucha zwanego „barbeiro”. Skutki tej choroby daje się rozpoznać dopiero po 20 latach, gdy jest już za późno na jakikolwiek ratunek — puchnie serce i człowiek umiera. Proszę się więc nie dziwić, że zacząłem się bać karaluchów. Później już o tym zapomniałem.

Jeśli chodzi o inne zwierzęta, to najmniej kłopotu było z dużymi drapieżnikami. Po prostu w tych miejscach, gdzie przebywałem, już ich nie było. Zostały wytępione przez ludzi. Jest to tym smutniejsze, że ludzie nie ustają w tej rabunkowej gospodarce.

Natomiast jeszcze w Sao Paulo zaprowadzono mnie do takiego specjalnego „instytutu węzowego” — „Butantao”, gdzie zebrane są wszelkie rodzaje żmije, jadowite węże, prawie wszystkie, jakie żyją w Brazylii. Tam też z ich jadu produkują surowiec, którą za darmo rozsyła się po całym kraju. Chciałem trochę poznać się z tymi „osobistościami”, gdyż nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek może się z nimi spotkać „oko w oko”. W głowie mi się na początku aż kręciło, bo są one tak swym ubarwieniem upodobnione do środowiska, w którym żyją, że nawet trudno je dostrzec. Jedne są czerwone, jak ziemia — to groźne węże koralowe, inne — bananówki — zupełnie w kolorze tego owocu i todygi; pstre różnobarwne, do wyboru do koloru. Cechą wspólną, jak mi tłumaczyli, jest to, że każdy jadowity wąż ma trójkatny łeb. Wszystko pięknie, ale zanim człowiek dojrzy, jak „to” ma łeb, może być już za późno. Pewnego razu realizując film o Paranie, kręciłem zdjęcia koło Ponta Grossy, w takim mieście skał uformowanych w przedziwne kształty,

Na parukilometrowej przestrzeni można po tym swobodnie chodzić. Kiedy skręciłem ze ścieżki na trawę — wpadli na mnie z krzykiem Sobociński i kierowca samochodu, abym natychmiast uciekał. Okazuje się, że tam nie można odejść nigdzie na bok, ze względu na płaczące wszędzie węże i żmije. Szczęśliwie nic mi się nie stało, a to głównie dlatego, że była to pora zimowa, gdy wszystkie te gady są bardzo leniwe i siedzą gdzieś w norach.

— Brazylia zaskakiwała Pana chyba nie tylko egzotyką?

— Mój pobyt w tym kraju był cały czas jedną wielką przygodą,



o jakiej marzy się nie tylko w młodości. Był znakomitą, prawdziwą „lekcją geografii”.

To, co mnie szczególnie uderzyło u mieszkańców Brazylii, to fakt, że są tak uczynni, mili, gościnni. Często spotykałem gościnność zbliżoną do naszej polskiej, ale to jeszcze coś więcej. Tam można być gościem tak długo, jak się chce. Gościnność jest posunięta tak daleko, że kiedy coś chwali się w domu gospodarzy, można spodziewać się, że przy wyjściu zostanie to подарowane. Tak jakby ci ludzie nie przywiązywali



wagi do dóbr doczesnych. I to jest ta cudowna cecha, która szalenie ułatwia życie i kontakty między ludźmi. Muszę przyznać, że wielokrotnie doświadczałem tej gościnności i za każdym razem byłem tym wprost onieśmielony.

BRAZYLIJSKA PRZYGODA

Pojechaliśmy wzdłuż rzeki Iguacu aż do wodospadów, które przez niektórych uważane są za dużo piękniejsze od Niagary, a które na pewno można zaliczyć do największych cudów świata. Kraina ta zdumiewała mnie nie tylko egzotyką lecz także dużymi skupiskami zamieszkałymi tam rodaków. Prawie wszyscy spotykani po drodze ludzie mówili po

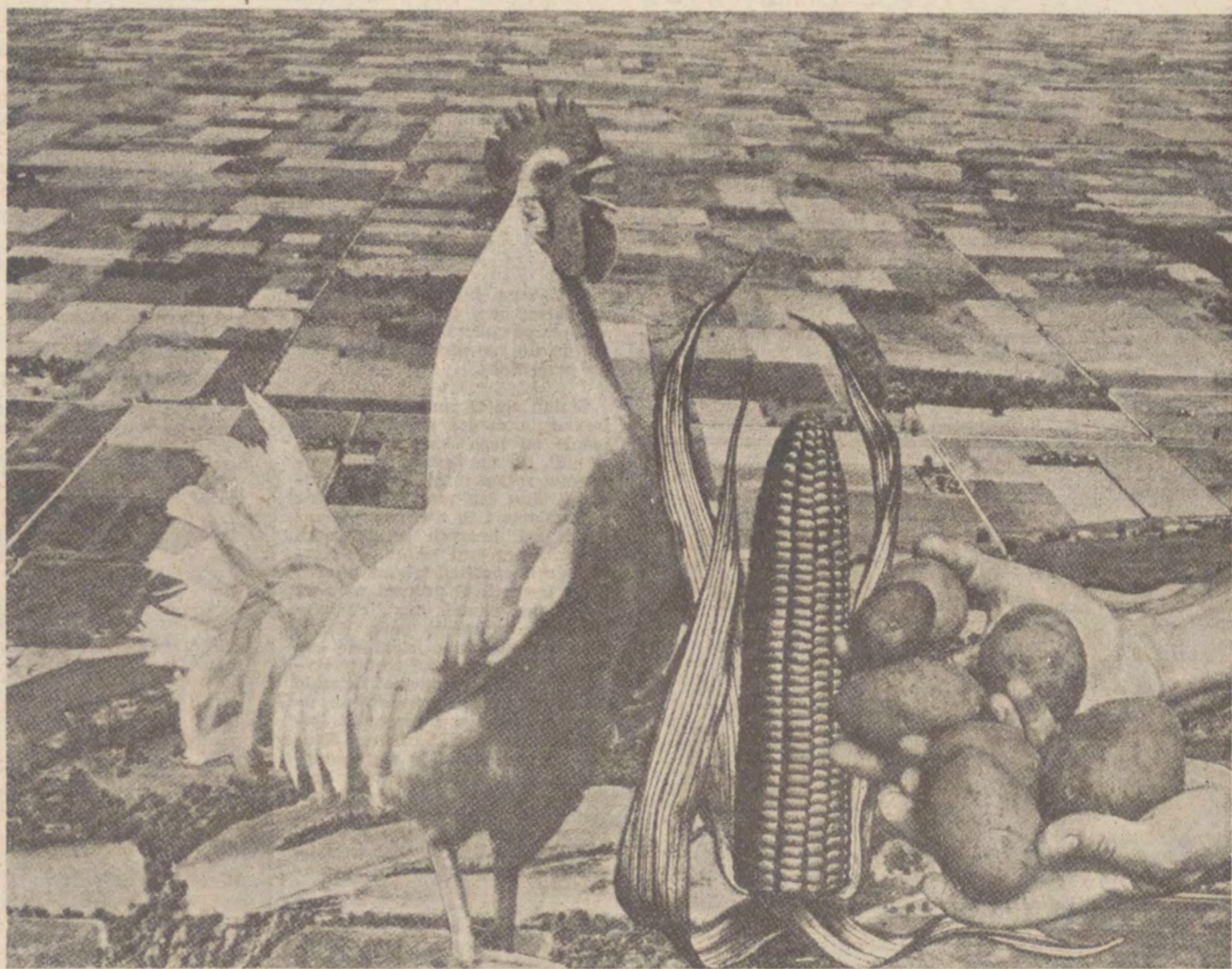
— Drugie takie olbrzymie ognisko występuje również w rolniczo-hodowlanym stanie Rio Grande do Sul, ze stolicą Porto Allegre na czele. Ich mieszkańcy uważają siebie za elitę całego kraju, nie bez dumy podkreślając, że ostatni prezydenci pochodzili z tych stron.

W Porto Allegre, milionowym



polsku, byli blondynami, nosili jeszcze polskie nazwiska. Jest to stan, w którym rzeczywiście ten język dominuje. W takim Cruz Machado Polacy stanowili chyba 95 procent mieszkańców, a nawet Niemiec, właściciel dużego hotelu, zmuszony był do nauczenia się języka polskiego, aby mógł w ogóle tam egzystować. Podobnych miasteczek jest jeszcze dużo. W Mallecio prawie do II woj-

nowoczesnym mieście, żyje dużo Polaków, zrzeszonych w Towarzystwie „Polonia” któremu przewodził znany działacz inż. Edmund Gardoliński. Był to znakomity architekt, którego imieniem nazywane były całe dzielnice, szkoły, zastłozony człowiek tego stanu, do tego hobbista — hodowca orchidei. Jego dom miał wartość prawie muzealną, tyle było w nim rzeczy zabytkowych i war-



Na pytanie postawione w tytule działacze kulturalni i plastycy znaleźliby różne odpowiedzi. Ale cóż z tego, że umiemy odpowiedzieć na to pytanie, skoro większość propozycji popularyzatorskich nie sprawdza się w praktyce. Salony wystawowe odwiedzają na ogół ciągle ci sami ludzie. Z takim problemem borykają się prawie wszystkie Biura Wystaw Artystycznych.

— Tak, choć długo zastanawialiśmy się nad najlepszym sposobem popularyzacji plastyki w Łodzi. Pamiętaliśmy bowiem o tym, że obok licznego środowiska profesjonalnego, mamy w większości odbiorców nieprzygotowanych, takich, których trzeba umiejętnie zachęcić do przyjscia i obejrzenia wystawy. Dlatego też musieliśmy szukać różnych form działania.

środowisku plastycznemu oddaliśmy Galerię Sztuki przy ul. Wólczańskiej.

Doszliśmy do wniosku, że organizowanie jakichkolwiek ekspozycji, nawet najlepszych pod względem artystycznym, mija się z celem, jeśli nie są one podporządkowane generalnej myśli. Tak powstały cykle wystaw. Na przykład prezentujący tendencje konstruktywistyczne i wizualne.

— Czy wpłynęło to na wzrost zainteresowania plastyką?

— Najlepszym dowodem są wypełnione sale.

Imprezy nasze wspieramy jedną dużą wystawą. W 1973 roku było to I Triennale Malarstwa i Grafiki, a w ubiegłym I Międzynarodowe Triennale Tkaniny Przemysłowej i Unikatowej. Przy czym przed Triennale i w czasie staraliśmy się organizować wystawy o tkaninie.

— Dalsze rozszerzenie takiej działalności byłoby możliwe, gdyby było więcej miejsc wystawowych.

— Potrzebna jest galeria sztuki. Ale nie chodzi tylko o jeszcze jedno miejsce wystawowe, a o placówkę noszącą charakter naukowo-badawczy, wyposażoną w nowoczesny sprzęt audiowizualny itp. Na razie są to jedynie marzenia.

— Niedawno w województwach sieradzkim i piotrkowskim powstały BWA oraz otworzono salony wystawowe.

— Tylko w pięciu województwach powstały Biura Wystaw Artystycznych. Między innymi właśnie w Piotrkowie i Sieradzu.

— Pod koniec roku salon wystawowy ma powstać w Zduńskiej Woli.

— Jesteśmy tym bardzo zainteresowani. Dla łódzkich plastyków nowe salony to jeszcze jedna możliwość konfrontacji z odbiorcą.

— Jakie są wasze najbliższe plany?

— W tym roku organizujemy prawie 40 ekspozycji. Najwięcej jednak pracy wkładamy w przygotowanie II Triennale Malarstwa i Grafiki pod nazwą „Nasz czas — metafora — tendencje”. Chcemy, aby wypadło ono lepiej niż pierwsze, w 1973 roku.

MIROSLAW KUŹNIAK

JAK UPOWSZECHNIAC?

Z satysfakcją można odnotować fakt, że jedną z nielicznych instytucji upowszechniających plastykę, której propozycje chwyciły, zainteresowały, sprawdziły się w praktyce jest łódzkie Biuro Wystaw Artystycznych. Zaprosiłem więc do rozmowy dyrektora, **BERNARDA KEPLERA**.

— Przed trzema laty powstał program upowszechniania plastyki. Największy nacisk położono na sprawy dydaktyczne. Czy te założenia sprawdziły się?

Przyjęliśmy założenie, że program upowszechniania sztuki winien być adresowany do konkretnego odbiorcy. Opierając się na dotychczasowych doświadczeniach przeznaczaliśmy Ośrodek Propagandy Sztuki w parku im. Sienkiewicza na ekspozycje zagraniczne, okręgowe i okolicznościowe, zaś Salon Sztuki Współczesnej i Galerię Bałucką na miejsca prezentacji młodych, zdolnych plastyków oraz wystaw problemowych. Natomiast łódzkiemu



SWIAT



W miesiąc po śmierci Czou En-laja mianowano Hua Kuo-fenga tymczasowym premierem Chińskiej Republiki Ludowej. Jest on członkiem Biura Politycznego KPCh a ponadto wicepremierem i ministrem bezpieczeństwa publicznego. Wiadomość ta zaskoczyła obserwatorów życia politycznego w ChRL.

TRZY GRUPY

W kierownictwie Komunistycznej Partii Chin obserwuje się rosnące zaniepokojenie sytuacją, której należy oczekiwać w naj-

wej jest szybkie uprzemysłowienie i osiągnięcie możliwie największej niezależności gospodarczej; dlatego też są zwolennikami importu towarów zagranicznych i technologii w takim stopniu, w jakim jest to korzystne z punktu widzenia szeroko pojętych interesów Chin. Frakcja ta jest przeciwna nawiązaniu bliższej współpracy z krajami socjalistycznymi. Kładzie akcent na rozwijanie współpracy polityczno-gospodarczej z Zachodem.

Grupa szanghajska — obóz radykałów i ekstremistów reprezentowana przez ludzi z najbliższego otoczenia Mao, w szczególności przez cztery osoby: żonę Mao, ośmioletnią Ciang Cing (lat 62), nieoficjalnego szefa frakcji Czang Czum-ciao (lat 76); wiceprzewodniczącego KPCh i najmłodszego członka Biura Politycznego Wang Hung-wena (lat 39) oraz syna Ciang Cing z jej pierwszego małżeństwa Jao Wenjuna (lat 46). Ludzie ci byli organizatorami i przywódcami rewolucji kulturalnej, a w latach późniejszych najaktywniejszymi uczestnikami nowych

Mao Tse-tunga. Wprawdzie ich polityczne uwarunkowania nie są całkowicie jasne, ale wydaje się, że większość członków tej grupy wyznaje poglądy zbliżone do „frakcji pekińskiej”. W polityce zagranicznej podziela ją niechęć a nawet wrogość stanowisko „frakcji szanghajskiej” do odprężenia i pokojowego współistnienia.

KLĘSKA TENG SIAO-PINGA

Według informacji agencji zachodnich ostatnie plenum KC KPCh zostało przerwane, zapewne na skutek braku jedności. Wystąpiła na nim wyraźna opozycja „grupy szanghajskiej” wobec kan-

Ma około 57 lat. Swoją dzisiejszą karierę zawdzięcza aktywnemu udziałowi w rewolucji kulturalnej w prowincji Hunan, gdzie urodził się Mao Tse-tung. W latach 1965—1969 Hua Kuo-feng szybko awansował. Na IX Zjeździe KPCh został członkiem KC, a w 1973 roku, po X Zjeździe wszedł w skład Biura Politycznego. W styczniu 1975 r. Sesja Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych (parlament) mianowała Hua Kuo-fenga jednym z dwunastu wicepremierów i ministra bezpieczeństwa publicznego.

Jest on twórcą opracowanej jesienią 1975 r. nowej strategii poli-



Foto: Archiwum

ANDRZEJ RADZIK

SPADEK

PO CZOU EN-LAJU

bliższej przyszłości. Stan zdrowia Mao Tse-tunga jest coraz gorszy.

O władzę w Chinach rywalizują ze sobą obecnie trzy główne grupy. Charakterystyka tych grup i ich postaw politycznych jest trudna. Wynika to stąd, że polityczne poglądy niektórych osobistości nie są dostatecznie dobrze znane, by udało się je wyraźnie zaliczyć do tej czy innej grupy. W przybliżeniu jednak można je scharakteryzować w następujący sposób.

Na czele tzw. „grupy pekińskiej” stał Czou En-laj, a następnie przewodził nią wicepremier Teng Siao-ping. W jej skład wchodził członkowie zespołu centralnego planowania gospodarczego, jak również wielu rehabilitowanych oficjalnych funkcjonariuszy wysokiego szczebla z okresu poprzedzającego „rewolucję kulturalną”. Ludzie ci, skupieni w dużych ośrodkach przemysłowych pragną racjonalnie wykorzystać dostępne im środki dla rozwijania chińskiej gospodarki. Uważają, że podstawa znaczenia Chin na arenie międzynarod-

kompanii politycznych, jak krytyka Lin Piao i Konfucjusza.

Głoszą oni hasła, że Chiny nie mogą poświęcić wartości rewolucyjnych na ołtarzu rozwoju gospodarczego. Skoncentrowali swoje wysiłki na polityce kulturalnej i wychowawczej, która służy im jako podstawowa metoda zmiany światopoglądu 800 milionów Chińczyków. Są przeciwnikami bodźców materialnego zainteresowania. Obawiają się, że polityczne i ekonomiczne stosunki ze Stanami Zjednoczonymi czy też krajami socjalistycznymi mogą spowodować rozkład rewolucyjnych ideałów. Zwolennicy światowego wysiłku zbrojeń. Aktywnie popierają wszelkie procesy integracji politycznej i militarnej zachodniego świata.

Trzecią i ostatnią jest „grupa wojskowych”, w składzie której najbardziej znany jest chyba Czen Szi-lien. Grupa ta może się okazać niechętna koncepcji powierzenia kierownictwa cywilnym funkcjonariuszom partii po odejściu

dyktatury Teng Siao-pinga uważanego powszechnie za następcę Czou En-laja na stanowisko premiera Chin. Mao desygnował jednak Hua Kuo-fenga na stanowisko premiera, co stało się już faktem.

Teng Siao-ping był niemal przez wszystkich uważany za następcę Czou En-laja. Był wiceprzewodniczącym KPCh, szefem sztabu generalnego sił zbrojnych.

„Obóz szanghajski”, czyli radykałowie zainicjowali szeroką kampanię w stylu „rewolucji kulturalnej” — przeciw pragmatykom. Członkowie tej grupy pamiętali, że Teng Siao-ping był współpracownikiem Lin Szao-tsi oraz że w okresie rewolucji kulturalnej został napiętnowany jako „oficjalna osobistość nr 2, która weszła na drogę kapitalizmu”.

Oslabienie pozycji Tenga wywołało poważne zaniepokojenie wśród zachodnich kół dyplomatycznych, które z osobą tego polityka wiązały nadzieję na kontynuowanie prowadzonej przez Czou En-laja polityki zbliżenia Chin z Zachodem. Obaw tych nie rozwiązały nawet uroczystości w Pekinie związane z czwartą rocznicą ogłoszenia chińsko-amerykańskiego komunikatu szanghajskiego, który zapoczątkował normalizację wzajemnych stosunków. Jak wiadomo w uroczystościach tych wziął udział R. Nixon, który przybył do Chin jako osoba prywatna. Podobno Mao w prywatnej rozmowie z Nixonem uskarżał się na trudną i złożoną sytuację wewnątrzpolityczną w Chinach.

KIM JEST PREMIER?

Premier Hua Kuo-feng należy do średniego pokolenia działaczy.

tyczno-gospodarczej w dziedzinie rozwoju rolnictwa. Na wielkiej ogólnochińskiej naradzie w Sijanie zapowiedział przekształcenie w latach 1976—80 jednej trzeciej rejonów rolniczych w bojowe twierdze. Plan ten oznacza w praktyce powrót do lewackich eksperymentów z okresu „wielkiego skoku”, likwidując całkowicie bodźce materialnego zainteresowania produkcją rolną. Zamierzenia te kryją w sobie również treści polityczne. Hua chce przeprowadzić generalną czystkę wśród kadry kierowniczej, szczególnie na niższych szczeblach administracji państwowej. Dał temu wyraz stwierdzając w Sijanie m.in., że „dążyć będzie do usunięcia umiarkowanych, odszczępieńców, zwolenników kapitalistycznej drogi” (bodźców materialnych). Aby osiągnąć ten cel Hua Kuo-feng zaaprobował metody „rewolucji kulturalnej”, a więc przemocy i gwałtu.

Walka polityczna w Chinach weszła w nowy etap — twardej i bezwzględnej rywalizacji między poszczególnymi frakcjami, które dążą do przejęcia władzy po śmierci Mao. Wszystko przemawia za tym, że w okresie post-maoistowskim jeszcze wyraźniej ujawnią się frakcyjne rozbieżności na temat polityki wewnętrznej i międzynarodowej Chin, polityki, która już dzisiaj spotyka się z coraz większym sprzeciwem chińskim mas pracujących.

NOTY

Agata Christie tuż przed śmiercią dokonała podwójnego morderstwa: najpierw zamordowała swego ulubionego bohatera, detektywa — amatora, Herkulesa Poirot, a następnie unicestwiła klasyczną powieść detektywistyczną, wywodzącą się jeszcze od samego Conan Doyle'a i jego bohatera Sherlocka Holmesa.

Herkules Poirot pojawił się na kartach powieści kryminalnych Agaty Christie w 1920 roku. Była to jej pierwsza książka kryminalna. „Tajemnicza historia w Styles”. „The Times” obliczył, że Herkules Poirot zmarł w wieku

Maxa Mallowana. Było to szczęśliwe małżeństwo. Wiele podróżowała. Pisała najpierw dwie książki w roku, a od 1970 roku — jedną.

— Teraz piszę tylko jedną książkę rocznie — powiedziała przyjaciółom — gdyż wystarcza mi to do uzyskania całkiem wysokich dochodów.

Kiedy zdecydowała się na krótko przed śmiercią na opublikowanie „Kurtyny”, leżącej od 30 lat w szufladzie, w księgarniach Anglii złożono na tę powieść 200 tysięcy zamówień.

Ale Agata Christie spłatała swoim czytelnikom, wielbicielom i spadkobiercom wielkiego figla. Po pierwsze — naruszyła podstawowe kanony klasycznej powieści detektywistycznej, w której detektyw nie może być mordercą. A Herkules Poirot takim się okazuje w „Kurtynie” i to kilkakrotnie, choć działającym nie bezpośrednio. Nie on morduje, on tak manipuluje ludźmi, że ci to robią za niego. Tym gor-

DOWCIP AGATY CHRISTIE

117 lat, gdyż w chwili, w której pojawił się na kartach „Tajemniczej historii w Styles” był już emerytowanym policjantem, który odszedł z belgijskiej policji w 1913 roku w wieku co najmniej 65 lat. Ale tak naprawdę to Herkules Poirot umarł 30 lat wcześniej, gdyż książka „Kurtyna”, w której rozstaje się z życiem, została napisana pod koniec drugiej wojny światowej.

Agatę Christie można śmiało nazwać klasykiem literatury detektywistycznej. Napisała 86 książek, które ukazały się w 28 językach o łącznym nakładzie przewyższającym 400 milionów egzemplarzy. Jak podaje „New York Times” na liście najczęściej tłumaczonych autorów na świecie zajmuje ona piątą miejsce. Była autorką kilkunastu sztuk teatralnych i współautorką 15 filmów. Jej sztuka „Pułapka na myszy” nie schodzi z afisza jednego z londyńskich teatrów już od... 24 lat. Ale napisała też takie sztuki, które zrobiły „klapę” po kilku przedstawieniach.

Urodziła się 5 września 1890 roku w miejscowości Torquay w hrabstwie Devon. Jej matka była Angielką, ojciec Amerykaninem. Uczyła się — jak to wówczas było w zwyczaju w niektórych środowiskach Anglii — w domu. Na początku pierwszej wojny światowej poślubiła młodego oficera angielskiego — Archibalda Christie. Pracowała w aptece w Torquay, gdzie wiele dowiedziała się o truciznach. Pisać zaczęła, aby „robić na złość siostrze, która utrzymywała, że Agata nie potrafi napisać powieści kryminalnej.

Rozczła się z Archibaldem Christie i w 1930 roku wyszła ponownie za mąż za archeologa

za to zbrodnia dokonana na tradycji tego gatunku. Po drugie — „kazala” bohaterowi wielu swoich powieści, genialnemu detektywowi, Herkulesowi Poirot popełnić samobójstwo. Po trzecie — okazało się, że stało się to już 30 lat temu, ale nikt o tym nie wiedział i wszystkie przygody Herkulesa Poirot opisywane przez ten czas były li tylko wspomnieniami przegód szacownego nieboszczyka.

Najokrutniejszego figla spłatała Agata Christie swoim spadkobiercom. Nigdy nie przykładała większej wagi do swoich dochodów. „The Financial Times” przypuszcza, że w 1970 roku jej dochody osobiste wynosiły około 100 tys. funtów. Ale wydaje się wszystkim, że była to suma niższa niż faktycznie wynosił dochód roczny Agaty Christie. W 1974 roku obliczono, że otrzymała 366 157 funtów, jako tantiemy z książek, filmów, sztuk, przekładów. Ale — jak stwierdza „The Financial Times” — wielu wydawców tłumaczyło jej powieści i nie zawsze do końca regulowało rachunki. Agata Christie nie przywiązywała do tego większej wagi. Pieniądże i prawa do swego majątku rozdawała hojnie przyjaciółom i krewnym.

— Nie pytajcie nas o jakiegokolwiek dane liczbowe — oświadczyli przedstawiciele pisarki w Londynie już po jej śmierci — gdyż ich nie znamy.

I tak dziś nie wiadomo, ile zostawiła po swojej śmierci, jak to podzielić, jakie sumy jeszcze będą wpływały, bo przecież jej książki nadal tłumaczy się na wiele języków. Specjalści są bezradni.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

PANCERNIK „POTIOMKIN”



Scenariusz: Sergiusz Eisenstein (na motywach scenariusza Niny Agadzanowej-Szutko)
Reżyseria: Sergiusz Eisenstein
Zdjęcia: Edward Tisso

Wykonawcy: marynarze Floty Czarnomorskiej, mieszkańcy Odessy i członkowie zespołu „Proletkultu” oraz A. Antonow (Wakuliczuk), G. Aleksandrow (Komendant Gilarowski), Władimir Barski (kapitan Gollkow), A. Lewaszyn (podoficer), Michaił Gomarow (marynarz)

Produkcja: „Goskino”
Premiera: 21.XII.1925 r.
Długość: 1740 m

Sergiusz Eisenstein był jednym z największych, jeśli nie największym artystą, jaki pojawił się w dziejach sztuki filmowej. Twórca o ogromnym talencie, zdumiewającej różnorodności artystycznych uzdolnień, imponujących zainteresowań. Był nie tylko reżyserem filmowym i teatralnym, scenografem i rysownikiem, ale także wybitnym myślicielem, filozofem i teoretykiem sztuki.

Eisenstein pojawił się w najbardziej burzliwym okresie sztuki radzieckiej, w latach dwudziestych, kiedy to rewolucyjny przełom historii wyzwolił i ucieleśnił marzenia o nowej sztuce. Rewolucja artystyczna zbiegała się wówczas z rewolucją społeczną i ogarnęła główne dziedziny sztuki: malarstwo, poezję, architekturę, teatr i film. Był to okres gorączkowych poszukiwań nowych form wyrazu zdolnych pomieścić i przekazać

nowe idee rewolucyjne. Był to okres „eksperymentów dla milionów”. Sztuka nie miała być — w myśl programów artystycznych tamtych lat — odtworzeniem rzeczywistości, lecz jej tworzeniem, kreacją nowego ładu artystycznego, równoległego do ustrojowych podstaw.

„Ze wszystkich sztuk najważniejszą jest dla nas film” — to zdanie Lenina było miarą znaczenia młodej kinematografii radzieckiej w rewolucyjnym społeczeństwie. Lata dwudzieste w filmie radzieckim cechują się nie tylko świętością ekranowych osiągnięć, ale także żywiołową pasją eksperymentatorskich poszukiwań rozbiegających się w wielu kierunkach.

W laboratoriach filmowych Lwa Kuleszowa, Dżigi Wiertowa, szkoły FEKS, Wsiewołoda Pudowkina, Aleksandra Dowżenki i wreszcie Sergiusza Eisensteina krystalizowały się koncepcje i powstawały filmy, których znaczenie dla późniejszego biegu kinematografii nie sposób przecenić. Najważniejszą kwestią dla filmowej awangardy radzieckiej był montaż, jako podstawowa metoda filmowego tworzenia. Montaż nie był jednakże dla młodych reżyserów radzieckich — tak jak dla Griffitha — instrumentem filmowej narracji. Montaż miał służyć przede wszystkim filmowemu dyskursowi, przekazywaniu treści ideologicznych, rewolucyjnej retoryce filmowego obrazu. Montaż obok swoich wartości czysto estetycznych, jak rytm czy efekty plastyczne, był metodą takiego zestawienia obrazów, aby z ich zderzenia wynikały określone treści pojęciowe, których ciąg skojarzeniowy miał się układać w rodzaj ekranowego dyskursu. Tego rodzaju koncepcja montażu została sformułowana w pismach teoretycznych Sergiusza Eisensteina

FILM

M. R.

pod nazwą „montażu intelektualnego”, a w jego filmach znalazła najbardziej krańcową formę. Fascynująca teoretycznie koncepcja montażu intelektualnego w praktyce prowadziła do zachwiania artystycznej kompozycji filmowego dzieła, a ponadto w poważnym stopniu zagrażała jego komunikatywności.

Koncepcję montażu intelektualnego Eisenstein sformułował w drugiej połowie lat dwudziestych, a jej częściowa realizacja nastąpiła w „Październiku” (1928) i w „Starym i nowym” (1929). Wcześniej powstały dwa inne filmy wczesnego okresu twórczości Sergiusza Eisensteina: „Strajk” (1924) i „Pancernik Potiomkin” (1925). Pierwszy z tych filmów nosił ślady młodzieńczej fascynacji reżysera pewnymi koncepcjami inscenizacji teatralnej tego okresu, które sprowadzały się do emocjonalnego oddziaływania na widza. „Strajk” był w istocie dziełem nieudanym. Filmowi, który miał ukazać metody i technik walki kapitalizmu z proletariatem i proletariatu z kapitalizmem w oparciu o faktografię strajków z 1905 roku zabrakło w powodzi ekscentrycznych pomysłów i nowatorskich, lecz ekлекtycznych rozwiązań jednolitej koncepcji ideowo-artystycznej.

„Pancernik Potiomkin” został zrealizowany na podstawie scenariusza Niny Agadźanowej-Szutko pt. „1905 rok” poświęconego rewolucji 1905 r. Ze scenariusza składającego się z ośmiu epizodów Eisenstein w trakcie realizacji wybrał ostatecznie jeden, który przedstawiał autentyczny bunt na pancerniku „Potiomkinie”. Treść scenariusza filmu odpowiadała prawdzie historycznej, jedynie dramatyczne w rzeczywistości zakończenie buntu marynarzy wydanych przez Rumunów władzom carskim zostało zastąpione triumfalnym zwycięstwem pancernika.

Fabularnym punktem wyjścia filmu jest obraz nieludzkiego stosunku panujących w armii carskiej. Marynarze są żywymi zesnutym mięsem, które roi się od robactwa. Pod wpływem marynarza-bolszewika Wakulińczuka na statku narasta gniew i nienawiść do ciemiężycieli. Znajduje ona wreszcie ujście w wybuchu powstania. Marynarze oswadabniają stątek i wrzucają oficerów do morza. Radość zwycięstwa zostaje zmącona śmiercią Wakulińczuka — przywódcy powstania. Jego pogrzeb staje się hasłem do rewolucyjnego wystąpienia ludności Odessy solidaryzującej się z załogą „Potiomkina”. Na ulice miasta wylęgają wielotysięczne tłumy. Rząd carski mści się na bezbronnej ludności. Następuje masakra na schodach prowadzących do portu w Odessie. Po krwawej rzezi w mieście przeciwko „Potiomkinowi” wyrusza eskadra admirałska. Ruch rewolucyjny okazał się jednak silniejszy od carskich rozkazów — ani jeden strzał nie pada w kierunku „Potiomkina”. Marynarze eskadry admirałskiej nie chcą strzelać do swoich braci. Bohaterski pancernik owa-cyjnie pozdrawiany przez załogę innych statków wypływa na pełne morze.

„Pancernik Potiomkin” był pierwszym wielkim filmem, dla którego podstawą stał się rewolucyjny temat, pierwszym filmem, który postawił sobie za zadanie odtworzyć wielkość, siłę i patos rewolucyjnego zrywu. Fabularna realizacja tego tematu ma w fil-

mie kształt koncentryczny. Eisenstein pragnął ukazać rozchodzenie się rewolucyjnej fali buntu i bohaterstwa zbuntowanych, od pojedynczego incydentu na pancerniku, poprzez zbiorową manifestację proletariatu Odessy, aż do aktu solidarności z bohaterską załogą eskadry admirałskiej. Fabularna koncepcja filmu, odzwierciedlając mechanizm i logikę rewolucji, zadecydowała o kompozycji formalnej filmu.

„Potiomkin” na pierwszy rzut oka przypomina kronikę wydarzeń, ale oddziałuje jak dramat — pisał Eisenstein, który najwnikliwiej zanalizował własne dzieło. — Tajemnica polega na tym, że chronologiczny rozwój wypadków podporządkowany jest w filmie surowym prawom kompozycji dramatu w ich najbardziej uświęconej formie — tragedii pięcioaktowej.

Eisenstein analizując „Pancernik Potiomkina” wskazywał na jednolite prawo strukturalne, które przenika całą kompozycję filmu na wszystkich jej płaszczyznach. Jest nim wywiedzona z klasycznej estetyki zasada „złotego podziału” przełożona przez Eisensteina ze sztuk przestrzennych na czasową strukturę filmu. „Złoty podział” przecina nie tylko cały film na dwie opozycyjne części, ale jego linia przebiega również wewnątrz każdego aktu. Przejście z jednej części do drugiej jest dynamiczne i służy kontrastowej zmianie akcji, nastroju, rytmu, ruchu. I tak przykładowo: w akcie II wybuch buntu na pancerniku następuje po przynębiającym oczekiwaniu marynarzy-powstańców pod łufami karabinów, a w akcie III gniew marynarzy wybucha po scenie powzechnej żaloby po Wakulińczuku. Dla całości filmu rolę czurowy spełnia scena z martwym Wakulińczukiem oraz sekwencja mgieł w porcie odeskim. W ten sposób strukturę dzieła, które pragnęło pokazać istotę rewolucji przenika dialektyczny konflikt — postawa procesu historycznego.

Patos jest podstawową cechą stylistyczną „Pancernika Potiomkina”, bowiem patetyczny temat wymagał — według reżysera — patetycznej formy. Efekt patosu uzyskuje Eisenstein dzięki perfekcyjnej inscenizacji scen masowych i montażowi. „Pancernik Potiomkin” był pozbawiony bohaterów indywidualnych, których losy na zasadzie prostych, psychologicznych prawidłowości organizują przeżycie widza, a mimo to dzięki patetycznemu obrazowaniu scen zbiorowych potrafił doprowadzić widza — zgodnie z intencjami twórcy — „do stanu wyjścia z siebie (ex-stasis)”. Kulminacyjnym punktem patosu filmu jest słynna, trwająca sześć minut, sekwencja masakry ludności Odessy na schodach prowadzących do morza. Dzięki montażowi rytmicznemu, który wyraził się w narastaniu tempa, zmianie kierunku ruchu wewnątrz kadru, kontrastowaniu planów ogólnych i zbliżeń Eisenstein wyraził przejmujące wrażenie emocjonalnej ekstazy.

Klasyczna dojrzałość artystycznej konstrukcji „Pancernika Potiomkina”, genialne skomponowanie idei, tematu i środków ekspresji w idealnie harmonijną całość sprawiają, że jest to film żywy i inspirujący do dnia dzisiejszego.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI



VISCONTI

W dniu, kiedy na Konfrontacjach oglądaliśmy film „Portret rodzinny we wnętrzu”, dotarła do nas wiadomość, że jego autor Luchino Visconti nie żyje. Zmarł jeden z największych artystów sztuki filmowej, twórca dzieł tak wybitnych, że większość z nich na trwałe pozostanie na ekranie Wielkiego Luźjonu Świata.

Twórczość Luchino Viscontiego, dziś już zamknięta, czeka na pełny opis i interpretację obejmującą to wszystko, co odnajdywaliśmy w niej przy każdym kolejnym spotkaniu. Główne motywy tej twórczości sprawiają, że śmierć Luchino Viscontiego oznacza jeszcze coś więcej, niż śmierć jednego człowieka. Wraz z Viscontim pożegnaliśmy świat, który wypełniał jego dzieła, który uczynił głównym tematem swej twórczości. Nikt w dziejach kina poza Viscontim nie żegnał przeszłości świata i jej kultury z taką rozpaczą i z taką głęboką jednocześnie świadomą zgodą na nieuniknioną tego odejścia. W tym względzie „Portret rodzinny we wnętrzu” wieńczy twórcze życie Luchino Viscontiego.

Potomek książęcego rodu rozpoczął pracę w filmie pod okiem Jean Renoira, przejmując od swego wielkiego mistrza jego antyfaszystowskie i postępowe poglądy. W latach wojny Visconti pracował jako scenarzysta, recenzent i publicysta filmowy, w 1942 roku zrealizował film „Opętanie” uważany dziś za pierwszą artystyczną manifestację neorealizmu. Z neorealizmem łączy go jeszcze wspaniały film o sycylijskich rybakach „Ziemia drży” i film „Najpiękniejsza”. W tym czasie zajmuje się również reżyserią teatralną i operową. Od czasu „Zmysłów” (1953) Luchino Visconti, obdarowany przyrodkiem Czerwony Książę, zaczyna kroczyć drogą, na której wszystkie kolejne filmy podejmują i dopełniają jeden główny motyw jego twórczości — wizerunek świata dawnych wartości i procesów jego upadku, prowadzących do wielkich przemian i dramatów społecznych i politycznych („Rocco i jego bracia”, „Lampart”, „Zmierz bogów”), do kryzysu kultury („Śmierć w Wenecji”, „Portret rodzinny we wnętrzu”) oraz klęsk osobistych przedstawicieli odchodzącego świata.

O filmach Luchino Viscontiego zwykło się mówić jako o wielkich filmowych „operach”. W ich scenerii toczą się wspomniane dramaty, w ich scenerii ukazane są wielkie gry namiętności. Istotnie, wypełniają one filmy Viscontiego, ich bohaterowie zawsze odbiegają od normy przeciętności, są niezwykli, choć często owa niezwykłość jest znakiem toczącej ich od środka choroby, choroby wieku, dekadencji, rozumianej jako przejaw kryzysu wielu kolejnych odchodzących w przeszłość epok społecznych i kulturowych. Widząc konieczność tego historycznego procesu Visconti starał się obronić to, co w nich wielkie, ponadczasowe, w jego filmach najczęściej związane w wartościach kultury i obyczaju.

Analizując chore społeczeństwa, czynił to najczęściej opowiadając historię jakiejś rodziny, ukazując jej autodestrukcję i rozpad. O tonacji tych opowieści najtrafniej sam powiedział: „Opowiadam te historie jakbym śpiewał Requiem, albowiem wydaje mi się to słusznym tonem dla opowiadanych tragedii. W moich filmach stosunki między ludźmi osiagają krańcowe napięcia. Z własnego wyboru lub zmuszeni okolicznościami bohaterowie stają wreszcie twarzą w twarz ze swym prawdziwym „Ja”. Zawodzi szansa ratunku, jaką mogłaby dać miłość lub rodzina; nie chronią ich przywileje władzy lub pieniądze. Są sami. Bez nadziei, by cokolwiek mogło zmienić ich sytuację. I czasem nawet bez woli, bez chęci osiągnięcia takiej zmiany”.

Owo Requiem brzmi w filmach Luchino Viscontiego przejmująco również dlatego, że ich rysem szczególnym jest niezwykle osobisty charakter wypowiedzi. Świat jego filmów to jego świat własny. Szczerze tych filmów nie wydaje się być programem artystycznym, jest autentycznym, choć szokującym niekiedy, publicznym wyznaniem. W dziejach sztuki filmowej, jak dotąd, tylko dwóch twórców na taką manifestację szczerości odważyło się: Federico Fellini i Luchino Visconti. W jakimś sensie może jeszcze Ingmar Bergman, choć niebo Północy w innym stylu tę wolność i odwagę wzywała, niżeli niebo Południa. Dzieła tych twórców odkryły dla kina szlaki nieprzewidywane — dziennik intymny wydawał się nie mieścić w jego naturze i w jego społecznym istnieniu.

Luchino Visconti poprzez obsesyjną niemal wierność sobie, wierność temu, co było głównym wątkiem jego własnych myśli i przeżyć, jeszcze raz dowiódł, że wielka sztuka potrafi uogólniać to, co własne i intymne, bo przekracza granice prywatności, ujawnia to, co wspólne dla wielu, choć tylko artysta umie temu nadać kształt. A kształt myśli i uczuć Luchino Viscontiego osiągnął szczyty artystycznej doskonałości. Spotkania z pięknem, którego kreatorem był ten artysta, będą już tylko spotkaniami ponownymi. Luchino Visconti nie zrealizuje już filmu „W poszukiwaniu straconego czasu”, adaptacji dzieła Marcela Prousta, o której myślał do końca swego życia.

EWA NURCZYŃSKA

MAGAZYN

KRYSTYNA PIETRANEK

„ROMA” czyli cygańska miłość

serca, po to, aby została mu żoną i towarzyszką życia, musi ją porwać. Biada jednak zakochanemu, któremu porwanie się nie uda...



„Jest to stary, cygański obyczaj, który powiada, że jeśli Cygan z pośledniejszego rodu zakocha się w Cygance z rodu bogatego i sławnego — mówi narrator na początku przedstawienia — jeśli nawet zdobędzie wzajemność jej

Niechybnie zostanie wyklęty przez ród ukochanej dziewczyny. Czardziejska plachta i zakiecia wyprzedziana przez starą Cygankę — wróżbitkę, sprawią mu żalony los. Chyba, że...”
Historię takiego nieudanego por-

wania, które po wielu perypetiach kończy się dla zakochanych szczęśliwie przedstawia na polskich i światowych estradach Cygański Zespół Pieśni i Tańca „Roma”.
Romantyka cygańskiego taboru z wozami i ogniskiem, egzotyczne, podkreślone nastrojowymi światłami, przebogate kolorowe kostiumy, miodość, uroda, muzyka, śpiew i taniec tętniący niepomąganą radością życia — wszystko to składa się na pełną swoistego uroku atmosferę widowiska. Na scenie dominuje taniec i śpiew, chociaż nie brakuje w zespole także i znakomitych instrumentalistów: Jan Madziarowicz — akordeon, Petro Cereel i Mikołaj Czareja — skrzypce, Feliks Michalski — gitara. Czasami wykonują piosenki opracowane jak współczesne przeboje, czasami oryginalne, trochę tylko stylizowane melodie, zaczerpnięte ze starych tek folkloru cygańskiego. Mocne, o pięknej barwie głosy artystów ze znamienitych rodów Czeszech i Rumungrow wyspiewają niezrozumiałe dla nas tęsknoty.

— „Chciałoby się wiedzieć, o czym marzą Cyganie, jakie treści przekazują w swoich piosenkach” — mówi do obecnego dyrektora i kierownika artystycznego zespołu, autora i reżysera spektaklu Władysława Iszkiewicza.

— Oczywiście miłość. Raz jest ona pełna melancholii, innym razem namiętna i gwałtowna. Żeby się o tym przekonać musiałaby pani po prostu zostać porwana. Cygan nigdy nie wykonuje tego samego utworu w ten sam sposób. Nastrój, w jakim się aktualnie znajduje, narzuca mu taką lub inną interpretację.”

— „Trudno jest więc chyba ustawić taki żywioł na scenie?” — „Rzeczywiście, ale ponieważ jesteśmy jedna wielka 35 osobowa, rodzinna, rozumiemy się doskonale. Poza tym pracujemy już razem 28 lat. Cyganie wchodzący w skład mojego zespołu wywodzą się z moskiewskiego teatru „Roma”. Artysty z tego teatru podczas II wojny światowej występowali dla polskich i radzieckich żołnierzy frontowych, a po wyzwoleniu osiedlili się w Polsce, w Krakowie.

Tam właśnie na bazie zespołu „Roma” powstała w 1948 r. „Roma”. Jej pierwszym dyrektorem opiekunem artystycznym był Michał Madziarowicz. Ja pełnię tę funkcję dopiero od 1967 roku, ale pracowałem w zespole przez cały czas. Tak więc za niespełna dwa lata obchodzimy jubileusz 30-lecia.”

— Gratulujemy, bo jest czego Zwłaszcza w ostatnich latach. Od marca 1970 r. kłedy patronat nad zespołem powierzono Estradzie Poznańskiej, datuje się szereg znakomitych sukcesów „Romy” która ciągle podnosi swój poziom artystyczny podbija publiczność wielu krajów. Była oklaskiwana podczas całonocnych koncertów w paryskiej „Olimpii” (1971 r.) i w teatrze „Champs Elysées” (1974 r.), odbyła wielomiesięczne tournée po USA i Kanadzie zakończone specjalnym koncertem w siedzibie ONZ w Nowym Jorku. Wielokrotnie występowała w NRD (koncerty we Friedrichstadt — Pałac w Berlinie, inauguracja telewizji kolorowej w tym kraju), prezentowała swój program w Wielkiej Brytanii, a ostatnio w Grecji, dokąd wybierają się ponownie w kwietniu. Dalsze plany to wyjazd do Jugosławii i Włoch.

Polska publiczność miała okazję poznać bliżej zespół „Roma” na Krajowych Festiwalach Piosenki Polskiej w Opolu w 1970 i 71 r. Łódzianie natomiast oglądali program „Roma” między 7 a 17 marca br. w „Kinie Variete-Lutnia”.

Zespół brał udział w wielu programach telewizyjnych. Ma też w swoim dorobku jedną, wydaną przez „Polskie Nagrania” 3 lata temu, płytę długogrającą i drugi, nagrany już z Orkiestrą Polskiego Radia i Telewizji p.d. Stefana Rachonia long-play, który powinien się w najbliższym czasie ukazać na półkach księgarskich. Są na nim zgromadzone najpiękniejsze melodie cygańskie (większość to kompozycje Władysława Iszkiewicza) opracowane na orkiestrę przez doskonałego i wszechstronnego muzyka Mateusza Świącickiego. Wszystkie naturalnie mówią o miłości.

FELIKS RAJCZAK

AFORYZMY

Bywało, przewiercał mnie wzrokiem, do dna, do źródła mojego lęku. Dopiero teraz wiem, że zaglądając mi głęboko w oczy prze-glądał się: chciał zobaczyć swoją wielkość.

Zrezygnował z wielu prac społecznych, bo — jak wyjaśnił — zaczęło mu strzykać w kręgosłupie... ideowym.

Marzy mi się etiuda teatralna, w której wystąpią cztery osoby: 1) robotniczy syn, 2) chłopski syn, 3) inteligentki syn oraz 4) skurwysyn.

Puste krzesło — to, co pozostawił po sobie poeta o pustej klatce piersiowej.

Czy poniósł klęskę? Zamiast powieści napisał aforyzm.

Możecie mi wierzyć: Osobiste bezpieczeństwo w wieczności jest zapewnione naturalnie.

Jest niewierzącym, lecz praktykującym.

Czyżby był zbrojeńcem? Odczuwa wyraźnie libido do jej intelektu.

Ba, i w raju biją po ryju.

Podobno jest egzystencjonalistą: myśli tylko jak dożyć do jutra.

Są wady, po których poznajemy nasze możliwości.

I u nas czasami z góry rozdaje się laury.

Chciał rozbić atom przy pomocy taranu.

Reklama: Tu odświeżysz i wybielisz duszę — Spółdzielnia Pracy Aniołów.

Korona cierniowa zakwita czasami dzwoneczkami. Błażeńskim!

Poeci są drożdżami, które poruszają ziemię — że lud rośnie.

Życie jego było piękne — zakwitło pomnikiem.

Do jego obowiązków należało tylko noszenie tytułu: mgr.

Z tego powodu, iż nie posiadał cech zewnętrznych — udekorowano jego wnętrze.

X się skończył! Czyż to możliwe? Człowiek jest nieskończony.



JERZY WILMAŃSKI

KWIECIEŃ

O kwietniu znany przysłowie: „kwiecień — plecień, bo przepłata, trochę zimy — trochę lata”. Ale też i na tym koniec. W potężnym dziele Juliana Krzyżanowskiego „Mądrej głowie dość dwie słowie” — o kwietniu nie ma nawet jednego słowa. A jest o maju („w maju się rodził — harpakiem się bawi”), jest o lutym („kiedy luty — obuj buty”)... Kwietnia nie ma także w „Słowniku etymologicznym języka polskiego” Aleksandra Brücknera. Kwietnia nie ma w „Encyklopedii staropolskiej” Zygmunta Glogera. Dowiadujemy się z niej wszakże, iż ten kwitnący miesiąc nazywał się niegdyś... „Lżykwiat”, albo „Ludzikwiat”.

Jedno jest pewne, że nazwa miesiąca pochodzi od kwiatu. A co to jest kwiat? Jest to „skrócony pęd przekształcony w organ rozmnażania płciowego u roślin nasiennych”. Oto, co z pełnego piękna, poezji i barw kwiatu zrobili botanicy swoją płciową definicją!

Tak więc — ofiarowując komuś bukiet kwiatów — czynimy podświadomą być może aluzję do

owego „pędu przekształconego...” i tak dalej.

Nie miejmy jednak pretensji do botaników. To dzięki nim, dzięki ich wiedzy jeszcze za Linneusza tworzono z kwiatów prawdziwe cuda. Na przykład taki kwiatowy zegar. Otóż był to dekoracyjny motyw ogrodowy oparty na zjawisku regularnego otwierania i zamykania się kielichów kwiatowych w określonych godzinach dnia, spowodowanym zmianami temperatury i natężenia światła. Zjawiska te odkryli botanicy, a potem ogrodnicy wymyślili taki pachnący, kolorowy zegar. A także... kalendarz. W tym jednak wypadku oparto się na zjawisku zakwitania roślin w określonych miesiącach roku.

Najbardziej jednak obrodziły kwiaty w poezji. Oczywiście każdy zna tuwimowskie „Kwiaty polskie”, zaczynające się od słów: „bukiety wiejskie, jak wiadomo, wiązane były wzwyczaj lub stro- mo...” Starsi pamiętają poczciwe przestrogi starego Jachowicza: „Nie rusz Andriu tego kwiatka.” Do rzędu potocznych porzekadeł

zeszły słowa: „Za weześnie, kwiatku, za weześnie...” A kto to napisał? Któż wie, że sam Adam Mickiewicz w wierszu „Pierwiosnek”.

„Tam na bloniu błyszczy kwiecie” — też te słowa tulają się po świecie bez autora. Na dodatek autor nazywał się... Kowalski i żył na początku wieku XIX. Po jego „Pieśniach” i „Rozmyślniach przy fajeczce” pozostało to tylko, ten jeden werset z jednego wiersza. Jak kwiat na grobie Nieznanego Poety.

Natomiast bardzo znany poeta, bo Leopold Staff, jest autorem znanego aforyzmu: „Woń jest kochaniem kwiatów”, który pochodzi z wiersza „Alea iacta est”.

Słowacki natomiast wołał: „Znużeni wonią kwiatów, zmieszana, stokrotną, wynaleźli woń tęskną — dziką i ulotną”, a Cyprian Norwid przestrzegał: „Kwiatów ty nie chciej od kłosu”.

Zresztą stosunek poetów do kwiatów był pełen sprzeczności. Leopold Staff był zdania, że „kwiaty na to są, ażeby wędły” (wiersz „Trwoga miłości”), natomiast Adam Asnyk ubolewał: „Szkoda kwiatów, które wędną” (wiersz „Szkoda”). Bolesław Czerwiński wołał: „O ziemi nasza na geniusze żyzna — w tobie zakwitał kwiat poezji złoty”, natomiast Antoni Malczewski użył kwiatu do bardziej pesymistycznego obrazu: „na tym świecie śmierć wszystko zmiecie — robak się legnie i w bujnym kwiecie”.

Tyle jest w poezji o kwiatkach, a jednak kwietnia żal. W „Zbiorze poetów polskich XIX wieku” są wiersze o listopadzie, czerwcu, maju, marcu, październiku (nawet dwa), wrzesniu — o kwietniu niestety nikt nie napisał wiersza w całym wieku dziewiętnastym.

Niech więc ta garść cytatów będzie wiązanką dla kwietnia — najpiękniejszego miesiąca wiosny.

WIESŁAW TRZASKALSKI MECENAT

Do gabinetu dyrektora administracyjnego pewnej Poważnej Instytucji wszedł młody człowiek.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry! — odpowiedział uprzejmie dyrektor, wskazując mu krzesło — Słucham pana?

Młodzieniec siadł na brzeжку krzesła, spocone dłonie dyskretnie wytarł beretem, zmieszał się i milczał.

— No, słucham! — powtórzył dyrektor.

Młody człowiek kurczowo zaciśnął dłonie na berecie, odchrząknął i rzekł nieśmiało:

— Słyszałem, panie dyrektorze, że podobno pan, panie dyrektorze, popiera młode talenty.

Twarz dyrektora rozjaśnił ciepły uśmiech.

— Ależ tak, rzeczywiście — potwierdził z zapalem — Popieram, a jakże. Ale, rzecz jasna, musi to być autentyczny talent.

Młodzieniec skromnie spuścił oczy.

— Podobno — bąkał — posiadam nieprzeciętne zdolności...

— Doskonale! — wykrzyknął dyrektor i z uciechy oburącz klepnął się po kolanach. — Nieprzeciętne zdolności... Właśnie tego nam trzeba. Bravo! Zaraz wciągnijmy pana na listę plac i...

— I na listę obecności — odpowiedział uszczęśliwiony młodzieniec.

— Na listę obecności?! — zdziwił się dyrektor. — Po co? Wystarczy lista plac. Zjawi się pan u nas raz na miesiąc, weźmie forsy... i na trening. Ale! — dyrektor uderzył się otwartą dłonią w czoło. — Zupełnie zapomniałem. Przecież muszę skierować pana, młodzieńcze, do odpowiedniej sekcji. A więc?... Co pan uprawia? Piłkę nożną? — Nie podnosząc się z fotela, dyrektor zaczął fikać nogami. — Lewą nóżką, prawą nóżką, nożyce... główką... i... goool!

Młody człowiek pobiadł.

— Nie gram w piłkę — wybąkał.

— Rozumiem — roześmiał się dyrektor i wymierzył kilka ciosów w powieże. — Prawy prosty, lewy prosty, sierp... hak... i nokaut!

— Boksu też nie uprawiam — rzekł młodzieniec z wyraźną przykrością.

Dyrektor machnął ręką.

— Nie szkodzi. Posiadamy także świetną sekcję kolarską.

Utalentowany młodzian ze smutkiem potrząsnął głową.

— Więc co pan właściwie uprawia? — spytał dyrektor z zainteresowaniem.

— Poezję!

— Poezję?! — Mecenas talentów złapał się za brzuch i ryknął śmiechem. — Ha, ha, ha! Poeta!...

Niech pana, młodzieńcze, diabli wezmą. Ha, ha, ha! Talent... —

rzekł ubawiony — Wierszokleta. No, nie... A ja, dureń, myślałem, że

jakis prawdziwy talent. Ha, ha, ha! Niech pana kaczki zdepczą... —

Nagle spowaźniał, otarł zalzawione oczy i rzekł dobrodusznie:

— Niech pan nie będzie zabawny, młodzieńcze. Poezja... Kto teraz

czyta wiersze? Nie, mój drogi, nie możemy popierać jakichś tam

wierszokletów. Nie mamy pieniędzy na wyrzucanie w błoto. Nie...

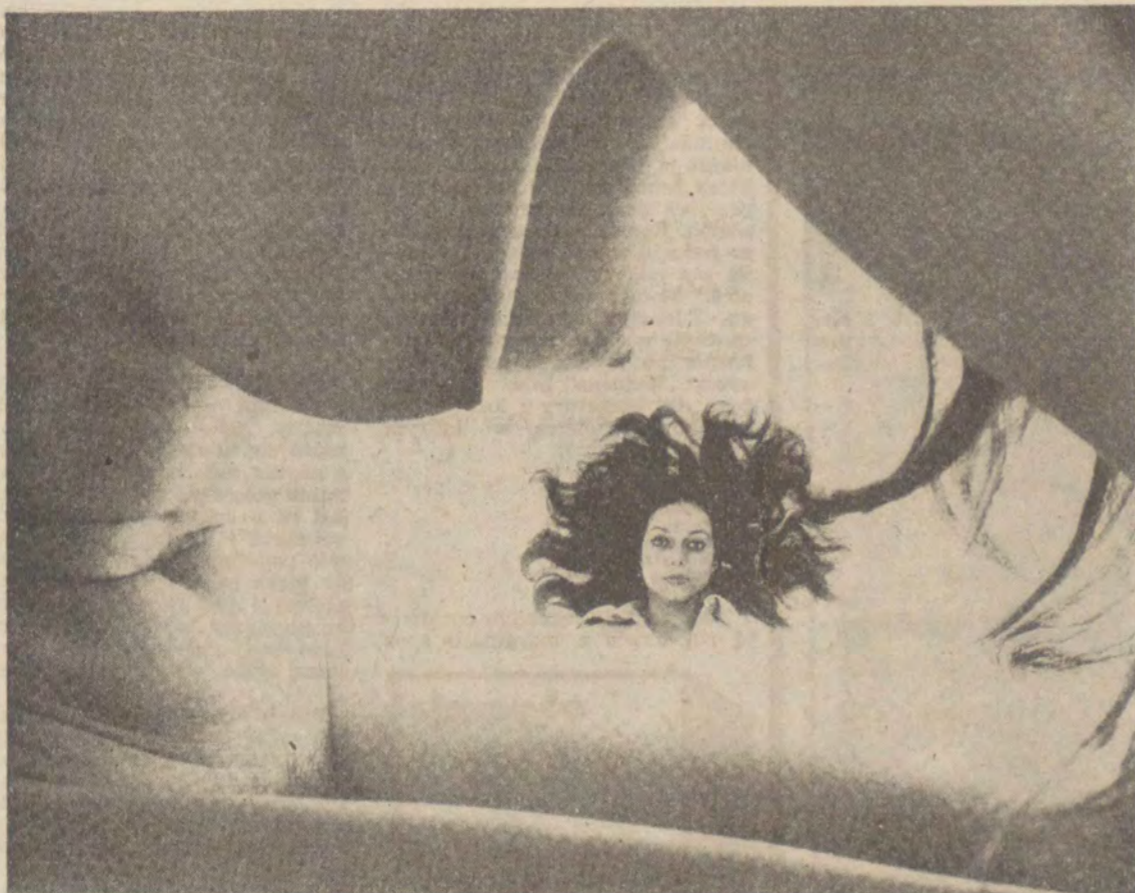
To do niczego. Niech pan nauczy się czegoś przyzwoitego. Może

boksu, zapasów... bo ja wiem. Wtedy pogadamy. A tak — to

żegnaj pana!

Cofając się niezdarne, młody

człowiek opuścił gabinet.



MAGAZYN

fotografia

Foto: W. Parys



Na dobrą sprawę śmieci się u nas wszędzie — na dworcach kolejowych i w pociągach, na ulicach i w kinach. Widziałem trybuny po meczu piłkarskim — przerażający widok! Z samej tylko sprzedaży butelek można wygodnie żyć. Pierwsze śmieci pojawiły się w Kosmosie i to tam, gdzie nie funkcjonuje siła przyciągania, są to więc śmieci z kategorii wiecznych. Można do znużenia mówić o zaśmieconych barach i lokalach niższej kategorii, przystankach, gmachach publicznych, wydaje mi się jednak, że najbardziej niebezpieczne są wytwórnice śmieci mieszczące się w głowach. Tu nawet nowoczesny sprzęt oczyszczający zawodzi.

Smuci to, ale nie dziwi. Dziwi jednak, kiedy takie wzorce językowe lansuje pismo społeczno-literackie. Skutki nie dają długo na siebie czekać. Ostatnio występowała gościnnie w Gdańsku krakowska orkiestra podwórkowa — „Szmele Paka”, pilnie słuchana — jak doniosła prasa — przez młodzież. Z tekstów piosenek posypały się rzadko spotykane śmieci.

„Każdy rolnik postępowy sam zapładnia swoje krowy!”

Albo taka perełka, w sam raz dla młodzieży:

„Cheesz mieć tato jak spęczynę — jadał tylko margarynę”.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

WIADOMOŚCI ZE ŚMIETNIKA

Co głowa wymyśli, to język powie. Oto mało widoczne i nieszkodliwe z pozoru śmieci, wytworzone w głowie. Czasopismo „ABC Techniki” opublikowało wiersz, w którym można przeczytać się i takiej zwrotki:

„Miała męża Piotra Curie i dwoje dzieci, lecz tajemniczy pierwiastek uparcie w jej myślach świecił. Miała dwie małe córeczki, a potem polon i rad, Maria Skłodowska-Curie dziś zna ją cały świat”.

Autor zajmuje częsty u nas etat grafomana i nic by w tym złego nie było, gdyby swoje czynności wykonywał na własny rachunek. Tu mamy jednak do czynienia z twórczością publiczną, która budzi niechęć do poezji, a przecieć wcale nie zachęca do techniki. Komu, po przeczytaniu tego rodzaju poezji, zaświeci w myślach nie odkryty jeszcze pierwiastek? Mała rzecz, a już bez sensu. Zdarzają się jednak śmieci znacznie większe, rozrzucone bezkarnie po szpaltach gazet. Szacowna „Kamena” lubelska, zastużona dla literatury i kultury, opublikowała wiersz, w którym można przeczytać:

„Rece pastewne
Pizdum gryzdum
Karta stół:
Zanieś sie jak
Sie setke niesie!
Pościeł pościeł!”

Tego rodzaju językiem posługują się ludzie z marginesu spo-

Wyobrażam sobie zadowolenie ojca, kiedy mu pociecha coś takiego doradzi.

Specyficzną odmianę śmieci, bardzo niebezpieczną, rozsypują młodzi „intelektualiści”. W jednodniówce połączonych sił dziennikarsko-literackich, wydanej przez stołecznych studentów pod bojowym tytułem „Linia” można przeczytać takie oto rewelacje:

„Związek artysta — odbiorca istnieje tylko jako związek ogólnoludzki lub czasowo przestrzenny... Przebywamy w określonej masie świadomości, objawiającej się w różnorodnych zbiorach poglądów czytelistycznych. Każda docelowa działalność przyjmuje jakis zbiór poglądów czytelistycznych... Drugie zdanie współzrzedne kontynuuje powyższą operację „unicestwiająca” i jej gradacyjny syntaktycznie (to znaczy stopniowanie sprzeczności na bazie ekwiwalentnych struktur syntaktycznych) charakter.”

Ten dziwny język na bazie i po linii jest szczególnie bałamutny. Młodemu czytelnikowi może się zdawać, że coś znaczy, a on nie nie znaczy. Młody czytelnik gotów się domyślać, że chodzi tu o bardzo głębokie, mądre refleksje i będzie próbował mówić podobnym językiem. A wtedy język przestanie pełnić swoją piękną i podstawową rolę łącznika pomiędzy ludźmi, nikt już nikogo rozumiał nie będzie, rozostaną tylko zaszyfrowane śmieci.

Pół biedy, gdy językowy bełkot tyczy wąskich grupek artystycznych. Niech sobie piszą czy mówią o obrazie, że przedstawia symbiozę współczesnego witalizmu między potencjami, szukającą ambiwalentnych transcendencji. Gorzej, jeżeli ten zaśmiecony język dezorientuje przeciętnego obywatela i to

obyczaj

w sprawach dla niego ważnych. Jeden z mieszkańców Poznania spytał uprzejmie kierownictwo Spółdzielni Mieszkaniowej, czemu nie znalazł w swoim mieszkaniu kranów. Spółdzielnia odpowiedziała, że czyni — cytując „intensywne starania zmierzające do podniesienia zakresu rzeczowego i jakościowego działalności w zakresie konserwacji i remontów podległych zasobów”.

Jakże ma obywatel ten szyfr rozumieć — będą te krany, czy też dzięki intensywnym staraniom Spółdzielni ich nie będzie?

We Wrocławskim Powszechnym Domu Towarowym wywieszono takie pouczenie, przeznaczone dla klientów: „Kolejka zaczyna się z prawej strony klienta”. Gdzież więc szukać początku kolejki, skoro klient zaczyna się z każdej strony?

cedzacz krwi, trzepacz worków, podbieracz okrucichów, rozlistkowywacz liści tytoniowych, zbijacz skrzyń.

Można domyślać się, że suszarnianych butelek spotyka się u nas wszędzie, można przypuszczać, że rozgrzewacz rogów, to przyjaciel domu, który stawia rogaczowi ciepłe dania, nie można jednak domyślić się — kto zacznie ów dzwonekacz czy cedzacz krwi.

Nasz językowy śmietnik rozrasta się więc szybko, sięga rozmaitych dziedzin życia, zginiemy pod zwalami śmieci, jeżeli nie zabierzemy się do akcji oczyszczającej. Nasz język przypomina niekiedy narzęcze patagońskie. Jak się bronić, co należy w takiej sytuacji czynić? Pisałem już o potrzebie powołania milicji językowej. Podtrzymuję tę propozycję z tym jednak, że podwyższyłbym mandaty, przepraszam — pozatowarowe zago-

zdarzenia i zwierzenia

SENNIK WSPÓŁCZESNY

Powrót do stylu retro nie ogranicza się jedynie do spraw mody. Styl retro rozpycha się łokciami coraz bardziej i coraz bezczelniej także i w innych dziedzinach. Tak więc raptem zapanowała moda na stare książki kucharskie. Moja redakcyjna koleżanka, Bogda Madej, zebrała już sporą kolekcję liczącą około pięćdziesięciu pozycji i odgrzała się, że kiedy dojdzie do setki, to może nawet według starych przepisów coś ugotuje.

Zapanowała także moda na stare senniki. Lubelska „Kamena” już przed rokiem wyczuła koniunkturę drukując w odcinkach przeurocze „tłumaczenia snów”. Dziś nas śmieją te stare, doszczętnie zacytane senniki, odbijane kiedyś na archaicznych „pedałówkach” w tanich drukarniach Łomży czy Białegostoku. Senniki egipskie, babilońskie, chaldejskie zmyślone przez ówczesnych wyrobników pióra.

Władysław Zambrzycki, niezjący już pisarz, autor „Naszej Pani Radosnej” i „Kwatery bożych pomyleńców” daje w jednej ze swoich książek świadectwo, jak owe senniki powstawały.

„Pisać sennik, nie ręcznie, tylko na małym remingtonie, z lewej strony kładłem szkolnego Larousse'a, a z prawej chłopską encyklopedię Armanda Colin. I przerzucałem kartki byle jak, na chybił trafił. Dajmy na to otwieram Larousse'a i znajduję podobiznę kłosa jakiejś trawy, a u Colina znajduję węża. Łączę to wszystko razem i otrzymuję w wyniku taką prognozę: węgorza we śnie widzi, jak się z ręką wysiluzuje, miętusa i inną obłą rybę — sianokosów pilnuj, nie leń się, w czas uprzątnij, bo krowa mleko straci. Jeżeli z lewej strony znajdę tapira, a z prawej dmuchawkę benzynową do lutowania, to napiszę: wielgachnego potwora w lesie widzieć, także smoka ogniem ziejącego — sprawdź piec, szpary gliną poobtykaj, nie rozpalaj drzewce do czerwoności, iżbyś z rodziną na śmierć nie zezadział”.

Takie to były wówczas senniki egipskie. Kto chciał — wierzył, ale nikt nikomu nie wmawiał, że to prawda.

Dziś, w epoce komputerów i prymatu nauki, poczciwe stare senniki nie mają żadnych szans. Dziś trzeba inaczej. Ukazała się właśnie książka Wiktorii Dolińskiej pt. „Co mówią nasze sny”. Jest to sennik doby oświecenia powszechnego. Autorka zresztą zdecydowanie dystansuje się od starych senników. Pisze: „Różne senniki dostatecznie ośmieszają interpretację snów na domorosły sposób i wróżenie z ich treści. Wiadomo jednak, że przy braku dostatecznych podstaw naukowych nie umiemy jeszcze we właściwy sposób interpretować sny ani łączyć ich treści ze zjawiskami spotykanymi w życiu”.

Książka jest zapewne pracą naukową, przemawia za tym zresztą postać i dorobek Autorki (1895—1975), która w swoim życiu zajmowała się pedagogiką i matematyką, psychologią i psychiatrią. Nakład jednak (50 tys. egz.) zdaje się sugerować, że praca „Co mówią nasze sny” pretenduje do roli współczesnego sennika.

I rzeczywiście. Pozycja 86 — „Sen o myciu nóg”. Okazuje się, że mycie nóg było (w tym konkretnym przypadku) symbolem wewnętrznego przygotowania się do odpowiedzialnego stanowiska wychowawcy. Himm.

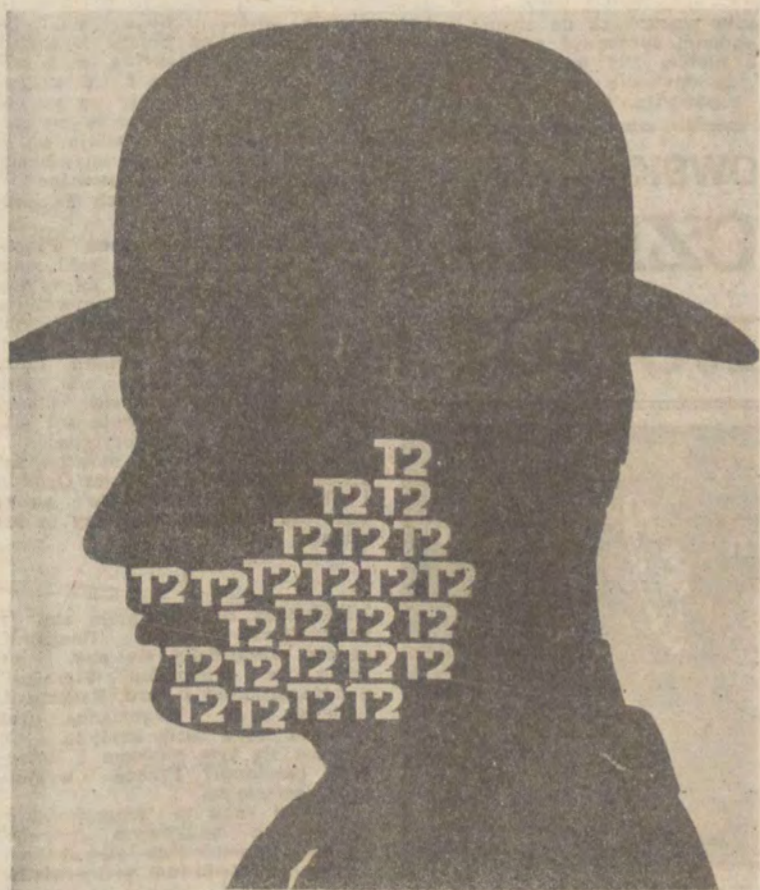
Dalej mamy taką historię. „Podczas ostatniej wojny powtarzały się w pewnej firmie dość znaczne kradzieże towaru. Kierowniczka proponuje właścicielce zwolnienie jednej z pracownic, którą uważa za nieuczciwą. Właścicielka na to się godzi. Po kilku dniach kierowniczka ma następujący sen: „Widzę w naszym sklepie dwie pary bosych stóp”. Następnego dnia otrzymuje zwolnienie nie tylko owa pracownica, lecz także kierowniczka. Sen ten nie wymaga tłumaczenia” — czytam w komentarzu.

Akurat tego nie rozumiem, ale nie szkodzi. Rozumiem za to sen o pięciu krasnoludkach, a także sen o wypadających zębach, o bosych stopach, o smoku i grubych żabach.

„Nauka nie może przejść obojętnie obok tak frapującego zjawiska, jakim jest sen symboliczny — pisze Wiktorii Dolińska. — Zwłaszcza psycholog zajmujący się badaniem procesów myślenia powinien analizować ten szczególny, odrębny charakter myślenia występującego we śnie”.

A więc już nie dmuchawka benzynowa i dzień: karska chupca, lecz psychoanaliza, Freud, Fromm i procesy myślenia. Nie szkodzi — niech będzie. Jakby nie było jest wreszcie sennik współczesny. Gospodynie domowe — do księgarni!

WIDOK



Producenci dziwolągów językowych zachowują nadal dziarską, pełną energii postawę. Wymyślają — na przykład — nowe zawody. W Kielcach przyjęto do pracy mężczyznę w charakterze maszynistki. W umowie o pracę wykreślono mu słowo „maszynistka”, wpisano natomiast — „maszynista wąskowalkowy”. Nadmorscy biuraliści — podaje „Głos Wybrzeża” — także wprowadzili nowe nazwy. Miotła nazywa się — „zamiataczem płaskim”, furman — „kierownikiem uspołecznionego pojazdu konnego”, a mandat milicyjny nazwano — „pozatowarowym zagospodarowaniem nadwyżek pieniężnych ludności”.

Nie wiem, czy ta tabela jeszcze obowiązuje w przemyśle spożywczym, uwzględniała jednak takie zawody: dzwonekacz, suszarnianych butelek, rozgrzewacz rogów,

spodarowywanie nadwyżek pieniężnych ludności — do wysokości stu złotych od jednego zaszyfrowanego zdania, oczywiście z możliwością zamiany na odsiadkę. Recydywistów natomiast należałoby po prostu odsyłać do szkoły pod opiekę dobrego nauczyciela. Nie jeden magister może wiele skorzystać z elementarza Falskiego.

obyczaje

hipotezy

Przepowiadania przyszłości nie jest rzeczą wdzięczną. Ludzie zawsze interesowali się tym, co będzie, co ich czeka, ale tych, którzy próbowali zażreć w przyszłość nie darzyli szacunkiem, a często postępowali z nimi bardzo brzydko, oskarżając ich o kontakty z diabłem.

Dziś wszystko się zmieniło. W dobie gospodarczego planowania prognozowaniem przyszłości zajmują się poważni uczeni, powstają opasłe tomy naukowych przewidywań i wydawało się, że wszystko jest w porządku. Otóż nie bardzo. Przewidywanie przyszłości nadal jest podejrzane, nawet wtedy, jeśli prognozy się spełniają, jeśli konstruowane są na naukowych przesłankach, ale nie są firmowane żadną specjalnie do tego powołaną instytucją. Dzieje się może tak dlatego, że wielu wybitnych aczonych pomyliło się w przewidywaniu przyszłości swojej dziedziny nauki, więc nie widzą powodów do tego, aby inni nie mylili się. Jeśli nie mylą się, to tym gorzej dla nich, pewnie pomaga im... nieczysta siła.

Najpierw może kilka przykładów na to, jak mylili się wybitni uczeni. Historia naszej cywilizacji nieustannie dostarcza przykładów braku wyobraźni i odwagi u ludzi, którzy na swoje barki wzięli odpowiedzialność za rozwój tejże cywilizacji. Kiedy pod koniec XIX wieku Thomas Alva Edison wynalazł żarówkę wielu znakomitych ekspertów orzekło, że jest to wynalazek bez znaczenia i przyszłość.

Amerykański astronom Simon Newcomb opublikował tezę o niemożliwości skonstruowania maszyny, która uniosłaby się w powietrze akurat wtedy, kiedy bracia Wright taką maszynę konstruowali. Inny astronom — William H. Pickering nie mógł już zaprzeczyć faktom, gdyż pierwsze aeroplany latały, ale uparcie twierdził, że nie mają one żadnej przyszłości jako środki komunikacji. Zmarł on w 1938 roku, kiedy istnienie komunikacji lotniczej było już faktem i mogli osobiście przekonać się, jak bardzo nie miał racji.

Profesor A. W. Bickerton napisał w 1928 roku następujące zdanie: „Idiotyczny pomysł wystrojenia rakiety na Księżyc jest dowodem, do jakiego absurdu może doprowadzić naukowców wynaturzona specjalizacja”.

Przypomnijmy: w 31 lat później w ZSRR startuje pierwszy sztuczny satelita Ziemi, w 33 lata później — pierwsza sonda księżycowa, w 35 lat później — pierwszy start człowieka w Kosmos, w 43 lata później pierwszy człowiek, zresztą rodacy prof. A. W. Bickertona, lądują na Księżycu.

Takich pomyłek nie ustrzegł się najwybitniejszy. W latach trzydziestych naszego stulecia Albert Einstein był pewien, że ujarzmienie energii jądrowej będzie możliwe... za tysiąc lat. Nawet lord Rutherford, który położył zasługi dla odkrycia wewnętrznej struktury atomu, w 1936 roku twierdził, że: „Kto mówi, że jądro atomowe stanie się kiedykolwiek źródłem energii, wypowiada zwykłą brednię”. Niestety, obaj nie mieli racji. Wprawdzie lord Rutherford nie dożył chwili, kiedy pod trybuną stadionu w Chicago uruchomiono pierwszy reaktor atomowy. Ale Albert Einstein musiał przeżywać prezydenturę USA — F. D. Roosevelta, że zbudowanie bomby

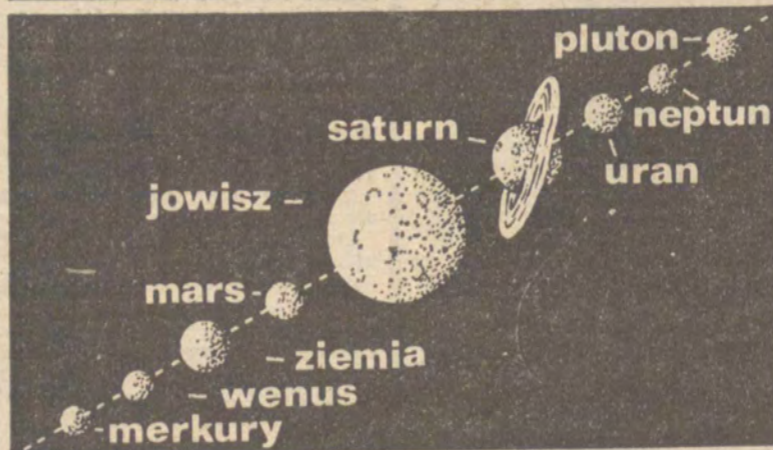
atomowej jest możliwe i że mogą tego dokonać hitlerowskie Niemcy, a wtedy lepiej już o skutkach nawet nie myśleć. Jak wiemy — na szczęście — stało się inaczej, choć wcale nie wiemy, jak się może dla ludzkości skończyć nieustanne gromadzenie broni nuklearnej. Ale to zupełnie inna sprawa.

Mogłoby się wydawać, że nauki płynące z historii naszej cywilizacji, liczące błędy i pomyłki, jakie w przewidywaniu najbliższej przyszłości, popełniali najznakomitsi uczeni, sprawia, że każdy, kto w sprawdzony sposób pokaże, że się nie myli, ten zyska szacunek i uznanie, a jego prognozy będą wnikliwie rozpatrywane. Ale nie podobnego.

W 1966 roku włoski uczeni, dyrektor Obserwatorium Sejsmograficznego w Faenzie — Rafael Bendandi rozstał się z wieloma włoskimi gazetami, w których ostrzegł, że Florencja a nawet cała Toskania grozi katastrofą. Nikt tego ostrzeżenia nie potraktował poważnie. Próbowano nawet wysmiewać uczonego, który dla przewidywania wydarzeń na Ziemi analizuje położenie planet Układu Słonecznego. Z gwiazd wróżyli astrologowie, były to starożytne bajdy, a więc i prognozy włoskiego geofizyka są bajdami.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CO NAS CZEKA W 1982 ROKU?



Tylko drobnotka. W trzy miesiące po wysłaniu listu przez Rafaela Bendandiego niespodziewana i groźna powódź zniszczyła Florencję i pół Toskanii. Czyżby więc „astrolog” Rafael Bendandi miał rację? A może to był przypadek? Niestety nie. Rafael Bendandi wysłał też ostrzeżenia do Skopje, do Turcji i do Peru. Myślał, że ostrzeżenia dochoǳiły do katastrof. Ale to było dla innych uczonych mało. Uznali, że dziś stan wiedzy nie pozwala jeszcze na przewidywanie trzęsień ziemi, a już tym bardziej na podstawie analizy układu planet w Układzie Słonecznym.

Rafael Bendandi popełnił jeden poważny błąd. Potraktował mianowicie poważnie istnienie... Atlantyd oraz — co gorsza — że śmiertelną powagą podał datę jej zniknięcia na rok 10341 przed naszą erą. Atlantydą od wieków budzi spory. Jedną jej istnienie traktują poważnie, inni nie. Ale poważnemu uczonemu nie wypada wtrącać się do tych sporów. A Rafael Bendandi wtrącił się, stracił tym resztę uznania.

Nie byłoby w końcu żadnego problemu, gdyby Rafael Bendandi

poprzestał dalszego przewidywania katastrof. Ale on nie. Przewiduje na kwiecień 1980 roku parę solidnych kataklizmów. Potem następne na rok 1993, na 1999 i gigantyczną katastrofę, po której mało co zostanie na Ziemi — na rok 2521.

Trzęsienia ziemi są wielkim problemem. Wydaje się nam pozorne, że żyjemy na twardej i solidnej ziemskiej skorupie, a w gruncie rzeczy żyjemy na pokrywie od garnka z wrzącą wodą. Ziemska skorupa nieustannie drży. Co 5 minut targają nią wstrząsy. Na szczęście dla nas wiele z tych wstrząsów dokonuje się na dnach oceanu, w rejonach bezludnych, w wysokich górach. Wstrząsy te notują sejsmografy. Ale notują tylko fakty, rozchodzenie się fal sejsmicznych po skorupie Ziemi po wstrząsie. Nie potrafią ostrzegać przed trzęsieniem ziemi.

Uczeni włoscy krytykujący Rafaela Bendandiego, mają trochę racji, kiedy mówią, że nauka nie potrafi jeszcze przewidywać tego typu kataklizmów. Ale też i próby przewidywania trzęsień ziemi opiera się — jak do tej pory — na szukanii wskaźników na ziemi. Rafael Bendandi spróbował poszukać ich na niebie. Nie on jeden zresztą. I jak dowiodła smutna praktyka — z powodzeniem.

Ledwie skończono wysmiewać się z Rafaela Bendandiego, a już w sukurs jemu przyszedł dwaj angielscy uczeni, pracujący na dodatek w Cambridge — astrofizyk John Gribbin i geolog Stephen Plagemann. Napisali oni książkę pt. „Jupiter's effect”, w której zapowiedzieli liczne trzęsienia ziemi na 1982 rok. A jako rejon szczególnego zagrożenia wskazali Los Angeles i San Francisco, leżące jak wiadomo nad uskokiem San Andreas. W rejonie tym występują silne naprężenia skorupy ziemskiej i zdaniem różnych specjalistów musi tam dojść do tragedii jeszcze przed końcem naszego stulecia. A więc może w 1982 roku?

Tu się trochę prognostycy tragedii różnią, bo Rafael Bendandi przewiduje kataklizm na kwiecień 1980 roku, a obaj Angliści — na 1982 rok. Na czym ci ostatni opierają swoją hipotezę?

Raz na 179 lat planety naszego Układu Słonecznego znajdują się w niezwykłym położeniu. Wszystkie razem — na krótki czas — ustawiają się w szeregu, w równym szczyku razem ze Słońcem i Ziemią. Wtedy zwiolokrotnione oddziaływanie planet na Słońce wywołuje zaburzenia grawitacyjne, magnetyczne i inne. Zwiększy też aktywność Słońca, a właśnie na ten okres przypada największe natężenie pól na Słońcu. Odbija się to niewątpliwie na wielu zjawiskach ziemskich, powodując poważne katastrofalne w skutkach zakłócenia.

John Gribbin i Stephen Plagemann uważają, że te zakłócenia mogą wpłynąć ujemnie na rejon szczególnych napięć, wywołując trzęsienie ziemi, wywołując nagromadzoną tam energię. Słowem kataklizm, który w wyniku może pochłonąć Los Angeles i San Francisco. Ustawienie się planet w różnym szczyku, wywoła też silne zaburzenia atmosferyczne.

Co by się tam nie mówiło, ani Rafael Bendandi, ani John Gribbin i Stephen Plagemann nie wróżą nam nic wesołego. Ale, czy to ich wina?

Niektórzy uczeni śmieją się z przewidywań Rafaela Bendandiego, chociaż sprawdzili się one nie tylko w przypadku Florencji, Skopje, Anatolii i Peru. Książka J. Gribbina i S. Plagemanna też spotkała się z ostrą krytyką. Co zarzuca się tym autorom i Rafaelowi Bendandemu? Przede wszystkim... astrologię.

W 1966 roku w amerykańskim czasopiśmie naukowym „Science” napisano następujące słowa:

„Jeżeli niedawno przepowiadaniem trzęsienia ziemi zajmowali się astrologowie, amatorzy, awanturnicy dążący do zdobycia rozgłosu i członkowie religijnych sekt przepowiadający nadejście „sądu ostatecznego”. Nie więc dziwnego, że jeśli któryś uczeni osmielił się czasem wypowiedzieć jakiś pogląd na ten temat, czynił to z ogromną ostrożnością lekając się, by nie odcięły się od niego kręgi naukowe”.

Ba, ale historia naszej cywilizacji zna aż nadto przypadki, kiedy nawet najwybitniejsi uczeni nie potrafili zrozumieć najbliższej przyszłości swojej dyscypliny, nie potrafili docenić propozycji i prognoz, które zbyt zdecydowanie odrzucali, a które równie szybko stały się rzeczywistością.

Nie tak dawno na przykład francuski psychiater — Paul Cosca wsławił się twierdzeniem, że maszyna matematyczna nie może kontrolować samej siebie. A już w 1967 roku masowo produkowano maszyny uzbrojone w specjalne programy autodiagnostyczne, które pozwalają jej nie tylko lokalizować uszkodzenie, ale określać nawet jego przyczynę.

A więc? Co nas czeka w 1982 roku?

sensacja

PROLOG

W gabinecie szefa wydziału rosyjskiego jednej z zagranicznych służb wywiadowczych odbywało się nadzwyczajne posiedzenie. Na głównym miejscu siedział, za stołem sam szef, krępy mężczyzna w ciemnych okularach o specjalnym kształcie, zakrywających trzy czwarte twarzy. Szef ściśle przestrzegał reguł konspiracji i tego samego wymagał od swych współpracowników. Prawdziwego nazwiska szefa nie znał żaden z jego podwładnych. Jedni nazywali go „mister Cox” drudzy — „mister Badley”, inni wreszcie — „mister Sidorow”. Reagował na którekolwiek z tych nazwisk.

Szef uważnie przyjrzał się swym czterem najbliższym pomocnikom, znajdującym się w gabinecie, z zadowoleniem oceniając ich wygląd: banalne, trudno do zapamiętania twarze; puste, pospolite wejrzenia, jednakowo podniszczone garnitury. Zobaczył takich ludzi — i zaraz zapomniał. Nawet sam szef nierzadko nie poznawał ich, spotkawszy przypadkowo na ulicy czy w wspólnych znajomych.

— Który z was, najlepszych specjalistów od Rosji, może powiedzieć, co oznacza rosyjskie słowo „Bielsk”? — spytał szef.

Współpracownicy zamyśliли się. Nie znali tego słowa.

— Człowiek, który bieli ściany? — podsunął mister Flint, zastępca szefa.

— Mąż 'bielki', to jest wiewiórki? — usiłował zgadnąć Wagner.

— Nie, to związek sportowy — sprzeciwił się Połowski.

— A pan co powie? — zwrócił się szef do Gina Brandy, który znany był w całym wydziale jako znawca rosyjskiej duszy.

Brandy podrapał się po głowie.

— Myślę, że Bielsk — to jakiś popularny skrót.

No, na przykład, może to oznaczać „bieląca wódka s krasnoj golowkoj”.

— Hm — szef zacisnął wąskie usta — jesteście zachwycająco uświadomionymi ludźmi. Bielsk — to przemysłowe miasto u nich tam, za żelazną kurtyną. W tym to Bielsku jest tak zwany zakład N° 7, którego produkcja nas nadzwyczaj interesuje. Właśnie teraz grupa znanych inżynierów pracuje tam nad bardzo ważnym wynalazkiem. Według naszych ustaleń, prace zbliżają się już ku końcowi. Trzeba koniecznie wysłać do Bielska naszego człowieka, który zdobyłby tam wszystkie plany lub też porwał kierownika robót. Prócz tego, należy cały zakład unieruchomić na dłuższy czas. Zważywszy na wagę tego zadania może któryś z was, panowie, weźmie się za jego wypełnienie? Co pan na to, Flint?

— Przecież pan wie, szefie — rozłożył ręce zastępca — że wycięli mi niedawno wyrostek ro-

baczkowy. Po prostu nie będę w stanie dotaszczyć gdzie trzeba głównego inżyniera. Rozlezą mi się szwy...

— A pan, Połowski? — Mam sklerozę — gorąco zaprotestował — nie zapamiętam ani jednego punktu kontaktowego.

— A mnie umarła ciotka — ze skruchą pokręcił głową Wagner. — Jeśli pan sobie życzy, mogę przedstawić zaświadczenie.

— To po diabła przychodzicie do pracy! — rozgniewał się szef. — Weźcie zwolnienie! No a pan, Brandy, nie chce się zasużyć? W przypadku powodzenia otrzyma pan awans i czek na sto tysięcy.

— Ja... z przyjemnością — powiedział Brandy. — Ale zna pan moją słabość. Mogę wypić tro-

Najbardziej ze wszystkich cierpiał wysoki elegancki obywatel z siódmego przedziału, jadący do Bielska. Z kieszeni jego marynarki wystawał rąbek śnieżnobiałej chusteczki, lecz facet uparcie nie próbował zrobić z niej użytku. Najpierw ocierał spoconą twarz ręką, na której nadgarstku widniał tatuaż „Wasia”, ale pot był tak gęsty, że litera „W” wkrótce się rozmyła. Facet ze zdziwieniem spojrzął na pozostałe litery i po cichu zaklął nie po naszymu: „Mimo wszystko lajdak Flint podsunął zleżaly tusz!”. Pasażer naciągnął rękawiczki, aby ochronić resztki tatuażu, i zaczął ocierać się rękawem. Pod wieczór marynarka nabrała takiego wyglądu, że starszka, która dosiadła się do przedziału na którejś ze stacji, zainteresowała się:

— Na grzyby jedziesz, chłopcze, czy za zarobkiem?

dobra, niech się pan przygotowuje, teraz pańska stacja...

Agent 008 zszedł na peron, wszedł do dworcowego budynku i, usiadłszy na ławce, zaczął czekać poranka. Aby nie tracić na próżno czasu, James Mond jął studiować wiszący nad nim cennik biletów kolejowych. Na tablicy wyliczone było mnóstwo dwucyfrowych sum, a napisany nieco niżej tuszem slogan jakby podliczał ten cyfrowy przepych: „Nie nie kosztuje tak tanio, jak uprzejmość”...

Przewidujący Mond na wszelki wypadek wyczytał się na pamięć całego cennika razem ze sloganem i, poczuwszy głód, kupił w bufecie bułkę delikatesową. Złote zęby zatrzęszczały, napotkawszy w piekarniczym wyrobie godnego przeciwnika. Zagraniczne złoto pogięło się z lekka, wytrzymało jednak próbę. Bufetowa popatrzyła na Jamesa z szacunkiem i zaproponowała mu ciastko. Mond naprężył się wewnętrznie i, nie chcąc powtórnie narażać na ryzyko drogocenny metal, rozgniół ciastko mocnymi dłońmi. Zawstydzona bufetowa ukryła się na zapleczu, a agent 008 poczuwszy mocny przypływ wiary we własne siły, oddał do przechowalni bagażu swoje rzeczy i z małą walizką w ręce wyszedł na przydworcowy plac. Rozejrzawszy się, ujrzał na przeciwległej stronie placu kiosk „Napoje chłodzące” i ledwie zauważalnie uśmiechnął się w rękaw. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, dokładnie obmyślonym przez szefa i jego pomocników. Tutaj, przy kiosku, punktualnie o dziewiątej dwadzieścia trzy oczekiwać ma Jamesa Mondy łącznik. Agent 008 powinien podejść do kiosku, wypić trzy szklanki wody sodowej, dwa razy zakaszleć i otrzeć usta śnieżnobiałą chusteczką. Posłuży to za umówiony znak dla łącznika, który przybliży się do Mondy i zapyta:

Czy nie wie pan, gdzie można kupić sok z mango?

Odpowiedź na hasło taka:

— Nie, nie wiem, ale mogę panu odstąpić swój talon na polską kuchenkę.

Agent 008 jeszcze raz powtórzył sobie te słowa i spojrzął na zegarek. Do spotkania pozostało tylko pięć minut. Zdjął prochowiec z wymiętej marynarki i bez pośpiechu ruszył w stronę kiosku. Serce było spokojnie, doskonale wyczuwalny puls wybił równo sześćdziesiąt uderzeń na minutę, wszystkie inne narządy również działały jak gdyby nigdy nic. Był to stary wilk, ztwardziały szpieg i wyrafinowany dywersant. Nigdy nie miał wątpliwości i zawsze był pewien sukcesu. Nie wiedział, co to niepowodzenia.

James Mond z pozoru przyjaznym, a w istocie rzeczy cynicznym i pewnym siebie podejściem przybliżył się do kiosku, pogładził językiem lekko naruszone ciastkiem dżiasta i spojrzął w górę. Do zamkniętego okienka kiosku przyczepiona była krzywo kartka z zamaszczonym napisem:

„Poszłam do biura”.

Mond z roztargnieniem pokręcił w dłoni dwudziestokopiejkową, całkiem dla siebie nieoczekiwanie otarł się ramieniem o ścianę kiosku i ruszył na zapasowy punkt kontaktowy.

Tłumaczy: J. INDELAŁ

kłeska
agenta
008



chę za dużo i zawałić całą operację. Nie, tu potrzebny jest człowiek niezawodny w każdej sytuacji. Taki, na przykład, jak James Mond...

— James Mond? — z zadumą powtórzył szef. — Agent 008? No cóż... Jest to człowiek, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych.

— Lecz teraz ma urlop — zauważył Flint.

— Drobiazg, odwołamy — uśmiechnął się szef. — Na pewno przepuścił już całą urlopową odprawę i nie pogardzi dobrym zarobkiem.

— 008 — to znakomita kandydatura — z entuzjazmem potwierdził Połowski. — Człowiek bez nerwów, wytrzymały, jak tragarz, pomysłowy, jak konferansjer. I pamięć znakomita.

— Zdecydowane! — szef uderzył pięścią w stół. — Jutro rano 008 ma zjawić się u mnie po instrukcje.

AGENT 008

Wentylator w wagonie nie działał. Okno nie otwierało się.

Dalszy ciąg ze str. 1

enie. Wymieniano je na tłuszcz, mięso, mąkę lub ziemniaki. Zawsze coś z tego dostawało się wytwórcom naczyń.

Któregoś ranka, tuż przed świętami wielkanocnymi, załadowano nas do wagonów towarowych i przewieziono na odległe przedmieście Bremy. Pociąg, ostrożnie manewrując, wtoczył się na wysoki nasyp kolejowy wiodący do mostu na Wezerze. Z obu stron nasypu widniały rozlewiska wodne, powstałe na skutek przerwaną przez Niemców tam przeciwpowodziowych. Szeroko rozlana rzeka miała utrudnić nieprzyjacielowi przeprawę na jej prawy brzeg. Na końcu nasypu czerniały kratownice mostu, częściowo zwalone w koryto rzeczne. Pociąg zatrzymał się tuż przed mostem. Rozdano nam łopaty i polecono budować wzdłuż toru stanowiska dla Volksturmistów.

Na zachodnim brzegu Wezery, u przyczółka mostowego, widać było gromadkę ludzi. Stali nieruchomo, jak gdyby obserwowali nasze poczynania. Po chwili zniknęli z pola widzenia. Nagle ze złowieszcym gwizdem przeleciał nad nami pocisk artyleryjski i uderzył w rozlewisko rzeczne. Słup wody wytrysnął w górę.

— Angliey! — ktoś wrzasnął trwożnie i naraz wszyscy rozsypani się po zboczach nasypu. Uciekinierzy brnęli w płytkiej na szczęście wodzie i pod osłoną wału ziemnego co tchu w piersiach biegli ku zbawienemu brzegowi. Angliey, po wystrzeleniu kilku pocisków, przestali ostrzeliwać tor kolejowy.

Zmęczony paniczną ucieczką powlokłem się wraz z innymi do miasta. Śródmieście Bremy było już wtedy jednym potężnym zwaliskiem gruzów. Jakimś zbiegiem okoliczności alianckie bomby i napalm nie tknęły jedynie starej zabytkowej katedry i hanzeatyckiego ratusza. Wśród morza ruin sterczały również nie naruszone potężne wieże żelbetonowych schronów.

Ciężkie dudnienie bombowców zapędziło mnie do najbliższego bunkra. Zajmuję wolne miejsce na ławce pod ścianą. Czuję, że bunkier lekko się kołysze. Nieomylny to znak, że w bezpośredniej bliskości wybuchają bomby. Chwila napięcia nerwowego. Siedząca obok mnie siwowłosa Niemka przerywa na chwilę robotę na drutach. Spogląda na przy-

czepioną do mej piersi szmatkę z literą „P”, po czym, jakby nabrawszy do mnie zaufania, szepcze:

— Jak pan sądzi, przyjdą tutaj bolszewicy?

— Myślę, że nie. Raczej Angliey lub Amerykanie, gdyż są znacznie bliżej.

— Daj Boże! — wzdycha z ulgą Niemka. — Może znowu będzie prawdziwa kawa.

Już po nalocie. Bomby przeorały to, co już leżało w gruzach. Klucząc wśród ruin Starego Miasta, zmierzając do administracji miejscowego dzielnika. Gazeta teraz jest nie do zdobycia,

urokami. Nasi opiekunowie karmią nas coraz gorzej, jedynie tyle, abyśmy nie pomarli z głodu. Jestem przekonany, że odmówili by nam i tej odrobiny pożywienia, gdyby nie obawa, że doprowadzeni do ostateczności rzucimy się na rabunek. W nie najlepszym nastroju wychodzę ze Stałkiem Dominiakiem przed barak. Bez przerwy trwa ostrzeliwanie miasta z dział. Wsłuchujemy się w detonacje, niekiedy silne, to znów słabsze.

— Zupełnie jak podczas rezurekacji w Łodzi — zauważa Dominiak.

Z sąsiedniego baraku wychodzi

WIELKANOC NAD WEZERĄ

ale w witrynie administracji zawsze wywieszają jeden egzemplarz. Chciwie wyszukuję najświeższych wiadomości z frontu. Przez szybę obserwuję mnie młoda Niemka. Po chwili wychodzi z pomieszczenia administracji i wręcza mi gazetę. Przyjmuję z podziękowaniem.

Do naszych baraków wracam wojskową ciężarówką, gdyż tramwaje od kilku dni nie kursują. Jestem już wśród swoich, kiedy znowu słychać dudnienie samolotów. Spoglądam w niebo. Bombowce idą prosto na nas. Naraz spod skrzydła jednego z nich odrywa się połyskująca w słońcu bomba. Rzucam się na ziemię. Chwila trwożnego wyczekiwania. Cisza! Nie słychać charakterystycznego gwizdu spadającej bomby. Ostrożnie unoszę głowę. Na bliskim niebie rysuje się srebrzysty przedmiot. Spada jednak dziwnie powoli, kołysząc się na wietrze. Wreszcie łąduje na pobliskiej łące. Podbiegamy całą gromadą. Bomba okazuje się pustym zbiornikiem na benzynę, sporządzonym z srebrzystej tektury.

Nadeszła Wielkanoc ciepła i słoneczna. Wiosna jest już w całej pełni, ale puste żołądki nie usposabiają, do zachwyty nad jej

Majchrowski. Jego ojciec przed wojną prowadził masarnię w Lublinie. Majchrowski zaciąga się papierosem i zaczyna rozwlekle opowiadać, jakie to razem z ojcem smakowite kiełbasy sporządzali na święta wielkanocne. Słina cieknie mi do ust. Nie wytrzymuję.

— Zamknij gębę, bo cię...

Przerywa w pół zdania. W naszym kierunku biegnie zadyszany Wąsik, szwec obozowy.

— Chłopaki! — woła już z daleka. — Za groblą na łące leżą zabite krowy.

— No i co z tego? — mówię rozdrażniony.

— Rozmawiałem ze starym Hentem. To jego krowy, zginęły od bomby. Nie wolno mu jednak ich ruszyć, dopóki nie zjawi się komisja. Wiecie przecież, jak to teraz jest. Jeżeli się w ogóle pokaza, to nie prędzej jak po świętach, a wtedy mięso będzie już zepsute. Hent dawał mi do zrozumienia, że nie będzie miał nie przeciwko temu, jeżeli zabawimy się w rzeźników. Oczywiście pod warunkiem, że mu odpowiednią część odpalimy.

— Jasne! — mówi uradowany Majchrowski. — Pokażę wam, jak się to robi. Idziemy chłopcy?

wspomnienia

— Idziemy! — odkrzykujemy zgodnym chórem.

Około południa na łączce za barakami zapłonęły ogniska. Słoma z sienników i połamane stolki palą się znakomicie. Z zawieszonych nad paleniskami aluminiowych kociołków wydobywa się miłe lechący nozdrza zapach gulaszu wołowego. Trochę tłuszczu i przypraw, niezbędnych do przyrządzenia smakowitej potrawy, otrzymałyśmy w zamian za kawał mięsa od znajomych Niemców. Wędzimy się cierpliwie w gryzącym dymie. Nikt nas teraz nie oderwie od zaimprowizowanych kuchni. Nawet przelatujące nisko nad barakami angielskie myśliwce. Czwartą Wielkanoc na obczyźnie spędziliśmy w sytości ciał. Duchy przy tym też nieco okrzepły.

Mineło parę dni. Któregoś ranka budzę się z nieokreślonym uczuciem. Wyraźnie mi czegoś brak. Już wiem! Nie słychać detonacji pocisków ani też huczenia samolotów. Cisza, aż w uszach dzwoni. Jak w Wielkanoc po rezurekcyjnej strzelaninie. Wrzucam coś na siebie i wychodzę przed barak. Po drabieniu wspina się na dach. Stąd widzę, jak na dłoni, powalone przez alianckie naloty miasto. Krajobraz, niczym po trzęsieniu ziemi. Jak okiem sięgnąć, gruz i rumowiska. Gdzieś tam tylko sterczą spurpurowiałe od wschodzącego słońca szkielety doszczętnie wypalonych budynków. Różowe obłoki płyną leniwie po niebie. Hen, na dalekim horyzoncie srebrzy się szeroka wstęga Wezery. Nieco bliżej, na tle zburzonego miasta rysują się zwaliska mury bremeńskiej katedry. Wydają mi się wyższe niż zazwyczaj. Z wyniosłych wież świątyni powiewają dwie wielkie białe flagi.

— Chłopcy! — krzyczę załamującym się głosem. — Kapitulacja! Brema skapitulowała!

WACŁAW PAWLAK



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Kiedyś rok szkolny dzielił się na cztery okresy. Cztery okresy — cztery wywiadówki. Stwarzało to możliwości samokontroli. Teoretycznie, bo w praktyce... niemal całkowity jej zanik. Dwójka otrzymana na pierwszy okres nie budziła trwogi. Jeszcze trzy okresy — zdąży się poprawić. Podobnie dwójka otrzymana na półrocze nie była sygnałem ostrzegawczym, jeszcze pozostawało drugie półrocze. Był czas, żeby się podciągnąć. W trzecim okresie szkoła zamieniała się w tor wyścigowy. Spieszili się nauczyciele, żeby zdążyć wszystkich odpytać, spieszili się uczniowie, żeby zdążyć nadrobić zaległości.

Teraz rok szkolny dzieli się na dwa okresy zasadnicze, półrocze i już... klasyfikacja na koniec roku. Każda ocena niedostateczna ze sprawdzianu ustnego jak i pisemnego staje się sygnałem ostrzegawczym, tak dla ucznia jak i nauczyciela. W praktyce — bardziej dla nauczyciela, jak dla ucznia. Przed wszystkim dlatego, że analiza wyników nauczania trzeba dokonywać na bieżąco, a nie tylko przed okresem. Sprowadza się to do badania przyczyn i szukania właściwych środków przeciwdziałania. W szkole, w której rezygnuje się z łatwych rozwiązań, nie powinna zdarzyć się sytuacja, kiedy nauczyciel za wystawione oceny negatywne otrzymywał cichą nagane od dyrektora. W takiej szkole wychowawca nie będzie informował rodziców o tym, że uczniowie nie wykazują się dobrymi postęпами w nauce, powinni poszukać sobie innej szkoły. W szkole przyjmującej na siebie nowe, trudniejsze obowiązki, pojęcie „rozliczenia” nauczyciela oznacza wielokrotną ale i efektywniejszą pracę dydaktyczną wszystkich nauczycieli.

W tak prowadzonej szkole współczesnej każdy nauczyciel — nie tylko wychowawca — posiada praktyczną możliwość wszechstronnego poznania osobowości i umiejętności ucznia, posiada możliwość systematycznego kontrolowania pracy ucznia.

„AWANS” DO WYŻSZEJ KLASY

Nowe szokuje. Przyjmowane bywa z nieufnością spotęgowaną konfrontacjami z własnym doświadczeniem. Na początku bieżącego roku szkolnego

dziecko nie będzie obce. Temu już przecież służy wprowadzony do szkół podstawowych nowy etat — pedagog szkolny. Zakres pracy szkolnego pedagoga jest ogromny. Bierze on udział w: realizowaniu planu wychowawczego szkoły, w przygotowaniu systemu wychowawczego w poszczególnych klasach, w pracach nad wprowadzeniem w życie kodeksu ucznia, opracowywaniu analizy wychowawczego stanu szkoły, zajmując się poradnictwem pedagogicznym dla nauczycieli, a przede wszystkim — zbiera wiedzę o dziecku i jego środowisku po to, aby tę wiedzę wykorzystywać przy organizowaniu pomocy dla dziecka. Poznaje środowiska rodzinne uczniów, mających niepowodzenia w nauce i uczniowie znajdujących się w trudnych warunkach materialnych, zaniedbanych przez rodzinę wychowawczą, mających fizyczne defekty. Utrzymuje kontakty z Poradnią Społeczno-Wychowawczą, Poradnią Zdrowia Psychicznego, Sądem dla Nieletnich, społecznymi kuratorami, Domem Dziecka, milicją, z rodzicami i wychowawcami. Nie ma bowiem dzie-

ci, których powódów można założyć, że w klasach jeden — cztery co roku

ka, ani ojciec nie płacą jej alimentów... Załatwić pomoc dla prawnej opiekunki dzieci: Marioli i Piotra, która nie otrzymuje alimentów od matki i ojca dzieci... Wywiad środowiskowy w domu ucznia klasy IB, dziecko nie uczy się. Sytuacja tragiczna: matka wyszła powtórnie za mąż, ojczym — alkoholik...
List ucznia (z zachowaniem oryginalnej ortografii):
„Ta szkoła była moim domem. Nauczyciele dobrzy dla karzede. Choć moje zachowanie nie wiodło się najlepiej to nieżałuje że trafiłem do tej podstawówki. Co do warsztatów — tam czułem się jak bym był w zakładzie poprawczym tam było coś więcej niż piekło. Ale potrafiłem z niego się wy dostać. To co napisałem jest więcej niż zwyczajne słowo”.

PRZEROSNIĘCI

Kiedyś władze oświatowe popełniły błąd dość poważny, choć w najlepszej wierze i na terenie normalnych szkół podstawowych powstały zespoły uczniów „przerosniętych”. Teoretycznie zakładano, że zgrupowani razem przerosnięci — w jeden zespół, jedną klasę — pozwolą ująć się „silną ręką” i w ten sposób zwiększą się praktycznie możliwości ich nauczania i podporządkowania dyscyplinie szkolnej, większe też staną się dla przerosniętych możliwości kompensacyjne. Praktyka przyniosła skutki mocno opłakane, zespoły przerosniętych potworzyły silne grupy, niejednokrotnie terroryzujące nauczycieli i resztę szkoły, dając początek działalności w stylu gilotowców. Ktoś, kto wymyślił teorię „centralizacji” przerosniętych, niewiele jednak wiedział na temat psychologicznej grupy, więc poemat pedagogiczny z tego nie wyszedł. Klasy przerosniętych zastąpiono klasami uzawodowionymi.

Klasy uzawodowione powstały z troski o przygotowanie młodzieży do życia. Typuje się do nich młodzież tzw. „beznadziejną” od szóstej klasy szkoły. Na przejście do klasy uzawodowionej dziecka musi wyrazić zgodę jego opiekun prawny. W klasach tych punkt o „żółci” przenosi się z nauki ogólnej na naukę zawodu. W praktyce nauka przedmiotów staje się w zasadzie fikcją. Lekcja dla nauczycieli przedmiotów ogólnych staje się męką. Nauczyciel jest bowiem narażony na wszystko: słowne, a nawet czynne obelgi. Klasę uzawodowioną — z tych samych powodów co klasy przerosniętych — opanować jest niezwykle trudno, a nie każdy nauczyciel posiada talent Makarenci.

Klasa uzawodowiona stanowi wyizolowaną grupę „innych”. Takich, którym nauka przychodzi z trudnością, lecz pragną się uczyć. Takich też, którzy nie chcą się w ogóle uczyć, których stopień zdeprawowania jest już dość wysoki. Taki „zespół” uczniów w normalnej szkole nie sprzyja powstawaniu właściwej atmosfery.

Zdaje sobie doskonale sprawę, że klasy uzawodowione nie są środkiem, ale zaledwie półśrodkiem, bo to i szkół specjalistycznych mamy zbyt mało, bo są też inne obiektywne przyczyny. Niemniej wydaje mi się, że warto zastanowić się nad obecnością uzawodowionych w szkole podstawowej, jak również nad formą organizacyjnej pomocy dla tej grupy młodzieży. Bo taka pomoc jest niezbędna.

Klasy uzawodowione są dla pewnej grupy młodzieży, która w zasadzie nie ma innych szans uzyskania świadectwa szkoły podstawowej — jedynym sposobem zdobycia cenzusu wykształcenia podstawowego, który stał się u nas obowiązującym. Ustawa powiada, że do osiemnastego roku życia, a więc od momentu uzyskania „dorobności” prawnej — można być uczniem. Na ustawę tę powołał się pewien rodzic: nie wyrażając zgody na przesunięcie swojej córki do klasy uzawodowionej.

— Macie obowiązek — powiedział — trzymać ją choćby do osiemnastego roku życia.

Szkoła podstawowa, jak potrafi, broni się przed obecnością osiemnastolatka. Ale musi go do tego wieku jednak wyposażyć w minimum niezbędną wiedzę. Jak to zrobić bez szkody dla całej reszty zdrowej moralnie młodzieży?

EWA OSTROWSKA

NOWE I STARE

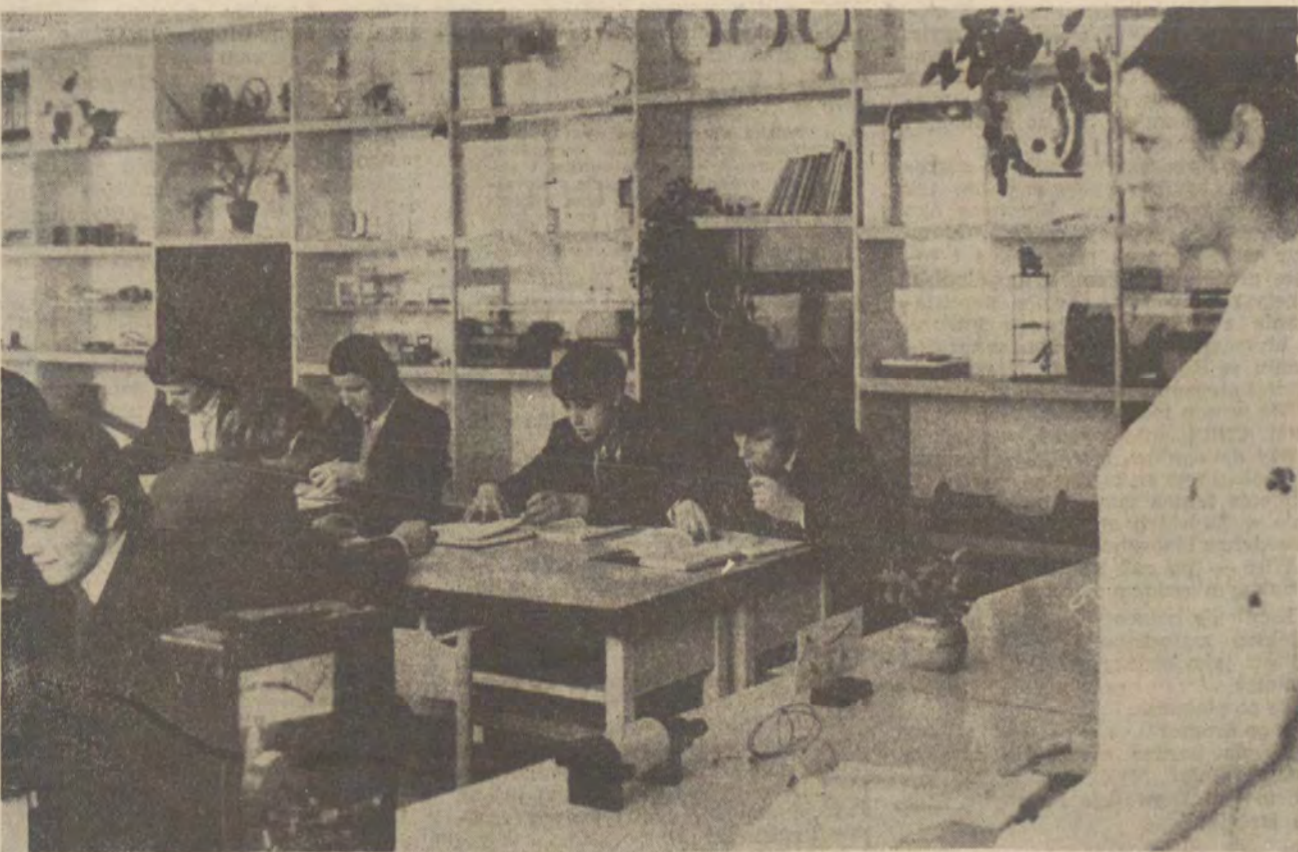


Foto: W. Parys

byłam świadkiem pewnego incydentu w księgarni. Matka pierwsoklasisty przysłała zwrócić elementarz Księgarz obcej. Braków nie stwierdził. Matka na to:

— Nie życzę sobie, żeby moje dziecko uczyło się nowomodnymi metodami. Powiedziałam to w szkole i zażądałam przeniesienia dziecka do klasy równoległej, gdzie uczy po staremu. Dlatego przysłałam wymienić ten nowomodny elementarz na stary.

— Chodzi pani o elementarz Falskiego?

— Nie wiem. Falskiego czy kogo, ale taki, na którym i ja się uczyłam. Na tym nowym to niech się inne dzieci uczy. Ja na swoim dziecku nie pozwolę eksperymentować.

Elementarz Falskiego też uległ niezbędnemu modyfikacjom. Cały program nauczania w szkole podstawowej podlega takim modyfikacjom. Na przykład program nauczania w klasach od pierwszej do czwartej skonstruowano w taki sposób, aby dziecko o prawidłowym rozwoju umysłowym nie napotykało żadnych trudności w jego przyswojeniu. Takie założenie stworzyło ewentualność stuprocentowej promo-

do wyższej klasy przechodzą wszyscy uczniowie, nawet ci z ocenami niedostatecznymi pod warunkiem wszakże, że „awans” ucznia mającego opóźnienia w nauce uzasadniony jest przez specjalistów nauczycieli i lekarzy możliwościami jego dalszego rozwoju psychicznego, co stanie się przed ukończeniem klasy czwartej i gwarantuje nadrobienie zaległości, wynikłych z chwilowej niedyspozycji.

Nawet mnie, kompletnemu laikowi w zagadnieniach dydaktycznych, orientującemu się wszakże co nieco w psychologii rozwojowej dziecka, tak zaprogramowana praca dydaktyczna szkoły i tak ustawiony system promowania wzbudza optymizm i pozwala dostrzec niewątpliwą, wszechstronną przewagę „nowego” nad „starym”.

PEDAGOG W... SZKOLE

System jednolitego wychowania plus nowy program dydaktyczny składają się w sumie na zalążek tego, co nazwałabym humanizacją szkoły. W tej nowej, już coraz bliższej szkole żadne

„złych”, są dzieci zagrożone: dzieci specjalnej troski.

Jeden ze szkolnych pedagogów zanotował:

„Spotkanie w Sądzie dla Nieletnich z sędzią w sprawie odczytu dla klas uzawodowionych... Spotkanie z sekretarzem terenowej organizacji partyjnej w celu zapewnienia kontroli nad rodzicami, członkami partii, którzy źle wywiązują się ze swoich obowiązków rodzicielskich... Wizyta w Komendzie Dzielnicowej MO, prośba o kontrolę grupy przestępczej, mieszkającej w pobliżu naszej szkoły, mających pewien wpływ na niektórych uczniów... Odwiedziny w domu Urszuli i Jurka W., żeby ustalić przyczyny zaniedbania dzieci w nauce. Rodzina W. jest zagrożona społecznie, a dzieci zwolnione warunkowo z Zakładu Wychowawczego... Odwiedziny u Tadzia P., chłopiec brudny, niedożywiony... Napisać do babci Ewy K. jedynej jej opiekunki prawnej, podanie do Zespołu Opieki Społecznej... Wywiad środowiskowy w domu uczennicy klasy IB, przekazać wywiad Inspektorowi Oświaty. Sytuacja tragiczna: opiekunką prawną dziecka jest babcia-rencistka, ani mat-

NIE TYLKO HISTORIA

PISMA FILOZOFICZNE MICHAŁA WISZNIEWSKIEGO

Szczęśliwie minął czas, kiedy większość własnego dorobku filozoficznego czasów noworzytnych traktowaliśmy per nos est, tylko dlatego, że nasi filozofowie ubiegłego wieku nie stworzyli systemów o wszechstronnym znaczeniu, w rodzaju Kanta czy Hegla. Zaczęło się przed wieloma laty, od przypomnienia i wydawania na nowo dzieł myślicieli Renesansu i Oświecenia. Do późniejszych filozofów trazu nie sięgano, dlatego zapewne, że nie bardzo umiano sobie z nimi poradzić. Jakże bowiem w dobie triumfalnej ofensywy materializmu dialektycznego można było wyświadczyć te starocie, w których tak wiele jest idealizmu, tyle rozważań o „absolutnym duchu”, teleologii dziejów i tym podobnych zagadnieniach? Zaczęło wznawiać trazu tych, których zaangażowanie społeczne kwalifikowało w sferze rewolucyjnych demokratów. Ukazała się pełna — jak wówczas myśleliśmy, zanim nie nastąpiły nowe odkrycia — edycja pism Edwarda Dembowskiego, opublikowane części dzieł filozoficznych Henryka Kamieńskiego.

Dopiero od kilku lat katalog tytułów z filozofii polskiej we wspaniałej serii PWN „Biblioteka Kłasyków Filozofii” uległ zasadniczemu rozszerzeniu, a stało się to dzięki inicjatywie — niezależnej jak się zdaje od siebie — dwóch wybitnych uczonych różnych pokoleń: Władysława Tatarskiego i Andrzeja Walickiego. Pierwszy z nich wydał przed kilkoma laty (1970) nadzwyczaj cenny zbiór pism polskich autorów filozoficznych z pierwszej połowy XIX stulecia, opatrzony tytułem „Jakie filozofii Polacy potrzebują”, krytyczną antologię, która w istotnej mierze zmieniła nasze wyobrażenie o ówczesnej polskiej refleksji filozoficznej. Drugi, Andrzej Walicki, zajął się redycją i przedstawieniem tzw. polskiej filozofii narodowej czasów Romantyzmu. Rezultatem były niezmiernie cenne, ogłoszone w „Bibliotece Kłasyków Filozofii”, wybory pism filozoficznych Karola Libelta (Samowolstwo, rozum i Objawy filozofii słowiańskiej, 1967), Augusta Cieszkowskiego (Prolegomena do historii filozofii, Bóg i paleogeneza oraz mniejsze pisma filozoficzne, 1972), opracowane razem z Janem Gąrczem i Bronisławą Trentowską (Stosunek filozofii do cybernetyki oraz wybór pism filozoficznych, 1974). Jeżeli dodać do tego opublikowane w „Bibliotece Kłasyków Pedagogiki” pisma pedagogiczne K. Libelta, w opracowaniu Jana Szewczyka (1971) oraz edycję „Chowanny” B. Trentowskiego, zrealizowaną przez A. Walickiego (1970), a także „Wybór pism” polskiego utopijnego socjalisty Ludwika Królikowskiego, wydany przez Adama Sikora i Hannę Tereszkową w „Bibliotece Myśli Socjalistycznej” (1972), śmiało możemy powiedzieć, że ostatnie lata przyniosły prawdziwy renesans zainteresowania polską twórczością filozoficzną XIX w. Długo plan niezmiernie obfity, wzmocniono bowiem wiele dzieł pierwowzórów, dobrze świadczących o intelektualnych wysiłkach polskich myślicieli tamtej epoki. Nie wznawiono jeszcze — rzecz to zrozumiała — wszystkiego z tego, co ważne; nie ukazały się edycje innych jeszcze autorów, jak na przykład Józefa Gołuchowskiego czy Józefa Kalasantego Szaniawskiego, ale można się spodziewać, że tak pięknie zainicjowana i owocująca praca nie zostanie przerywana, więc wiele jeszcze można się spodziewać.

Świadczą o tym ostatnio wydany tom „Biblioteki Kłasyków Filozofii”, zawierający dzieła Michała Wiszniewskiego: „Bacona metoda tłumaczenia natury i inne pisma filozoficzne”, opracowany przez Władysława Tatarskiego i Juliana Dybca (1970). Postać M. Wiszniewskiego przypominać nie trzeba; niedawno ukazały się o nim aż dwie monografie. Pierwsza, pisma Józefa Bańki (1967), spowodowała pamiętną dyskusję prasową, głównie na łamach wychodzącej wówczas „Współczesności” (doskonale pamiętam kapitalną wypowiedź nieodżałowanego Konstantego Gryniewskiego). Druga — której autorem jest J. Dybiec (1970) — nie spowodowała wprawdzie takiej jak poprzednia burzy, za to świetnie uporządkowała mnóstwo wydobytych ze źródeł faktów, dotyczących życia i działań „dela oraz naukowego dorobku M. Wiszniewskiego.

Świeżo wydany wybór pism M. Wiszniewskiego przynosi właściwie wszystko, co w twórczości tego uczonego dotyczyło problematyki filozoficznej. Sięgnięcie nawet do rękopisów, aby wydobyć z nich ważne, nigdy nie publikowane i nie wygłoszone wykład wstępny na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz szkic o Sextusie Empiricusie. Otrzymaliśmy więc swego rodzaju „corpus” pism, mogący być podstawą dla rozpoznania poglądów ich autora na różne zagadnienia filozoficzne. Rzecz zrozumiała, że redycja nie mogła objąć wielkiego dzieła M. Wiszniewskiego o historii literatury, liczącego 10 tomów i nie dookreślonego. Szkoda może jednak, że nie uwzględniono bodaj fragmentów ze wstępnych partii pierwszego tomu tej pracy, gdzie mowa jest o zagadnieniach, wchodzących w zakres problematyki filozoficznej.

Kiedy przed laty często korzystałem z „Historii literatury” M. Wiszniewskiego odniosłem wrażenie, że jego pisarstwo, acz bogate w treści, jest przeraźliwie nudne. Przeglądając pisma filozoficzne myśliłem weryfikując ten pośpisny sąd. Może to i mało istotna sprawa, jak pisane są teksty filozoficzne, ale uderza w tych pracach to, że posiadają one znakomitą formę literacką. Są wreszcie — rzecz najbardziej niespodziewana — pełne dowcipu. Trudno tego nie dostrzec, kiedy czyta się bynajmniej nie „śmiertelnie” poważne rozważania autora o różnych rodzajach głupców: refleksje o „głuptankim”, „gapiu”, „głupcu przesądny”, „sprzeciwiającym się”, „zapytującym”, „przeczącym” i innych, jeszcze gatunkach, takich jak głupiec dowcipkujący, płacizny, polerowany, zarumiany, o żgarzu i „półgłupcu” oraz „półgłupcu”. A że dowcip idzie tu w parze z rozsądkiem, niechaj świadczą o tym charakterystyczne „głupca zarumianego”: „żółwiek zarumiany wszędzie widzi krętów rozumu, ciasne głowy i zimne serca; w sobie tylko z dumą postrzega wielką duszę i gorące serce. Nie porównywał się nigdy z rzymskim Plutarchem, lecz tylko z gawiedzią rzeczywiście od siebie niższą, przyszedł do tego mocnego przekonania o własnej wyższości, którego późniejsze doświadczenie zachwiał nie może; zwykle bowiem w to najmocniej wierzymy, co bowiem do życzeń naszych przypada”. Niech kto chce adresuje te słowa do kogo ma ochotę.

LEKTOR

10 = 0

Nie lubię oglądać seriali telewizyjnych, mimo iż — jak twierdzą niektórzy — stanowią one istotę telewizji. Jest to wyznaczenie, zważywszy charakter mojej działalności na tych lamach, nieco kłopotliwe. Uważam jednak, że serial stanowią szczególnie dotkliwą formę zniechęcenia telewidza, ponieważ ze względu na swój cykliczny przebieg stawia go niejednokrotnie przed trudnym wyborem kulturalnym: obejrzeć kolejny odcinek czy też przeczytać książkę, spotkać się z przyjaciółmi, pójść do kina lub teatru. Oczywiście w takich wypadkach zwycięża antyczna reguła „widzę lepsze, lecz wybieram gorsze”.

Jednakże zdarza się, iż telewizja stawia mnie w sytuacji niewybrednej, kiedy odstępując od cotygodniowej emisji każe mi przez dziesięć kolejnych wieczorów oglądać swój kolejny produkt seryjny. Ta codzienna dawka jest powtórzeniem precedensu, jaki zdarzył się z pamiętnymi „Dyrektorami”. Wtedy chodziło o film, który niósł ostre treści polityczne i społeczne, odznaczał się dobrze pojętym sensem propagandowym, utrafił w istotne potrzeby zbiorowe. Był przedsięwzięciem prestiżowym, które TVP chciała jak najkorzystniej sprzedać. Zdawać by się mogło, że podobne nadzieje związane z nowym serialem w reżyserii Zbigniewa Kuźmińskiego i według scenariusza Romana Bratnego „Ile jest życia”, tymczasem oba filmy dzieli różnica lat świetlnych. Myślę, że — powiedzmy od razu — żalostne ubóstwo i prymitywizm „Ile jest życia” pogłębił się na tle „Dyrektorów”, którzy tematowi politycznemu historii najnowszej stworzyli pewien podupokorny mierzony na skali odpowiedzialności, odwagi, uczciwości i dramatyzmu — słowem tych wszystkich cech, które łączymy z pojęciem prawdy.

Sprawa jest tym smutniejsza, że scenarzysta i reżyser „Ile jest życia” porwali się na temat i problematykę, na którą od dawna czekało i nadal czeka kino w tym kraju i jego widownia. Dramatyczne przemiany form życia politycznego w Polsce Ludowej, trudny proces akceptacji nowego ustroju przez ludzi wychowanych w innej formacji duchowej, ich skomplikowane losy na tle pełnej historycznego patosu odbudowy kraju z nieomal totalnej zagłady — oto problemowy wymiar wielkiej epiki filmowej godnej naszych czasów. Właściwie nie ma w polskim filmie twórcy, który mógłby z powodzeniem udzielić ten ciężar. Wbrew oczekiwaniom nie jest nim Andrzej Wajda od kilku lat bezskutecznie przybliżający się do współczesnego tematu. Mogłby nim być z całą pewnością niezwykły Andrzej Munk, który w „Człowieku na torze” i „Zezwoleniu na szczęście” dał w swoim czasie bezkompromisową próbę kina, na które wszyscy czekamy.

Bywają filmy, po których obejrzeniu bezradnie opadają ręce. Tak wielka odległość dzieł artystyczne ambicje od ich finalnego efektu. Zresztą krytyka polska na użytek rodzimego filmu wypracowała sobie — jak o tym pisał Bolesław Michalek w swojej ostatniej książce „Cwiczenia z anatomii kina” — cały system rozróżnień i usprawiedliwień, w którym filmy chybione chwali się za tematyczne aspiracje.

W wypadku „Ile jest życia” ta rozbieżność jest szczególnie dotkliwa, ponieważ film dzięki nieudolnościom dramaturgicznym, dialogowym, inscenizacyjnym i narracyjnym staje się niezamierzoną parodią polskiego filmu współczesnego i zbiera w sobie w monstrualnym wynaturzeniu wszystkie jego wady: natrętny dydaktyzm, płaską retorykę papierowych przesad, brak elementarnej wiarygodności psychologicznej, absolutny brak pierwiastka dramatycznego, wreszcie — podstawowe błędy warsztatowe. Trudno dyskutować nad sposobem ujęcia tematu, nad jego poznawczymi perspektywami z reżyserem, którego przy tej okazji interesują problemy życia seksualnego gajowych mowiących po francusku, który nie potrafi płynnie zmontować filmowej akcji, ani zadbać o właściwą charakterystykę aktorów, nie mówiąc już o całym szeregu motywacji składających się na zobrazowanie życia filmowych bohaterów. Ten film jest wprost idealnym katalogiem błędów warsztatowych i jako taki winien służyć w charakterze pomocy naukowej na zajęciach reżyserii w szkole filmowej. Jeszcze w pierwszych odcinkach film jako tako trzymał się kupy, istniały momenty w których coś się ożywiało np. trapiąca dzięki aktorstwu postać soltyśa, pewna, w końcu zmartwiona szansa ludzkiego dramatu na miarę Borowskiego czaiła się w postaci Andrzeja, lecz i to reżyser rozmarzył w melodramatycznym rozwiązaniu wątku. Szczególnie irytujące były końcowe partie filmu, w których akcja rwała się, wymykała reżyserowi z ręki, by już nie wspominać o ich żenującym ubóstwie myślowym.

I może nie byłoby sprawy, bowiem nie pierwszy to i nie ostatni niewypal nadwisląnskiej kinematografii, która zdążyła już wszystkich przyzwyczaić do marnotrawstwa ważnych tematów i ciężkich pieniędzy, gdyby nie owe dziesięć zmartwionych wieczorów.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

Dalszy ciąg ze str. I

Zresztą początek całej tej historii, też był arcywzyczajny: pewnego dnia w „Życiu Warszawy” znalazłem dosyć obszerną informację o kamieniach półszlachetnych, które można znaleźć na Dolnym Śląsku, w niektórych partiach Sudetów, a także w Kieleckim — w Górach Świętokrzyskich. Autor tej wiadomości mimochodem zauważył, że kto wie czy warto by pomyśleć o szerzej eksploatacji tych błyskotek, no i wykorzystaniu przez warsztaty jubilerskie.

Tak się zaczęło.

II. **KAMIEŃ SZLACHETNY.** Wbrew pozorom są bardzo, ale to bardzo prozaiczne. Chemik powie po prostu: — składają się z powszechnie występujących w przyrodzie pierwiastków i związków, takich jak tlenki magnezu, krzemionka, fluor, miedź, chrom, nikiel i żelazo. Malachit — zielony kamień, tak bardzo lubiany przez panie to nie innego, jak zasadowy węgiel miedzi, diament to znowu „tylko” bardzo twarde węgiel, a rubin czyli korund to tlenek glinu. Skąd więc ta niezwykła wartość tych małych lśniących bryłek, do których pewna część ludzi przywiązuje ogromną wagę, a niekiedy popycha — właśnie dla nich — do największych zbrodni?

Kamienie szlachetne. Minerale, rzadziej skały, wyróżniają się następującymi cechami fizycznymi i chemicznymi: twardością, piękną barwą, żywym połyskiem, doskonałą przejrzystością, wysokim współczynnikiem załamania światła, odpornością na czynniki chemiczne. Do najcenniejszych należą: diament, Aleksandryt, szmaragd, rubin i szafir. Agaty, ametysty, cyrkon, topazy, chryzolit zaliczane są niekiedy do kamieni półszlachetnych.

WARTOŚĆ? Podobno starożytni Grecy uważali nefryt za kamień niezwykle pomocny przy chorobie nerek, a ponadto miał on być szczęśliwy w miłości. Ametysty polecano szczególnie amatorom mocnych trunków, jako że podobno ma on właściwości chroniące przed szybkim upiciem. Każdy zresztą z kamieni ma ponoć jakąś ukrytą moc, byłby amuletem, niekiedy owianym legendą i tajemnicą. Stary znawca błyszczących kamyków dr F. Zastawniak z Krakowa tłumaczył mi kiedyś te tajemnice:

— Cała wartość leży w oryginalnej budowie krystalicznej kamienia i liczy się też układ kryształów, a to już dzieło matki-natury... Oczywiście, dochodzą jeszcze inne „drobiazgi”, takie jak barwa, czystość, masa oraz tzw. szlif, który może być niezwykle skomplikowany. Dla przykładu — jednokarutowy kamień może mieć szlif złożony z 56 tzw. „facetów” czyli ścianek, a inny — tej samej wielkości kamień, aż ze 126. Od czego to zależy? Od ręki mistrza, przy czym najsłynniejsi są szlifierze z Amsterdamu. W Polsce też mamy szlifiernie kamieni szlachetnych — w Krakowie, Warszawie, a także w Kłodzku. A teraz pytanie: ile może kosztować jednokarutowy brylant? Cennik powiada: 40 tysięcy. Odpowiednio więc 5-karutowy kamyczek będzie kosztował 5 x 5 x 40 tys. złotych.

Kryteria podziału na kamienie szlachetne i półszlachetne nie są zbyt dokładnie sprecyzowane. W dużej mierze wchodzi w grę czystość występowania tych kamieni w przyrodzie, ich właściwości — głównie twardość i trwałość.

III.

POJEDYŃCZY WYBUCH. Później, już znacznie bliżej, monotonny grzechot wielkich młyńskich żaren, jednostajny skroki transportera. Gdzieś, w litą skałę wgrzyza się pneumatyczny świder, wierci, aż... zęby bota. Drewniane ogrodzenie, prowidzka, jakby planu budowy. Nad dosyć „przewiewną” bramą tablica: „KAMienioŁOM



Foto: CAF

SŁEZA (osobom obcym wstęp surowo wzbroniony).
Jakoś tam jednak przelażę.

Byłem tutaj już kiedyś. Głęboka niecka, koparka tapła się w gruzowsku, z uporem sięga po urobek. Łyżka wędruje nad taśmę transportera. I to już właściwie wszystko. Koniec wędrowki bryłek wulkanicznej skały rozsądzonej przez człowieka, a którą niegdyś przepiękna siła natury wypiętrzyła tutaj w górę. Jeszcze tylko owe młyny miazdzące skałę na niemal mialki grys. Co w tym wszystkim szczególnego, gdzie tu o skarbach może być mowa?

Mistrz Kazimierz Rybarski zna ten kamieniołom jak swoją kieszeń, niejedną porcję kamiennego pyłu do płuc zafasował, więc nie zrażony moją ignorancją cierpliwie tłumaczy:

— Czasami maszyna zachłyśnie się, zagrzyta i wtedy wszyscy wiedzą, że znowu gdzieś z guli zerkała na człowieka „byszczący kamień: agat, ametyst lub nefryt. Nie jest to wcale zbyt radosna nowina, bo kamieniołom jest nie od tego, swój plan ma, a takie znaleźskio oznacza często postój, bywa, że awarie, słowem — licho z nim. Niech lepiej nie podchodzi pod szczęki maszyny, nie łyska zielenią na człowieka. Niech lepiej „śpi”...

IV.

PRZYPOMINAM SOBIE co mi jeszcze mówił dr Mańkiewicz. Opowiadał o Polsce zupełnie nie znanej. Nasza ziemia — mówił — bez przesyady mogła uchodzić niegdyś za prawdziwe Klondyke. Jeszcze w XIX wieku, w okolicach Lwówka eksploatowano złoto. Dolny Śląsk kryje i dziś prawdziwe skarby i nie ma przesyady.

BŁYSZCZĄCE KAMIEŃ

w tym doniesieniu PAP. Magmowe, powulkaniczne skały Dolnego Śląska kryją w sobie gniazda nefrytu, ametystu, chalcedonu, a także jego zielonawą odmianę chryzopras, który jest bardzo cenionym kamieniem szlachetnym. Są też tutaj, choć znajdujące w niewielkich ilościach jedne z najdroższych błyskotek świata — beryl. Górnicy dobrze znają gniazda zielonego oliwini, chętnie widzianego przez jubilerów i powszechnie uważanego za kamień bardzo ozdobny i równie szlachetny.

Mistrz Rybarski pokazał mi szaroszklistą bryłkę wyłowioną nie tak dawno z transportera. Wprawne oko wydobyla ją z masy urobku, chroniącą w ten sposób maszynę, a i robotę przed przestojem, a teraz polski ametyst rozpoczyna swoje przeistaczanie z dosyć uciążliwego intruza, w błyszczącą bryłkę, która po oszlifowaniu w Kłodzku ozdobi pierścionek jakiejś elegantki.

Nie w tym jednak rzecz, choć w bliskiej CSRS znajdujemy podyjeżdżące okazy diamentów, a w Polsce warunki geologiczne wskazują na możliwość istnienia takich samych bogactw właśnie w Sudetach oraz w rejonie województwa białostockiego.

Więc — po co? Nie w pierścionku z zielonym oczkiem srawa.

Kamienie szlachetne mają obecnie większe zastosowanie w przemyśle, aniżeli jako ozdoby. W tym cała tajemnica.

To po pierwsze.

A po drugie?

Ziemia bardzo niechętnie zdradza swoje tajniki. Myślę też, że nie będziemy mieli swojego Klondyke. Więc po trzecie?

V.

MIASTEczKO CAŁE jak na dłoni. W rynku klasycystyczne kamieniczki z piękny portalami. Ratusz pokryty białą i drogowąskaz wystawiający swoje ramiona w stronę świata; do Krakowa, Zakopanego i Katowic.

— Pan pewnie do huty?
Gdzie indziej może w Skawinie kierować swoje kroki przyjezdny i to w dodatku „na delegacji”?

Więc — do huty. Choć z równym powodzeniem mógłbym odpowiedzieć: — do Sezamu. tam gdzie rubiny i szafiry rozsiewają światło szlachetnych kamieni...

Teraz otworzyć kolejny tom którejś z encyklopedii — najlepiej Trzaski i Ewerta. I poszukajcie hasło: **KORUND.**

— Właściwie, to częściej używa się innych nazw. Mówi się potocznie rubin lub szafir. Różnica polega w barwie. Te, które dają refleksy czerwone to właśnie rubiny, a błękitne to znowu szafiry...

Ale przecież — czytałem w encyklopedii — tak samo jak Wy — że korundy czyli minerały kryjące się



Foto: CAF

pod chemiczną formułą Al₂O₃ wydobywa się w dalekiej Birmie, z „kryówek” w skałach wapiennych, a znowu z szafirów słynie Syjam, granitowe skały wyapiarskiego Celjona, Góry Uralu, Indii, Chin oraz niektóre zakątki stanu Massachusetts — USA. Natomiast na geologicznej mapie Polski nawet najmniejszego śladu, by okolicie Krakowa były terenami „szafirowymi”.

BŁYSZCZĄCE KAMIEŃ

Zajrzyjcie za bramę skawinińskiej huty aluminium. Tym razem darujemy sobie wynalazek Paula Herpulta i Charlesa Halla — srebrzysty i najładniejszy z znanych współczesnym metali chociaż kiedyś i aluminium było przechowywane w bankowych sejfach wraz ze złotem. Podobno nawet było od niego droższe... w przeliczeniu 30 gram czystego aluminium kosztowało 8 funtów szterlingów. W tych czasach bateria

Polska nie jest jedynym producentem syntetycznych korundów. W Europie sztuczne szafiry i rubiny produkuje Francja, Szwajcaria, RFN, Anglia oraz Belgia i Związek Radziecki. Pod względem jakości polskie korundy nie ustępują jednak najlepszym i znajdujemy się w ścisłej czołówce sztucznych szafirów i rubinów.

aluminium garnków stanowiłaby więc olbrzymią fortunę. A teraz? O tempora...

Gdzie więc ten prawdziwy skawiniński korundowy skarbiec?

Najpierw banał: myślenie ma ogromną przyszłość...

W skawinińskiej hucie aluminium też holdują tu zasadzie.

A teraz trochę chemii. Pamiętajcie jaki symbol oznacza korund — primo voto rubin, secundo — szafir? Al₂O₃.

To tlenek glinu. Dla skawinińskiej huty jest to podstawowy produkt służący do wytwarzania aluminium. Ale jeżeli szafiry i rubiny są zbudowane z tego samego surowca co „srebrzyste gąski” to czy przypadkiem przy jednym ogniu nie można przyrządzić dwóch pieczeni — wytopić aluminium i otrzymanywać z odpadkowych produktów tlenku glinu znaną już na świecie metodą, syntetycznych rubinów i szafirów?

Ten pytanki postawiono w Skawinie.

Miałem przed sobą odpowiedź.

Małe pokolki i kilka dziwnych mikroskopijnych piecyków, jeżeli się je porówna z sąsiadującymi o miedzę urządzeniami huty. To tzw. piece Verneula. W nich właśnie, w potwornej temperaturze, rodzą się skawinińskie rubiny i szafiry.

Szafiry i rubiny swoją twardością ustępują tylko diamentom. Używa się ich nie tylko w postaci kamyków, ale także jako tzw. „szmerglie”. Jest to po prostu korund drobnoziarnisty, bardzo ceniony jako materiał szlifierski powszechnie używany w przemyśle metalowym.

Nim jednak to się stanie tlenek glinu trzeba zamienić w mialki proszek. Potem droga wiedzie do małych pojemników umieszczonych na „verneulach” by pod wpływem wstrząsów trafić do przewodów wypełnionych tlenem. Potem jeszcze dodatek wodoru i wreszcie pod palnik. Tam w temperaturze około 2.200 st. C, ulegają stopieniu ziarenka tlenku glinu. Z takich maleńkich drobin formuje się zaro-

dek, kropelka syntetycznego korundu, by następnie urósł, stopniowo nabrą gruszkowatych kształtów „dorosłego” rubinu. I to już wszystko. Koniec narodzin szlachetnego kamienia. Skawiniński szam wzbogacił się o jeszcze jeden szkarb.

VII.

PO CO? Niemal każdy odwiedzający skawinińską wytwórnię syntetycznych szafirów i rubinów zadaje to samo pytanie.

Przed wszystkim technika, 75 proc. szafirów i rubinów używanych jest obecnie na świecie dla celów przemysłowych. Lista wyrobów, które bez korundów nie mogą się obejść zaczyna się od pospolitych zegarków, a kończy się na precyzyjnych instrumentach, które torują drogę kosmicznym pojazdom. Dodajmy jednak jeszcze do kompletu igt gramofonowe, końcówki wiertel, które drążą skałę w poszukiwaniu ropy naftowej, ostrza noży używanych do specjalnej obróbki, wreszcie coś specjalnie interesującego lodzian: są sztuczne korundy wyrabiane są części maszyn włókienniczych tzw. „oczka”, przez które przechodzi nitka wyrobiana z syntetycznych surowców. Korundy używane są także przy budowie urządzeń telekomunikacyjnych, słowem — wszystko, co jest nowoczesną techniką sięga po syntetyczne rubiny i szafiry.

W Skawinie obliczają, że krajowy przemysł potrzebuje około 800—1000 kg syntetycznych korundów. W tej chwili oddział korundów huty aluminium w Skawinie może zaspokoić to zapotrzebowanie tylko w pewnym stopniu.

Na razie — choć skawiniński „Sezam” pracuje pełną parą wydajemy jeszcze olbrzymie kwoty na import szafirów i rubinów. By nie być gołosłownym — 1 gram korundu kosztuje około 30 złotych dewizowych. W tej chwili zużywamy około 350 tysięcy kamieni — tak szlifowanych jak i łożyskowych oraz technicznych. Przemocicie te liczby, dodajcie do tego słowa import oraz dewizy! Będziecie mieli cały rachunek.

W Skawinie choć dawniej odnoszono się do zapalcieców

Jednostka miary dla kamieni szlachetnych jest karat. Jest to miara ciężaru. Karat w różnych krajach jest różny i waha się od 197 do 207 miligramów. Jako ciekawostkę podajemy, że największy diament świata tzw. „Cullinan”, który należy do królowej angielskiej Elżbiety II waży 3.024 karata, a inne również znane takie jak np. Koh-i-Noor mają 106 karatów, Rezent — 136 karatów. Ile potrzebuje ich Polska?

z oddziału korundów bardzo krytycznie i posiadano ich nierządno o marnocielestwo, mówi się, że tych kilka piecyków już nie starczy, że trzeba będzie zainstalować jakąś dwudziestką, by sprostać zamówieniom.

VII.

CZY PRZYPADKIEM nie rozczarowałem Was? Czym? Ano może tym, że zamiast romantyki tropień skar-bów, gdzieś tam ukrytych w sudeckich pagórkach, wyszło mi laboratorium, prawie że fabryka. No, ale to już tak jest. A wyobraźnia? Jeszcze nikomu nie zaszkodziła? Tym bardziej, jeśli nie jest fikcją.

KRZYSZTOF POGORZELEC